

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ Nr 1/580-2/581 1996



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

A. KORASZEWSKI: **LUDZIE ZBĘDNI NA SWOIM**

S. ABNER: **CZY POLSCE POTRZEBA
MONY SAHLIN?**

W. SKALMOWSKI: **STEFAN KISIELEWSKI
O „STALIŃSKIM”**

NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1995

SPIS RZECZY

Vaclav Havel:	<i>Postkomunizm</i>	3
Andrzej Koraszewski:	<i>Ludzie zbędni na swoim</i>	7
S. Abner:	<i>Czy Polska potrzebuje własnej Mony Sahlin?</i>	22
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	29
Konrad Brodziński:	<i>Dzierżyńskiego obecnie Erkindik</i> ..	42
Bogdan Madej:	<i>Nasze kawalerskie!</i>	51
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Basil Kerski:	<i>Na marginesie nowej książki Güntera Grassa</i>	65
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Białoruś dziś i jutro</i>	79
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Nowe rozdanie</i>	91
Marian M. Drozdowski:	<i>Biurokracja III Rzeczypospolitej</i> ...	97
Wojciech Popławski:	<i>Migawki z Polski II</i>	103
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Sołtan:	<i>Czy Polacy sami też burzyli Warszawę?</i>	108
Jan Venulet:	<i>Refleksje z perspektywy lat</i>	111
Quidnunc:	<i>Ciury</i>	117
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	120
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina – bilans roku</i>	126
KRONIKA KULTURALNA		
Leszek Kołakowski:	<i>Dziedzictwo leftyzmu</i>	135
Wojciech Skalmowski:	<i>Stefan Kisielewski o „Stalińskim”</i> ..	142
Witold Gombrowicz:	<i>O Cioranie</i>	166
Paweł Hostowiec:	<i>Rubis d'Orient</i>	170
Leszek Szaruga:	<i>Dialogi poetyckie</i>	178
–	<i>Komunikat Towarzystwa Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu</i>	181
NOTATKI REDAKTORA		
NAGRODY „KULTURY” ZA 1995 ROK		186
CI, CO ODESZLI		
Ewa Sułkowska-Bierezin:	<i>Mniej dostrzegani</i>	191
KSIĄŻKI		
Ola Hnatiuk:	<i>Na przełęcz światów</i>	195
Leszek Szaruga:	<i>Zrozumieć swój los</i>	200
Anna Strońska:	<i>Przemysł bez Przemysłu</i>	204
Teresa Halikowska-Smith:	<i>Zofia Ilińska: dwujęzyczna poetka</i> ..	206
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ..	209
POLEMIKI		
Stefania Kossowska:	<i>Ratowanie „Wiadomości”</i>	211
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	215
J. Lewandowski, A.M. Pędzioł, Z. Stankiewicz, A. Ziółkowska-Boehm, M.E. Cybulska:	<i>Listy do Redakcji</i>	219
–	<i>Sprostowanie</i>	224
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	224

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty–Janvier/Février 1996

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Danuta Borchardt-Lane, Gloucester, MA (USA) – zamiast kwiatów na grób Matki, Karoliny Borchardt, zmarłej w Londynie 18 grudnia 1995 r., przeżywszy lat 90. Karolina Borchardt była malarką i pierwszym polskim pilotem z lat 20-tych; hojnie wspierała wiele inicjatyw społecznych – Dol. 100,00	F. 500,00
Nelly Galster, Vancouver, BC (Kanada) – po raz 29-ty – Dol. 84,00	F. 420,00
Tadeusz Maczyński, Des Plaines, IL (USA) – po raz 19-ty – Dol. 20,00	F. 100,00
Maria C. Parkot, Warren, MI (USA) – dla uczczenia pamięci przyrodników: emerytowanego profesora Uniw. poznańskiego Jana Rafalskiego, zmarłego 13.03.1995 r. oraz jego małżonki Haliny Rafalskiej, zmarłej 6.06.1995 r. – Dol. 100,00	F. 500,00
Julitta Szylar, Nowy Jork (USA) – po raz 13-ty – Dol. 100,00	F. 500,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż – W 50-tą rocznicę rozbrojenia przez armię sowiecką, dnia 17 stycznia 1945 r. w Wisch pod Radoszycami oddziału partyzanckiego 2-go batalionu 25-go p.p.A.K., którym dowodził kpt./mjr. Józef Wyrwa, pseudonimy „Furgalski”, „Stary” – po raz 13-ty	F. 400,00
Elżbieta Zahorska z synem Witoldem, Rzym-Paryż – w 7-mą rocznicę śmierci Męża i Ojca, Witolda Zahorskiego, dla uczczenia jego pamięci – po raz 6-ty	F. 500,00
Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA) – po raz 31-szy – Dol. 1.000,00	F. 5.000,00
Prof. George Lenczowski, Berkeley, CA (USA) – w szóstą rocznicę zgonu ukochanej Żony, Bronisławy Lenczowskiej:	
– na Fundusz Kultury, po raz 3-ci – Dol. 25,00	F. 125,00
– na pomoc dla Polaków w Rosji – Dol. 50,00	F. 250,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA):	
– na Fundusz Kultury, po raz 41-szy – Dol. 20,00	F. 100,00
– na pomoc dla Polaków w Rosji – Dol. 20,00	F. 100,00
C. Waluk, Kitchner, ON (Kanada) – na pomoc Polakom w Rosji	F. 95,00

DZIĘKUJEMY

Postkomunizm

Podajemy fragmenty przemówienia wygłoszonego przez Vaclava Havla 30.10.95 w Dreźnie, z okazji wręczenia mu doktoratu honoris causa miejscowej politechniki.

Pozwólcie mi abym wykorzystał dzisiaj podniosłą chwilę do małego zamyślenia się nad zjawiskiem, które nazywane jest postkomunizmem.

Co się pod tym pojęciem właściwie rozumie?

To, co by można nazwać postkomunistycznym stanem myślenia, na zewnątrz przejawia się – tu wyraźniej, tam tylko słabo – poczuciem jakiejś niepewności, niezakotwiczenia, pustki, ba, nawet frustracji. Sądzę, że przyczyna tych uczuć jest oczywista: sposobu życia w komunizmie mogliśmy wprowadzić nienawidzić, tym niemniej bezwiednie się doń wszyscy przyzwyczailiśmy. Komunizm stworzył pewien jasny system reguł, dokładnie określający, co każdy może, a czego nie może; jeśli nie chce zderzenia. Chodziło często o reguły nie napisane, ale pomimo tego całkiem jasne; wszyscy wiedzieliśmy, kiedy i gdzie możemy mówić swobodnie, a kiedy i gdzie w żadnym wypadku. Wszyscy wiedzieliśmy, z czym możemy z całą pewnością się w życiu liczyć, a z czym liczyć nie możemy. Życie było wprowadzić szare, puste i zasznurowane, tym niemniej ograniczenia jakie miało, jak bardzo by były nieprzyjemne i ciasne, były równocześnie do tego stopnia trwałe, że dawały człowiekowi paradoksalne

P. 9786



1996 11 195

uczucie pewnego bezpieczeństwa. To bezpieczeństwo było dopełniane jeszcze zabezpieczeniami socjalnymi, które paternalistyczne państwo proponowało: wiedzieliśmy, że w jakiś sposób zawsze się o nas ktoś zatroszczy, choć musimy za to płacić ograniczeniem swej wolności.

To wszystko zawaliło się nagle, prawie przez noc. Naraz ocknęliśmy się w jakiejś wielkiej przestrzeni wolności i podświadomie ulegliśmy wrażeniu, że życie nie ma już żadnych ograniczeń. Często ten stan porównywany jest ze stanem człowieka, który po dłuższym czasie nagle został zwolniony z więzienia: chyba każdy wypuszczony przeżył ten stan szalonej euforii, połączony z na wskroś kłamiwym wrażeniem, że teraz jest mu już wszystko wolno. Twarde reguły więziennego życia już nie obowiązują i wydaje się, że już żadne reguły nie obowiązują.

Ta radość zwykle nie trwa długo i znów zamienia się w swój prawdziwy biegun, a mianowicie w depresję. Człowiek stopniowo stwierdza, że właściwie stracił zabezpieczenia, do których był przez lata przyzwyczajony i opanowuje go stan wielkiej niepewności, poczucie pustki, wykorzenienia, utraty wszystkich punktów oparcia. Wydaje się mu, że beznadziejnie błędzi, jest zmuszany stale o czymś decydować i z trudem rozpoznawać, jakie reguły ma życie poza więzieniem. To przynębiające uczucie nie raz prowadzi aż do utajonej myśli o powrocie: wypuszczony zaczyna tęsknić za więzieniem...

Ludzie z trudem przyzwyczajają się do nowego typu odpowiedzialności, którą mają w warunkach wolności. Jedni nie potrafią rozprawić się z tym, że muszą się sami o siebie troszczyć w daleko większym stopniu, niż do tego byli przyzwyczajeni, inni natomiast myślą, że przyszedł czas, kiedy to nie obowiązują żadne watości, a więc też żadne reguły: zbiór starych wartości zniknął, a do tych nowych jeszcze nie zdążyli się dostatecznie przyzwyczaić...

Jednym z wielu licznych przejawów frustracji, o której mówię, jest pogląd, który by się dał wyrazić hasłem „o to przecież nie walczyliśmy”. Wielu ludzi ma niezapomniane wspomnienia chwil, kiedy stali – połączeni głębokim po-

czuciem przynależności do siebie – na różnych placach, byli opętani atmosferą powszechności, jedności i wspólnie podzielanej nadziei, a komunistyczna władza waliła się przed ich oczami. Były to czasy wielkiego społecznego uniesienia i wielkiej euforii, kiedy atmosfera chwili – wespół z głęboką nieznajomością stosunków innych niż komunistyczne – owijała wspólne ideały wieloma iluzjami, czy je wręcz w iluzje zamieniała. Zachód znaliśmy z zewnątrz, z jego wystawowych okien, z jego nieskończenie bogatej oferty towarów, z długich sznurów lśniących aut, z telewizyjnych reklam na pobyty w południowych krajach, idealizowaliśmy go sobie i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że cud gospodarczy oznacza wiele twardej pracy, wiele niepewności, wielką osobistą odpowiedzialność, wielkie wymagania wobec każdego i żadnych gwarancji, że każdemu się powiedzie tak, jakby sobie tego życzył. W podnieconej atmosferze niejeden po prostu ulegał iluzji, że od tej chwili zacznie się raj na ziemi. To ta sama iluzja, której ulegają zwalniani w chwili, gdy opuszczają bramy więzienia.

Zaden raj na ziemi oczywiście nie nastął, a ludzie rzuceni przed niezliczoną nową problematyką, których dotąd nie znali, albo przynajmniej nie znali z własnego osobistego i bezpośredniego doświadczenia. I tak się łatwo staje, że niejeden z nas, zwłaszcza ten słabszy, ulega poczuciu, że został oszukany i okłamany, i że ktoś nie spełnia przyrzeczeń, które mu dał. Że te rzekome przyrzeczenia były często raczej jego własnym marzeniem, tego do siebie nie dopuszcza. A ponieważ zawsze jest łatwiej gniewać się na innych, czy na cały świat, niż na siebie samego, niejeden obwinia potem cały świat za domniemane oszustwo, którego ofiarą padł. Do czego to prowadzi, wiemy: swoje ucho zwróci taki człowiek w stronę populisty, który na głos mówi to, o czym on myśli, a mianowicie, że był oszukany, i który mu obiecuje, że to naprawi i wyśniony raj na ziemi swą pewną ręką przecież jednak postawi...

Liczni ludzie, którzy po upadku komunizmu nie potrafili w porę i szybko rozprawić się z nie znanymi im dotąd wymaganiami, które nowe stosunki nakładają na ich indy-

widualność i ich indywidualną odpowiedzialność za siebie i za świat, a którzy – co więcej – długim życiem w komunizmie mają obniżoną odporność na kolektywistyczne pokusy, łatwo ulegają urzekającemu apelowi tego w nich, co nie jest ich zasługą. Wzrost nacjonalizmu, ksenofobii, rasizmu, antysemityzmu i podobnych niebezpiecznych zjawisk, które możemy obserwować we wszystkich krajach, które zrzuciły komunizm, ma swą jasną przyczynę właśnie w tym o czym mówię.



Co przeciw temu wszystkiemu robić? Jak przeciwstawiać się niedobrym skutkom postkomunistycznego stanu myśli?

Wydaje mi się, że istnieje jedyna droga: na wszystkich obszarach ludzkiego współżycia wspierać zrozumienie obywatelskiej zasady, obywatelskiej odpowiedzialności, umacniać zaufanie państwa do obywateli, wychodzące z postawienia na ich dobre właściwości, pielęgnować ludzką solidarność, tolerancję i poczucie prawa, piastować instytucje demokratyczne i w kolejności bynajmniej nieostatniej, pogłębiać w sobie i wokół siebie zrozumienie dla źródła tego wszystkiego: porządku moralnego, który jest w nas i nad nami. To wielkie zadanie dla nauczycieli, wychowawców, polityków, dziennikarzy, dla nas wszystkich, którzy wiemy, czym może się skończyć obojętność na demony, które się pchają do wszystkich wykorzenionych dusz.

Vaclav HAVEL

tłumaczył Aureliusz M. Pędziwoł

Ludzie zbędni na swoim

W roku 1935 Stefan Czarnowski opublikował kilkustronicowy artykuł pod tytułem „Ludzie zbędni w służbie przemocy”. W obliczu szybko wzrastającego w siłę faszyzmu, Czarnowski pisał o odwiecznych związkach między ludźmi marginesu, ludźmi, którzy w danym momencie znajdują się poza zorganizowanym systemem produkcyjnym, a grupami i związkami odwołującymi się do przemocy. Autor powoływał się na przykłady „luźnych” grup społecznych z czasów greckich i rzymskich, z okresu średniowiecza, oświecenia i czasów współczesnych, wskazując jak nieodmiennie właśnie owe grupy ludzi „luźnych”, nie mających większych szans na włączenie się w główny nurt życia społecznego, stają się potężnym rezerwuarem zwykłej przestępczości i głównym źródłem rekrutacji kandydatów do organizacji odwołujących się do przemocy.

Czarnowski wskazywał na pochodzenie społeczne i sytuację życiową ludzi garnących się do bojówek SA – niedokończone studia, nieudane kariery artystyczne, młodzi, bezrobotni robotnicy z zamkniętych zakładów pracy.

Można powiedzieć, że obserwacje Czarnowskiego były wręcz banalne. To co jest interesujące, to fakt, że zastanawiając się nad możliwościami zahamowania wzrostu marginesu społecznego, owej rosnącej masy „ludzi zbędnych”, Czarnowski pisał o konieczności rozbudowywania systemu zabezpieczeń socjalnych, a w szczególności systemu godziwych zasiłków dla bezrobotnych oraz takiego systemu oświaty, który z jednej strony zmniejsza liczbę młodych ludzi, kończących szkoły i rozpoczynających dorosłe życie od

bezrobocia, a z drugiej pozwala na szybkie przeszkalanie tych, których dotychczasowe kwalifikacje stały się nieprzydatne na zmieniającym się rynku pracy.

Było to rozumowanie głęboko osadzone w ówczesnej zachodniej myśli społecznej, która w zachodnich demokracjach prowadziła do szybkiego rozwoju tzw. państwa opiekuńczego. Nie ulega wątpliwości, że przez kilka dekad była to strategia rozwoju społecznego o niebywałej wręcz skuteczności i zbawiennym wpływie na gospodarkę. Inwestycja w system zabezpieczeń społecznych okazała się inwestycją ułatwiającą i przyspieszającą transformację rynku pracy z jednej strony oraz minimalizującą negatywne skutki owej transformacji z drugiej. Patologie i słabości tego systemu zaczęły się ujawniać dopiero z początkiem lat siedemdziesiątych, kiedy to okazało się, że jego obsługa przekształciła się w zbiurokratyzowane struktury, ustawicznie dążące do powiększenia swojego imperium, że system oświaty zastygł w formach niedostosowanych do zmian rynku pracy na kolejnym etapie, że wytworzyła się nowa grupa czy też warstwa społeczna (w zachodniej literaturze określana często jako *underclass*) całkowicie zależna od systemu opieki społecznej i odtwarzająca się już biologicznie. Z czasem odwrócił się również początkowy trend i koszty systemu zabezpieczeń społecznych od wielu lat rosły szybciej niż wpływy do budżetu państwa. Jest to widomy dowód niskiej sprawności tego systemu jako narzędzia adaptacji najgorzej przygotowanych do wymagań zmieniającego się rynku pracy, ale również jest to jeden z ubocznych efektów utraty przez demokracje zachodnie prymatu w dziedzinie produkcji i handlu na arenie międzynarodowej. (Innymi słowy, bardzo trudno wypracować środki na zasiłki dla pracowników zwolnionych z General Motors, jeśli na parkingu pracowników Forda dominują hondy i toyoty).

Dwa supermocarstwa gospodarcze – Stany Zjednoczone i Japonia mają stosunkowo niski poziom bezrobocia, ale w Stanach Zjednoczonych pojawił się uzasadniony niepokój w związku z ustawicznym wzrostem owej *underclass*, warstwy „ludzi zbędnych” tworzących całe dzielnice wielkich miast; dzielnice, w których młody człowiek ma statystycznie większe szanse trafienia do więzienia niż do szkoły średniej, dzielnice

rozbitych rodzin, przestępczości, narkotyków i bezrobocia. Równolegle wyłania się kultura przemocy w sfrustrowanych warstwach średnich, wśród których część młodzieży garnie się do różnego rodzaju podejrzanych sekt religijnych, do faszystowskich organizacji paramilitarnych i do różnego rodzaju ruchów kwestionujących istniejący porządek społeczny.

Nowy świat wyłania się w wyniku zmian w międzynarodowym handlu, rewolucji elektronicznej, rozpadu politycznych struktur, które przez kilka dziesiątków lat łądziły stanem pozornej równowagi. Patrząc z perspektywy zachodniego świata porządek wymienionych zmiennych nie jest przypadkowy. Dziś, oglądając się wstecz, coraz częściej analizuje się, jak od początku lat siedemdziesiątych handlowa hegemonia Zachodu zaczęła ulegać deterioracji, jak krok za krokiem zachód zaczynał tracić swoją bezwzględną dominację w dziedzinie techniki, wydajności, konkurencyjności. Rewolucja elektroniczna z dnia na dzień zmienia rynek pracy, ale sprzęt, przy pomocy którego ta rewolucja się dokonuje, w niemałej części pochodzi z takich firm jak Sony, Toshiba, czy Samsung.

Jeśli pierwsze dekady wdrażania doktryny „państwa opiekuńczego” przynosiły niemal wyłącznie pozytywne efekty, to działało to m.in. dlatego, że proces ten miał miejsce jeszcze w okresie technicznej i handlowej dominacji Zachodu. Inwestycje w oświatę, opiekę zdrowotną i inne zabezpieczenia społeczne prowadziły do równoczesnego zwiększania chłonności rynku wewnętrznego i wzrostu zysków z eksportu towarów technicznych, którym, praktycznie rzecz biorąc, nie groziła niemal żadna konkurencja. W okresie tym nie tylko gwałtownie topniał margines społeczny, ale szybko rosła klasa średnia i radykalnie poprawiało się położenie najmniej zarabiających. W głębokim przekonaniu, że jest to trend nieodwracalny, w latach sześćdziesiątych coraz częściej zaczęto używać zamiennie określeń „państwo opiekuńcze” i „państwo dobrobytu”.

Oczywiście jest to pewna generalizacja, zachodni świat był i jest nadal zróżnicowany. O państwie dobrobytu mówiło się częściej w Stanach Zjednoczonych, w Zachodnich Niemczech czy w Szwecji aniżeli w przedthatcherowskiej Wielkiej Brytanii, Francji czy we Włoszech (nie wspominając

nawet o ubogich wówczas państwach zachodnich, takich jak Grecja, Portugalia, czy Irlandia).

Państwo opiekuńcze było nowym przymierzem z ubogimi w bogatym świecie. Jego sukcesom towarzyszyły marzenia zachodnich liberałów o postkolonialnej, partnerskiej współpracy gospodarczej z „krajami rozwijającymi się” oraz próby wykorzystania przez radykalne elity owych krajów rozwijających się zachodniej doktryny bardziej sprawiedliwego podziału jako podstawy reform zmierzających do osiągnięcia bardziej sprawnego systemu wytwarzania. Trudno się temu dziwić, gdyż była to wówczas doktryna równie „uniwersalna” jak dzisiejszy liberalizm gospodarczy i elity krajów rozwijających się dodawały do niej tylko lokalne wypaczenia.

Ponieważ chwilowo interesują nas nie tyle możliwości rzeczywistego rozwoju tzw. państw rozwijających się, co raczej obserwowane trendy w najbardziej rozwiniętych krajach cywilizacji zachodniej, zatrzymajmy się przez chwilę przy genezie polityki określanej czasem jako *reaganomics* w Stanach Zjednoczonych czy *thatcherizm* w Wielkiej Brytanii. Od połowy lat siedemdziesiątych w najbardziej rozwiniętych krajach zachodnich narastała świadomość, że dotychczasowy rozwój gospodarczy nie tylko traci swój impet, ale wręcz natrafia na bariery, których pokonanie wymaga zgoła rewolucyjnych zmian. Socjologowie i futuryści w dalszym ciągu zauważali to samo co szary człowiek, czyli że po rewolucji agrarnej, która uwolniła 90% siły roboczej związanej wcześniej z produkcją rolną, automatyzacja i robotyzacja prowadzą do radykalnego zmniejszenia zatrudnienia w produkcji przemysłowej. Nie bez racji sądzono, że jedynym rozwojowym (pod względem wielkości) działem rynku pracy są usługi. Te jednak, ze względu na obowiązującą nadal doktrynę państwa opiekuńczego, w niemałym stopniu zdominowane były przez sektor publiczny i mniej lub bardziej wyłączone z praw rynku. Rozwijające się działy usług – szkolnictwo, opieka zdrowotna, transport, komunikacja, ale również wodociągi, gaz, elektryczność, itp. były w wielu krajach zachodnich usługami dostarczonymi przez państwo, zaś w działalności tych instytucji efektywność gospodarcza rzadko kiedy była priorytetem. Jednym z paradoksów tego

rozwoju było to, że im wyższą efektywność uzyskiwano w prywatnym sektorze produkcyjnym, tym wyższe przerosty zatrudnienia obserwowano w organizowanym przez państwo sektorze usług. Kurcząca się klasa robotnicza i warstwa inżynierska obsługująca automaty i roboty była w stanie utrzymać ten patologicznie rozwijający się sektor usług tylko pod warunkiem systematycznie rosnącego popytu na zachodnie towary, tak na rynkach wewnętrznych jak i zewnętrznych. Równocześnie w gospodarkach państw najbardziej rozwiniętych eksport przybrał skalę i zaczął odgrywać rolę nieznaną we wcześniejszych stadiach rozwoju. W tej sytuacji produkcyjne i handlowe sukcesy państw Dalekiego Wschodu, zwycięski marsz produktów z tych krajów na rynki zachodnie i coraz bardziej skuteczna walka państw tego regionu o rynek produktów technicznych w krajach rozwijających się prowadziły do stagnacji (a nawet zmniejszania się) wpływów z eksportu w dotychczasowej czołówce państw najbardziej rozwiniętych. Sądząc, że jest to przejściowa recesja, a z drugiej strony pod naciskiem opinii publicznej (uważającej istniejący system zabezpieczeń społecznych za oczywisty i niezbywalny), politycy wkroczyli na drogę finansowania państwa opiekuńczego na kredyt.

Od początku drugiej połowy lat siedemdziesiątych w demokracjach zachodnich istniało silne przekonanie o konieczności generalnej zmiany dalszej strategii rozwoju. Z jednej strony zdawano sobie sprawę z tego, że państwo opiekuńcze musi zostać poddane gruntownej reformie, z drugiej zaś, że Zachód musi zmienić taktykę w konkurencji z nowymi handlowymi partnerami. Okres rządów prezydenta Reagana w Stanach Zjednoczonych i Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii zdecydowanie zmienił oblicze tych krajów (i wpłynął na sposób myślenia w wielu innych krajach), ale nie przyniósł oczekiwanego rezultatu. Mimo repywatyzacji znacznych obszarów sektora publicznego, mimo dość głębokich zmian w mechanizmach finansowania całego systemu zabezpieczeń społecznych, mimo drastycznej polityki monetarnej – sektor publiczny pozostał mało sprawny jako mechanizm wspomagający transformację społeczną, ekonomicznie nieefektywny i odporny na wszelkie próby reform. Sektor produkcyjny natomiast nie poprawił swojej wydajności na

tylę, aby dostarczyć środków na pełne finansowanie sektora publicznego bez powiększania państwowego długu. Równocześnie środki podjęte w celu odzyskania dominacji w międzynarodowym handlu okazały się nieskuteczne, przy czym specjaliści nie są zgodni co do tego, czy bez owych działań ekspansja handlowa państw Dalekiego Wschodu byłaby jeszcze szybsza, czy też podjęte działania nie miały większego wpływu na rzeczywistość. Tak czy inaczej wydaje się, że to nie tęsknota za dawnymi czasami doprowadziła do kolejnej zmiany politycznej w Stanach Zjednoczonych i do zasadniczej zmiany nastrojów w Wielkiej Brytanii, a właśnie niedostateczna skuteczność thatcherowskiej i reaganowskiej rewolucji. W Wielkiej Brytanii szczególnie wyraźnie ukazuje to ponad roczna działalność nowego przywódcy Partii Pracy – Tony Blaira, który nie tylko nie odcina się od radykalizmu pani Thatcher, ale zapowiada kontynuację rozpoczętej przez nią rewolucji, konfrontację ze związkami zawodowymi w sektorze publicznym i zasadniczą reformę systemu pomocy najsłabszym grupom społecznym. Dotychczasowe doświadczenia prezydentury Billa Clintona w Stanach Zjednoczonych kazały patrzeć na te zapowiedzi ze sceptycyzmem, Clinton wygrał wybory obiecując reformy, które później nie zdołały uzyskać poparcia Kongresu i nigdy nie wyszły poza stadium projektów. Doprowadzenie do zakończenia Rundy Urugwajskiej GATT i wielokrotne stanowcze konfrontacje z rządem japońskim nie zdołały również odwrócić dotychczasowej nierównowagi w handlu między tymi dwoma krajami, aczkolwiek po raz pierwszy od wielu lat japońskie nadwyżki handlowe zaczęły topnieć.

Utrzymujące się na Zachodzie od wielu lat wysokie bezrobocie, przewidywane efekty rewolucji elektronicznej, narastające przekonanie o wadliwym rozwoju sektora usług, pojawiające się przekonanie o niemożności odzyskania dominacji w konkurencji handlowej z krajami Dalekiego Wschodu, wszystko to prowadzi do niewesołych refleksji na temat możliwych perspektyw rozwoju społeczeństw zachodnich. Z publikacji poświęconych tej problematyce wyłania się obraz zbliżającej się anarchii, szybkiego wzrostu wielkomiejskich grup określanych mianem *underclass*, przestępczości i terroryzmu, ucieczki klas średnich do zamkniętych

przedmieść, a w dalszej konsekwencji gwałtownego rozwoju ultraradykalnych ruchów narodowych o odcieniu faszystowskim i powrotu ultraradykalnych ruchów lewicowych. Te wizje są w pewnym sensie projekcją dotychczasowego rozwoju wielkich amerykańskich miast i uzupełniane są informacjami o rozwoju urbanizacji w krajach Ameryki Łacińskiej i Afryki. Są to wizje, w których liczba „ludzi zbędnych” wykracza daleko poza wszelkie dotychczasowe doświadczenia, zaś nowoczesna technika wyposaża owe zepchnięte na margines społeczny skupiska zarówno w środki komunikacji, jak i w broń pozwalającą nie tylko na terroryzowanie cywilów, ale i na skuteczną walkę z oficjalnymi siłami porządku.

Aczkolwiek można powiedzieć, że autorzy tych katastroficznych wizji dalszego rozwoju społecznego w krajach zachodnich z reguły odwołują się do rzetelnych badań otaczającej ich rzeczywistości, to prawdopodobieństwo jakiegoś gwałtownego załamania się porządku społecznego w tych krajach jest stosunkowo niewielkie. Mowa tu raczej o rozłożonych na lata procesach, którym politycy będą próbowali z mniejszą lub większą skutecznością zapobiegać. Jednym z elementów tych działań zapobiegawczych jest walka o rynki zarówno krajów Europy Centralnej, jak i o rynki Ameryki Łacińskiej, a więc regionów, które rokują dziś nadzieję na to, że będą mogły wchłonąć część nadwyżek produkcyjnych państw najbardziej rozwiniętych i płacić za ich towary gotówką.

Oczywiście byłoby zasadniczym nieporozumieniem stwierdzenie, że Zachód ma jakieś jednolite plany czy oczekiwania względem tych regionów. Mamy tu raczej do czynienia z rozproszonymi wiązkami działań, nacisków i oczekiwań, które kierowane są do różnych grup interesów aktywnych w tamtych społeczeństwach. Suma tych działań wyraźnie zmierza do jak najszybszego i jak najszerszego otwarcia rynków w tych krajach dla towarów zachodnich i do maksymalnej osłony własnych rynków przed towarami z tych krajów.

Te oczekiwania jednostronnego otwarcia granic w niewielkim stopniu wyznaczały w ostatnich latach kurs polityki gospodarczej w krajach Europy Centralnej (podobny proces obserwowaliśmy w wielu krajach Ameryki Łacińskiej).

Uleganie tym naciskom nie było wyłącznie wynikiem mody intelektualnej czy naiwności. Aczkolwiek towarzyszyła im czasem przesadna wiara w bezinteresowność i bezwzględną uczciwość zachodnich partnerów, to mieliśmy tu również do czynienia z pewną racjonalną kalkulacją. Z jednej strony politycy w tych krajach (i to niemal z wszystkich obozów politycznych) zakładali, że zgoda na niesymetryczną wymianę handlową jest poniekąd warunkiem stopniowego wchodzenia do zachodnich struktur, z drugiej strony szerokie otwarcie dla zachodnich towarów traktowano jako niezbędne lekarstwo wspomagające proces modernizacji krajowej produkcji. Nie bez pewnej słuszności zakładano, że bez szerokiej konfrontacji z nowoczesną produkcją zachodnią, nie dojdzie do zasadniczej zmiany mentalności krajowych producentów. Zakładano również (ponownie nie bez racji) że jednostronnej liberalizacji handlu towarzyszyć będzie napływ zagranicznego kapitału i import technologii. Jeśli zatem wyłaniają się tu jakieś niepokoje, to są to niepokoje dotyczące długofalowego rozwoju. W tej dziedzinie, po doświadczeniach z centralnym planowaniem, politycy byłych krajów socjalistycznych bardziej wydają się ufać „niewidzialnej ręce rynku” aniżeli próbującym przewidywać przyszłość uczonym. Po doświadczeniach z wcześniejszymi generacjami futurologów trudno się temu dziwić, ale równocześnie wiara w spontaniczne procesy i w ową „niewidzialną rękę rynku” może ograniczać politykę do krótkofalowych działań zdominowanych przez reakcje na wyłaniające się kryzysy.

Jednym z centralnych problemów polskiego (i nie tylko polskiego) społeczeństwa jest kwestia wyboru drogi transformacji rynku pracy, a w szczególności modernizacji wsi. Spór toczy się o to, czy dążyć do maksymalnie szybkiej racjonalizacji polskiego rolnictwa według wzorów zachodnich, czy poszukiwać drogi pozwalającej na względnie szybkie włączenie maksymalnej ilości mieszkańców wsi do nowoczesnego rynku pracy. Prezentując to w bardzo skrótovej formie, podstawowym niebezpieczeństwem dalszego rozwoju społecznego może okazać się lawinowy wzrost obszarów nędzy i nieprzystosowania do nowoczesnego systemu gospodarczego. Proces powszechnej prywatyzacji z konieczności doprowadzi do uwolnienia z przemysłu ciężkiego, maszynowego, wydobyw-

czego, itp. ogromnej masy ludzi, z których daleko nie wszyscy znajdą sobie nowe miejsca pracy w przemyśle prywatnym. Zapewne z oporami, ale i sektor usług publicznych ulegać będzie „odchudzeniu”, co oznaczać będzie dodatkowy nacisk na rynek pracy. Najgorzej wykształcona część ludności (a więc głównie mieszkańcy wsi) będzie miała największe trudności z dostosowaniem się do nowych warunków i w niemałej części funkcjonować może w charakterze „ludzi zbędnych”. W wypowiedziach czołowych ekonomistów (m.in. Leszka Balcerowicza i Grzegorza Kołodki) czytamy o strategiach zmierzających do równoczesnego zmodernizowania polskiego rolnictwa głównie przez powiększenie obszaru gospodarstw rolnych, radykalnego zmniejszenia liczby osób utrzymujących się z rolnictwa oraz zatrzymania mieszkańców wsi tam gdzie są, czyli na wsi.

W przygotowanej przez ministra Kołodkę i zatwierdzonej przez rząd „Strategii dla Polski” zakłada się zmniejszenie w ciągu najbliższych lat liczby gospodarstw rolnych do 700 tysięcy. Koncepcja, że zdecydowana większość mieszkańców wsi w ciągu kilku lat porzuci rolnictwo i nie porzucając wsi znajdzie sobie inne zajęcia wymaga bliższego oglądu. Na obraz dzisiejszej polskiej wsi możemy spojrzeć przez pryzmat statystyk na temat struktury wieku, wykształcenia, dochodów, świadczeń chorobowych i emerytalnych, alkoholizmu, wyposażenia gospodarstw domowych, itp., względnie, bardziej obrazową metodą reportażu. Już obraz wynikający ze statystyk nie pozostawia wielu wątpliwości. Z ponad dwóch milionów gospodarstw prywatnych ponad połowa to gospodarstwa mające mniej niż 5 hektarów ziemi. Roczne średnie dochody z rolnictwa wynosiły w 1992 roku 24.132 tys. zł. a łącznie z dochodami z rent, zasiłków i płac 50.621 tys. zł¹. Zdaniem samych rolników przyrost dochodów w kolejnych latach był niższy niż stopa inflacji. Na ile skargi rolników zgadzają się z rzeczywistością? Odwiedzając w październiku 1995 szereg wsi nie udało mi się natrafić ani na jedno gospodarstwo, w którym prowadzone byłyby rachunki. (Do prowadzenia rachunkowości w prywatnych gospodarstwach

1. Źródło: *Przegląd polityki rolnej. Polska*, OECD, przekład polski: „Fundacja Rozwój SGGW”, Warszawa 1995.

rolnych nie zmusza ani istniejący w Polsce system podatkowy, ani tradycja, ani przenikające tu i ówdzie koncepcje nowoczesnego gospodarowania.) Z publikowanych w Polsce statystyk dowiadujemy się, że dochody rolników oscylują w pobliżu minimum socjalnego, a ponieważ statystyki prezentują wielkości średnie, oznacza to, że znaczna część mieszkańców wsi plasuje się znacznie poniżej owego minimum. Innymi słowy wydaje się, że blisko połowa gospodarstw prywatnych, to gospodarstwa wegetujące, w których w ostatnich latach nie było żadnych inwestycji kapitałowych i które ulegają stopniowej dewastacji.

Taki obraz wydaje się potwierdzać bezpośredni ogląd wsi. To co widać gołym okiem to osobliwą motoryzację polskiej wsi. W ciągu ostatnich kilku lat na wieś trafiły setki tysięcy starych samochodów z miast. Syrenki, trabanty, małe fiaty o przeciętnej wieku powyżej dziesięciu lat. Ta motoryzacja jest fenomenem równie interesującym jak słynne video, które rzeczywiście spotyka się niemal w każdym wiejskim domu. (Zatrzymajmy się przy tym video. Przede wszystkim na wsi jest to z reguły nie magnetowid tylko o połowę tańszy tzw. odtwarzacz, jest to sprzęt kupowany głównie przez młodych, a jego koszt wynosi mniej więcej półtora „kuroniówki”. Z rozmów z młodymi rolnikami wynika, że jest to głównie symbol statusu, który w chwili obecnej służy wyłącznie do oglądania najgorszej kategorii filmów propagujących gwałt i pornografię. Przynajmniej teoretycznie mogłoby to być medium doskonale służące do rozpowszechniania poradnictwa fachowego i informacji handlowej. Liczne agencje rozwoju wsi nie wydają się być jednak zainteresowane tego rodzaju możliwościami.) Używany samochód osobowy jest znacznie droższy, ale w odróżnieniu od video, w pewnym sensie stanowi praktyczne wyposażenie gospodarstwa, pozwala na oszczędność czasu i służy jako środek transportu towarów. Problem polega jednak na tym, że owe gospodarstwa wegetujące z reguły nie spełniają żadnych kryteriów przedsiębiorstwa – nie prowadzi się w nich rachunkowości, nie widać w nich żadnych prób zwiększenia wydajności przez poprawę organizacji pracy, przez poprawę nasiennictwa, jakości bydła, jakości pasz, jakości nawożenia itp. W gospodarstwach tych nie ma praktycznie rzecz biorąc żadnej akumulacji kapitału,

a często nie widać tu prób poprawienia jakości życia nawet w tych granicach, które mogłyby być dostępne bez większych inwestycji kapitałowych. Jedyne nadwyżki, które w tych gospodarstwach można zauważyć to nadwyżki czasu wolnego, zużywanego na oglądanie telewizji, video i picie alkoholu. Na przestrzeni ostatnich lat na polskiej wsi miał miejsce gwałtowny rozpad starych więzi organizacyjnych, które nie zostały zastąpione nowymi, dramatyczny spadek czytelnictwa gazet i pism rolniczych, wyłonienie się nowych instytucji „obsługi” prywatnego rolnictwa. W efekcie znaczną część mieszkańców wsi charakteryzuje rosnąca z roku na rok apatia i poczucie beznadziei, wśród młodzieży z tej grupy społecznej z roku na rok wzrasta przestępczość, spada liczba uczniów kontynuujących naukę w szkołach średnich i wyższych. Migracja do miast została zahamowana z powodu braku miejsc pracy i braku mieszkań. Większość gospodarstw drobnych i część średnich przed ostatecznym bankructwem chroni system rent i emerytur oraz zasiłki dla bezrobotnych. Niemal cała młodzież wiejska pierwszy rok po ukończeniu szkoły spędza na zasiłkach dla bezrobotnych. Znosząc złe subwencje dla rolnictwa wprowadzono jeszcze gorszy mechanizm zasilania wsi w gotówkę. Obecny system jest w najwyższym stopniu demoralizujący, nie stymuluje wzrostu wydajności pracy, a wyłącznie podtrzymuje wegetację.

Pod koniec lat osiemdziesiątych „Solidarność Rolników Indywidualnych” postulowała utworzenie z części PGR-ów sieci państwowych stacji obsługi prywatnego rolnictwa. Część działaczy tego związku zakładała, że rozpad komunistycznej polityki rolnej prowadzić powinien do intensyfikacji wykorzystania prywatnego rolnictwa w jego obecnej strukturze, a dopiero w dalszej kolejności stopniowe przekształcenia struktury gospodarstw rolnych. Te koncepcje natrafiły na stanowczy opór polityków i ekonomistów z ówczesnego kręgu doradców Lecha Wałęsy, a następnie ugrupowania skupione wokół Tadeusza Mazowieckiego. W efekcie nowa polityka rolna okazała się osobliwym skrzyżowaniem koncepcji liberalizmu gospodarczego i działań osłonowych wzorowanych na ideach zachodnich. Odrzucone zostały wszelkie pomysły wykorzystania części PGR-ów na stacje obsługi prywatnego rolnictwa, odrzucone zostały wszelkie pomysły

stymulowania przez państwo produkcji maszyn i narzędzi rolniczych dostosowanych do istniejącej struktury rolnej, bez końca toczyły się dyskusje na temat finansowania rozwoju wsi i systemu preferencyjnych kredytów. Równocześnie w ciągu kilku miesięcy zrealizowana została ustawa o emeryturach dla rolników, wprowadzone zostały zasiłki dla bezrobotnych, z których znaczna część trafia na wieś. Wyplacono wielomiliardowe odprawy dla zwolnionych z pracy pracowników rozwiązyanych PGR-ów.

W tym samym czasie lawinowo rosły ceny środków produkcji maszyn i narzędzi, zanikało i tak bardzo kiepskie na wcześniejszym etapie poradnictwo zawodowe, spadały dochody rolników ze sprzedaży płodów rolnych. Państwo opiekuńcze i liberalizm gospodarczy dotarły równocześnie na polską wieś, tworząc najbardziej niesprzyjający rozwojowi konglomerat jaki można sobie wyobrazić. Prowadzona w ostatnich latach polityka „rozwoju wsi” okazała się najbardziej skuteczną metodą tworzenia rodzimej *underclass* lub jak kto woli warstwy „ludzi zbędnych”, którzy szybko przystosowali się do możliwości stwarzanych przez system zasiłków, a których system „gospodarki rynkowej” równocześnie wepchnął jeszcze głębiej niż w okresie poprzednim w apatię i inercję.

Wieś jest zróżnicowana, ale mówimy tu o grupie rolników stanowiącej wraz z rodzinami 5-6 milionów ludzi, dla których równą klęską jest brak urodzaju jak i urodzaj, w pierwszym przypadku nie mają czego sprzedać, w drugim ceny skupu spadają tak nisko, iż często nie opłaca im się odwozić towaru do punktu skupu. W efekcie obserwujemy częściowy odwrót od gospodarki towarowej i powrót do żywnościowej samowystarczalności. Rachunki za elektryczność, podatki, składki PZU coraz częściej opłacane są nie z zysków, a z rent, emerytur i zasiłków. W prasie miejskiej coraz częściej znajdujemy pełne oburzenia stwierdzenia, że miasto utrzymuje wieś. Są to stwierdzenia co najmniej w części prawdziwe. Z budżetu państwa pompuje się ogromne sumy na rzecz społeczności wiejskiej, z tym, że pieniądze te częściej oddziałują hamująco, aniżeli stymulują gospodarczy rozwój wsi. Co więcej, ten rozwój, który na wsi ma miejsce, pogłębia istniejące dysproporcje i zmniejsza jeszcze bardziej szanse wyrwania z inercji grup najuboższych.

Konsekwencje dotychczasowej polityki rolnej są trudne do przewidzenia — albo ta wegetująca warstwa drobnych rolników będzie trwała, pochłaniając ogromną część budżetu państwa; albo obciążenia finansowe tych gospodarstw radykalnie wzrosną, co prowadzić będzie do masowych bankructw i zabierania ziemi przez komorników; albo wreszcie (co wydaje się dziś rzeczą najmniej prawdopodobną) dojdzie do istotnej zmiany polityki rozwoju wsi i prób aktywizacji tej grupy społecznej przez stymulowanie rozwoju ich warsztatów pracy, stopniową redukcję czasu wymaganego na obsługę tych gospodarstw i stymulowanie produkcji pozarolnej na wsi. Jedyne skuteczne wzory tego rodzaju polityki rozwoju wsi znamy z niedawnej historii państw Dalekiego Wschodu. W pewnym sensie można powiedzieć, że sukcesy gospodarcze tych państw wynikały nie tylko z agresywnej polityki eksportowej, a w znacznym stopniu okazały się konsekwencją wyboru alternatywnej do zachodnich koncepcji państwa opiekuńczego, polityki społecznej, która zmierzała do zabezpieczenia socjalnego przez pracę. Również w tym przypadku dotyczyło to przede wszystkim ludności wiejskiej, która miała wszelkie dane po temu, aby w wyniku szybkiej modernizacji rolnictwa na wzór zachodni stać się warstwą „ludzi zbędnych”. W obawie przed taką możliwością zdecydowano się na rozwój małego gospodarstwa przez wzrost wydajności, tworzenie infrastruktury pozwalającej na minimalizację czasu jego obsługi i na dramatyczne wręcz wysiłki zmierzające do zniwelowania różnic na poziomie wykształcenia ludności wiejskiej i miejskiej. „Ludzie zbędni” pozostali na swoim i w oparciu o swoje warsztaty pracy stopniowo włączani byli w nowoczesny rynek pracy. W efekcie Japonia, Południowa Korea czy Tajwan (gdzie obserwowaliśmy podobną politykę rozwoju wsi) zdołały osiągnąć znacznie wyższy niż społeczeństwa zachodnie poziom wykorzystania potencjału ludzkiego i zdołały uniknąć pułapki pojawiania się owej, uzależnionej od państwa opiekuńczego, *underclass*. Dziś twierdzi się, że Stany Zjednoczone mają nadal przewagę nad Japonią jeśli idzie o poziom wykształcenia elit, coraz częściej jednak słyszy się twierdzenia o lepszym wykształceniu, wyższej wydajności i większej elastyczności robotnika japońskiego niż robotnika amerykańskiego. Sukcesy państw Dalekiego Wschodu przy-

pisuje się często polityce eksportowej, dyktatorskim metodom wprowadzania reform gospodarczych, buddyzmowi, tradycyjnej pracowitości tych ludów. Wszystko to są czynniki, które z pewnością warto zauważyć. Problem polega jednak na tym, że dyktatury były w tych krajach i wcześniej, tradycyjna pracowitość na wcześniejszych etapach nie była w stanie przełamać dramatycznej nędzy i zacofania warstw najniższych na wsiach, zaś agresywna polityka eksportowa okazała się skuteczna dopiero wtedy, kiedy kwalifikacje pracowników przemysłowych pozwoliły na zagwarantowanie jakości towarów, konkurencyjnej wobec towarów zachodnich. W konkurencji między zachodnią ideą państwa opiekuńczego a wschodnią koncepcją rozwoju najbardziej prymitywnych warsztatów pracy, na długą metę wygrała ta druga. Podczas gdy w krajach zachodnich państwo opiekuńcze w niemałym stopniu przyczyniło się do rozbicia tradycyjnego modelu rodziny, przyczyniło się do poważnego kryzysu systemu oświaty, i poważnie osłabiło motywację do pracy – w krajach Dalekiego Wschodu ludzie potencjalnie zbędni pozostali na swoich warsztatach pracy, które przy dobrze zorganizowanej pomocy państwa rozwijały się, dzięki czemu nie stali się nigdy zbędnymi, nie stali się źródłem społecznej patologii, a wręcz przeciwnie dostarczali i dostarczają przemysłowi dobrze wykształconych kadr, stopniowo przenoszących się do miast.

Czy taka alternatywa dla Polski istnieje? W połowie listopada 1995 ukazał się w *Polityce* (nr 45/2010) artykuł Romana Jagielińskiego. Minister rolnictwa prezentował w nim działania podejmowane przez ministerstwo. W jego prezentacji zapowiedzi tempa przemian strukturalnych (w porównaniu z wcześniejszymi publikacjami ministerstwa i koalicyjnego rządu) zostały znacznie złagodzone. Zdaniem Romana Jagielińskiego „.... mniej więcej w latach 2005-2010 przeciętna powierzchnia polskiego gospodarstwa rolnego wyniesie 15 ha (dziś – 7 ha), liczba ich zmniejszy się do jednego miliona (dziś 2,1 mln), na roli pracować będzie nie więcej niż 15 proc. ogółu zatrudnionych (dziś – 27 proc.)”.

Roman Jagieliński wyjaśnił również, dlaczego te przemiany nie mogą, czy też nie powinny, być dokonywane w szybszym tempie. „.... nieuchronną konsekwencją przekształceń rolnictwa – pisał – będzie wyłonienie paromilionowej masy

mieszkańców wsi zbędnych dla przekształconego rolnictwa”. Autor zwracał uwagę na fakt, że w latach 1989-95 obserwowaliśmy nienaturalny trend powrotu ludzi z miast na wieś. W zakładach pracy, właściciele kawałka ziemi byli nieodmiennie pierwszymi kandydatami do zwolnień z pracy (zakładano bowiem, że nawet jeśli nie zarobią, to z głodu nie umrą). Mimo odłogującej ziemi zatrudnienie w rolnictwie wzrosło w tym czasie o 13%. Roman Jagieliński również wyrażał swoje przekonanie, że nie ma żadnych szans na to, aby zbędne dla rolnictwa nadwyżki mogło wchłonąć miasto. Dlatego, też – pisał – transformacja wsi musi trwać długo. Pytanie jednak, czy rzeczywiście uzgodniono strategię owej transformacji i czy ten długi proces już się rozpoczął. Zdaniem ministra Jagielińskiego – tak, dla odwiedzającego polską wieś obserwatora polskiej sceny politycznej odpowiedź ta bynajmniej nie jest taka jednoznaczna.

Faktem jest jednak, że negatywne działanie opisywanego wcześniej starcia państwa opiekuńczego z daleko niedoskonałym systemem rynkowym zaczyna być dostrzegane. W drugiej połowie listopada 1995 ministerstwo pracy zapowiedziało zmianę zasad przyznawania zasiłków dla bezrobotnych, dla osób kończących szkoły ponadpodstawowe. W nowym systemie zasiłki będą powiązane z aktywnymi staraniami o pracę, z gotowością wykonywania robót publicznych w okresie bezrobocia lub kontynuowaniem nauki.

Ani wystąpienie ministra Jagielińskiego, ani zapowiedzi ministerstwa pracy nie wskazują jeszcze na to, że w kręgach polityków zaczyna się dostrzegać doniosłość i trudność wypracowania strategii rozwoju wsi. Przeciwnie, w publicystyce dominują narzekania informujące raczej o postawach piszących (które charakteryzuje głęboka niechęć i pogarda do grup społecznych znajdujących się na samym dole drabiny społecznej), aniżeli refleksja nad możliwościami społecznej i gospodarczej aktywizacji tych grup.

Londyn, 25.11.1995 r.

Andrzej KORASZEWSKI

Czy Polska potrzebuje własnej Mony Sahlin?

Dn. 10 listopada 1995 szwedzka wicepremier Mona Sahlin podała do wiadomości, że nie zamierza ubiegać się o stanowisko premiera i przywódcy socjaldemokracji oraz, że rezygnuje ze wszystkich swoich funkcji w obecnym rządzie szwedzkim. W ten sposób zakończyła się bulwersująca ostatnio Szwedów tzw. afera Mony, która zaowocowała też debatą o honorze polityka i etyce tego zawodu. Przypomnijmy parę podstawowych faktów.

Dn. 18 sierpnia obecny premier Szwecji, Ingvar Carlsson zapowiedział, że ustąpi ze stanowiska przywódcy partii i szefa rządu na nadzwyczajnym zjeździe szwedzkiej socjaldemokracji w dniach 15-17 marca 1996. Jedynym właściwie kandydatem na następcę Carlssona, przez niego samego otwarcie popieranym, była wicepremier Mona Sahlin. Ta 38-letnia dziś, przystojna kobieta, obdarzona wielką zdolnością komunikowania się z wyborcami oraz umiejętnością mówienia o trudnych nawet problemach w sposób jasny i zdroworozsądkowy, cieszyła się dużą popularnością. Jej to w znacznej mierze zasługą jest to, że naród szwedzki wypowiedział się w referendum, choć niewielką większością głosów, za wejściem Szwecji w skład Unii Europejskiej.

Gdy wydawało się, że problem sukcesji po premierze Carlssonie został ostatecznie rozwiązany, popołudniówka *Expressen*, a za nią inne gazety zaczęły publikować materiały o pewnych nieprawidłowościach w gospodarowaniu prywatnymi finansami rodziny Sahlin. Okazało się, że pani wice-

premier niechętnie płaciła mandaty za nieprawidłowe parkowanie, z opóźnieniem regulowała podatkowe zaległości, zdarzało jej się zapominać o opłatach za przedszkole i telewizyjny abonament. Jednak wyjątkowo zapracowanej i zabieganej Monie Sahlin, pełniącej odpowiedzialne funkcje partyjne i państwowe, matce trojga dzieci, która nie dysponuje żadną pomocą domową, opinia publiczna wybaczyłaby może opóźnienia w regulowaniu rachunków. Znacznie większe przewinienie polegało na tym, że Mona Sahlin używała czasami służbowej karty kredytowej członka rządu do płacenia rachunków prywatnych. Te nieznaczne w gruncie rzeczy sumy oczywiście ściągano jej później z poborów. I tak państwo Mona i Bo Sahlin mają tylko jeden samochód: volvo z roku 1986. W grudniu 1994 tym dość sfatygowanym 9-letnim wozem jeździł mąż, a Mona wypożyczyła inny samochód. Rachunek za wypożyczenie w wysokości 1400 US\$ zapłaciła kartą służbową, co w styczniu 1995 ściągnięto jej z pensji. Przy pomocy tej samej karty dokonała Mona raz zakupu ubrań, a parę razy także artykułów codziennego użytku.

Zaznaczmy od razu, że Mona Sahlin nie chciała, ani nawet nie mogła dokonać żadnej malwersacji. Prywatne zakupy przy pomocy karty służbowej traktowała po prostu jako zaliczkę na konto swoich poborów. Wysokość tych zakupów nie przekroczyła nawet jej jednej miesięcznej pensji, a wszystkie zaległości zostały spłacone zanim cała „afera” została opisana w gazetach. Mimo to popularność pani wicepremier w społeczeństwie szwedzkim, a także w szeregach jej własnej partii katastrofalnie spadła. Problem nie dotyczył bowiem wysokości sum, owych sławnych już w całym Norden dwóch paczek pieluch i czekoladki *Toblerone*, za które pani wicepremier zapłaciła kartą służbową; „afera Mony” dotyczy zasad, a głównie świętej w Szwecji zasady równości.

Przed wszystkim postawiono pytanie, czy polityk może niejako sobie pożyczyć na konto poborów pieniądze podatnika. Czy jest to zgodne z wymogami reprezentanta narodu oraz z zasadą równości, skoro możliwości takiej pozbawiona jest większość zwykłych pracobiorców?

Trzeba tu wyjaśnić, że politycy szwedzcy żyją nader skromnie, zwłaszcza w porównaniu ze standardem kadry kierowniczej wielkiego biznesu, banków, firm inwestycyjnych,

finansowych fundacji czy nawet wysokich dyrektorów państwowej administracji. Kontuzjowany premier Carlsson, stojący z zagipsowaną nogą na wietrznej sztokholmskiej ulicy w kolejce do bankomatu, aby pobrać kilkaset koron stanowił widok równie zwykły, co zamożni, mieszczańscy politycy przyjeżdżający do parlamentu na rowerach. Polityk szwedzki, nawet dysponujący okazałym majątkiem osobistym, ma żyć skromnie, a wydatki reprezentacyjne ograniczać do niezbędnego minimum. Obecny wicepremier spraw zagranicznych, Pierre Schori, odpowiedzialny za stosunki z Europą Wschodnią i Baltikum, skądinąd szara eminencja socjaldemokratycznego resortu spraw zagranicznych od roku 1982, został właśnie surowo skarcony za to, iż w czasie podróży służbowej wiosną tego roku zatrzymał się w pięciogwiazdkowym londyńskim Browns Hotel. Zgodnie z zaleceniami kancelarii rządu, szwedzcy ministrowie mają się zatrzymywać w dobrych hotelach średniej klasy (cena noclegu nie powinna przekraczać 200 US\$ za dobę) i korzystać z biura podróży Bennetta, wybierając najtańszą formę przelotu. To prawda, że dyrektorzy wielkich szwedzkich koncernów i korporacji latają często prywatnymi samolotami swoich firm, a do dyspozycji mają własne rezydencje lub rezerwowane na stałe, przez okrągły rok, apartamenty hotelowe. Jednak dyrektorzy ci nie podróżują na koszt podatnika. Szwedzki parlamentarzysta, który wzorem pewnego polskiego posła przybyłby do ambasady w Paryżu i zażądał „rozrywek gastronomicznych” po prostu już nigdy więcej nie byłby posłem, ani nawet państwowym urzędnikiem.

Mona Sahlin zdawała sobie oczywiście sprawę z zasad obowiązujących polityka w Szwecji, podkreślała swoją zwyczajność, chętnie chodziła w jeansach, a sweterki kupowała w tanim domu towarowym. Jako wicepremier otrzymywała miesięczną pensję brutto w wysokości ca. 8.300 US\$, mąż jej zarabia połowę tej sumy. Nie jest to dużo, gdy się pamięta o trójce ich dzieci, o bardzo wysokiej progresji podatkowej, o tym, że koszty utrzymania w Szwecji są wyższe niż w większości krajów Unii Europejskiej i że państwo Sahlin – jak większość szwedzkich pracobiorców – mają długi.

Jeśli idzie o sprawę Mony Sahlin, to żadnego znaczenia nie ma tu niewielka wysokość zaliczek, ten czekoladowy

batonik, pieluchy czy spódniczka kupiona na Starówce, bo nie chodzi o pieniądze, ale zasady i dobre imię polityka. Dobrego imienia, podobnie jak dziewictwa nie można stracić „tylko trochę”, zauważył Jörgen Detlefsen, niemiecki dziennikarz w Szwecji, zaznaczając iż także w Niemczech „afery” tego typu doprowadziłyby do upadku polityka. Jeżeli raz pozwolimy na osłabienie tej fundamentalnej, skądinąd opisananej jeszcze przez Webera, protestanckiej zasady – mówi profesor Jan-Erik Lane – że środki publiczne nie mogą być nigdy użyte w celu prywatnym, szybko spadniemy do poziomu państw Ameryki Łacińskiej czy Włoch, gdzie korupcja oraz wykorzystywanie stanowiska są niejako wpisane w system.

Pod bardzo wieloma względami katolicka Polska stanowi dokładne przeciwieństwo luteranckiej Szwecji. W kręgach polskich elit politycznych od dawna obserwujemy narastającą nonszalancję do własności publicznej i do pieniędzy podatnika, co musi budzić zatrzwożenie nawet w kraju postkomunistycznym, w którym skądinąd zawsze silna była tradycja darcia podstawy sukna. Ograniczony rozmiarami artykułu posłużę się przykładem tylko jednym, ale nader znamionym.

Po odejściu z Belwederu Lech Falandysz wypowiadał się na łamach prasy i jeden z jego wywiadów nosił ciekawy tytuł „Goły i wesół”. Odzwierciedlał on radosne samozadowolenie pana Falandysza z faktu, iż objął on swój urząd „goły i wesół” i w takim stanie ducha oraz ciała z urzędu odszedł. Pan Falandysz uważany jest w Polsce za osobnika, który cynizmem swoich wypowiedzi już dawno przewyższył Urbanowice „rząd się wyżywi”, jednak jego powyższa wypowiedź jest nie tyle cyniczna, co patologiczna. Wyobraźmy sobie bowiem, że czytamy w prasie wypowiedź kasjera jakiegoś polskiego banku, który chwali się, iż nadal jest „goły i wesół”, bo choć przez jego ręce przechodzą duże sumy, to jeszcze nie ukradł miliona dolarów. Albo dumną konstatację celnika, iż goły jest i wesół, bo skonfiskowaną kontrabandę przekazuje skarbowi państwa zamiast odwozić ją do najbliższego pasera. Po lekturze takich enuncjacji uznalibyśmy

niewątpliwie, że owego kasjera, czy celnika należy czym prędzej zwolnić z pracy, odsyłając na kurację psychiatryczną. Człowiek normalny nie będzie się przecież publicznie chwalił tym, że uczciwie wykonuje swoje służbowe obowiązki, nie kradnie, nie bierze łapówek, nie ciągnie zysków z szantażu i nie dokonuje czynów opisanych w kodeksie karnym. Pan profesor Falandysz czymś takim właśnie się pochwalił, nadmieniając przy okazji, że jego były szef pochodzi z biednej rodziny, ma nader liczną progeniturę, a nie wyjdzie przecież z czapką i nie powie: Narodzie, daj na domek dla syna! Należy z tego prawdopodobnie wyciągnąć wniosek, że sam Lech Falandysz albo pochodzi z rodziny bogatej, albo też spłodził nieliczne potomstwo, skoro mógł sobie pozwolić na odejście z urzędu jako finansowy nudysta.

Wśród polityków polskich panuje powszechne przekonanie, iż dla rządzących inne muszą być prawa niż dla rządzonych, że wejście do aparatu władzy niejako automatycznie musi się wiązać ze znaczną poprawą stanu majątkowego szczęśliwego przedstawiciela elity. Przekonanie to – skądinąd będące jednym z symptomów procesu, który na Zachodzie często nazywa się „afrykanizacją krajów postkomunistycznych” – jest wśród polityków polskich różnych obozów tak silne, że kto się ośmieli z nim nie zgodzić, natychmiast otrzymuje etykietę „populisty” i matołka, który nie ma pojęcia o polityce, bo przecież „tak jest wszędzie”.

Rzeczywiście, nawet w ustabilizowanych demokracjach zachodnich nie brak różnych afer, których efektem jest coraz bardziej narastająca niechęć, wręcz obrzydzenie, jakie wielu obywateli żywi do samej profesji polityka. Gdy Colin Powell ogłosił, że nie zamierza ubiegać się o nominację w partii republikańskiej na prezydenckiego kandydata, jeden z komentatorów stwierdził, iż rozumie tę decyzję, gdyż uczciwy człowiek powinien unikać złego towarzystwa. Akurat na łamach *Kultury* nie trzeba chyba dowodzić, jak groźne dla demokracji jest to narastające przekonanie, że polityką zajmują się tylko kanalie. Jednak między Polską a demokracjami zachodnimi zachodzi różnica. Dla zachodniego polityka

zamieszanie w jakąś aferę czy skandal pociąga za sobą poważne konsekwencje dla jego dalszej kariery. Wiemy, jak w Belgii skończyła się łapówkowa afra AUGUSTA, jak w polityczny niebyt odchodzi Ruud Lubbers, a Felipe Gonzalez niebawem chyba podąży w jego ślady. Przed sądem stoi „przyjaciół papieży” – Andreotti, Berlusconi też zagrożony procesem, a wszystko wskazuje na to, iż także grecki wymiar sprawiedliwości zajmie się wkrótce pałacem Ekali pięknej Dimitry Papandreu. Wbrew popularnemu wśród polityków polskich przysłowiu, że gentlemani nie dyskutują o pieniądzach, angielscy gentlemani czynią to nader często; Wielka Brytania miała zresztą coś w rodzaju własnej „afery Mony”, gdy minister finansów, Norman Lamont, zapłacił rachunek kartą, nie mając pieniędzy na swoim prywatnym koncie.

Piszący te słowa uczestniczył kiedyś w szwedzkim seminarium, na którym dyskutowano, czy funkcjonariuszy policji i służb specjalnych obowiązują jakieś zaostrzone, specjalne normy etyczne. Dyskutanci doszli do wniosku, że takich norm nie ma; funkcjonariusze ci muszą – jak wszyscy obywatele – przestrzegać obowiązujących przepisów prawa karnego i cywilnego oraz swoich zawodowych regulaminów. Uczestniczący w seminarium zauważyli jednak, niejako na marginesie, że jest w Szwecji grupa ludzi, od których wymaga się więcej, których ocenia się ostrzej niż przedstawicieli innych profesji: są to politycy.

Polscy politycy nie mają w Szwecji i na świecie dobrej opinii. Podkreśla się często, iż polskiej dobrej sytuacji ekonomicznej, 5-procentowego wzrostu etc. nie można zapisywać ani na konto zasług poprzednich, postsolidarnościowych rządów, ani obecnego rządu postkomunistycznego. Niewątpliwie sukcesy gospodarcze odnoszą Polacy niejako wbrew swoim politykom, którzy przecież nie rozwiązali większości podstawowych problemów kraju; są nim archaiczna struktura rolna, prowizorium konstytucyjne, konieczność prywatyzacji nieefektywnych, państwowych „dinozaurów” oraz reformy systemu ubezpieczeń społecznych, bardzo zła

sytuacja mieszkaniowa, uniemożliwiająca transfer siły roboczej – lista tych problemów jest długa. Na łamach poważnego dziennika businessu, *Dagens Industri*, Hakan Holmlund w przededniu drugiej tury wyborów prezydenckich stwierdził, że „Polacy są po prostu lepsi w robieniu interesów niż w uprawianiu polityki”. W dalszej części tego obszernego artykułu czytamy, iż w ostatnich latach panował w Polsce wyjątkowy chaos polityczny, ale kryzysy władzy i ciągła walka prezydenta z kolejnymi rządami nie zakłóciły na szczęście gospodarczego rozwoju kraju. (Hakan Holmlund przytacza z drwiną niektóre wyborcze wypowiedzi Wałęsy, np. autoklame własnej męskości, wyrażającej się w spółdzeniu ośmiorga dzieci, a następnie cytuje szwedzkiego dyplomatę z Warszawy, panią Evę Nilsson, która mówi: „Nie słyszałam o ani jednym szwedzkim inwestorze, który zamierzałby zmienić swoje plany w wypadku zwycięstwa byłego komunisty Kwaśniewskiego”). Niewątpliwie wielu zajmujących się Polską analityków czy dziennikarzy było już znużonych tym napompowanym pychą i otoczonym monarszym przepychem „prostym człowiekiem” – Wałęsą. Dlatego tak często cytowano różne opinie, według których także coraz więcej Polaków uważa Wałęsę za osobnika „despotycznego, niewykształconego i chamskiego” (Svante Lidén w *Aftonbladet*, 21/11). Jednak przemysłowcy i analitycy, z którymi rozmawiał dziennik *Dagens Industri*, zauważali, iż wynik wyborów prezydenckich właściwie nie ma znaczenia. Przecież wszyscy, a już zwłaszcza sami Polacy, nauczyli się ignorować chaos polityczny w Polsce.

Jeżeli tak jest rzeczywiście, jeżeli owi analitycy i przemysłowcy mają rację, to trudno wyobrazić sobie bardziej surowy wyrok wydany na „elitę” polityczną w Polsce: wyobcowani, właściwie zbędni i skorumpowani ludzie, którzy tworzą tylko chaos.

Trzeba więc chyba odpowiedzieć twierdząco na pytanie będące tytułem niniejszej korespondencji. Może gdyby w Polsce opinia publiczna zmusiła któregoś z czołowych polityków do odejścia z równie pryncypialnych powodów jak te, które przyczyniły się do rezygnacji Mony Sahlin, to polskiej klasie politycznej rządzącej wyszłoby to jedynie na dobre.

S. ABNER

Dziennik pisany nocą

29 września

Znam Irinę Aleksiejewną Iłowajską Alberti od wielu lat. Poznałem ją w Rzymie, gdzie długo mieszkała przed wyjazdem do Paryża. Wspólnie, z jej inicjatywy i na podstawie posiadanych przez nią materiałów, rozegraliśmy i wygrali bitwę przeciw włoskiej telewizji, która ośmieliła się ocenzurować długą rozmowę z Siniawskim. Nasza akcja, nagłośniona przez prasę, oparła się o parlament włoski. Nasze zwycięstwo nie miało chyba precedensów w dziejach nadużyć, fałszerstw i chytrłości włoskiego obozu „postępowego” (czyli komunistycznego lub komunizantckiego): telewizja zmuszona była nadać po raz drugi rozmowę z Siniawskim w pełnym brzmieniu, bez ani jednego cięcia. Jeszcze dzisiaj dziennikarz rzymski, odpowiedzialny za operację nożyc cenzorskich, przechodzi na drugą stronę ulicy na mój widok.

Potem Irina Aleksiejewna objęła w Paryżu redakcję tygodnika *Russkaja Mysl*. Spotykaliśmy się często, zachodziłem niekiedy do redakcji, nasza przyjaźń okazała się trwała. Z bliskich Sołżenicynowi Rosjan na emigracji była z nim najbardziej zżyta, broniła go zawzięcie i inteligentnie przed małodusznymi zaczepkami rosyjskich emigrantów, podziwiała go i ceniła tak jak Jana Pawła II (to ona zresztą towarzyszyła pisarzowi podczas jego pamiętnej wizyty w Watykanie), trzy lata spędziła w Vermont jako jego sekretarka znająca świetnie liczne języki.

Z tym większą uwagą i z zaufaniem, przeczytałem przedwcześniej jej artykuł w znanej gazecie włoskiej (Irina

Aleksiejewna mówi i pisze bezbłędnie po włosku) na temat odebrania Sołżenicynowi stałej pogadanki w moskiewskiej telewizji. Pod jej piórem nie może wchodzić w grę żadna płaska niesprawiedliwość, tak rozpowszechniona i z taką lubością uprawiana wobec autora *Archipelagu*. Nie ma mowy by jej nie wierzyć, by ją posądzać o uproszczenia, spłylenia czy zniekształcenia.

Irina Aleksiejewna potępia słusznie sposób, w jakim Ostankino pozbyło się Sołżenicyna; nawet zwolnionemu z pracy woźnemu okazuje się zazwyczaj więcej względów. Co nie przeszkadza, że przyjaciółka pisarza wskazuje nieustanne pogarszanie się jego wygłaszanych co dwa tygodnie piętnastominutowych pogadanek. Główne zarzuty dadzą się skondensować w czterech punktach. Po pierwsze, pogadanki Sołżenicyna zagubiły po drodze dawny ładunek profetyzmu i wielkiego oratorstwa. Po drugie, przestały się zwracać do inteligencji rosyjskiej, którą pisarz ocenia coraz krytyczniej, stały się natomiast naiwnymi kazaniami do tzw. „ludu”. Po trzecie, jego sen o wielkiej zmartwychwstałej Rosji przesłonił mu obraz rzeczywistości rosyjskiej. Po czwarte, los mniejszości rosyjskich w niepodległych republikach (Ukraina, Kazachstan) zamazywał mu położenie i antyrosyjskie urazy tubylczych większości w tych republikach. Zauważono, że jego wywiady dla prasy zagranicznej przewyższały jaskrawo to, co miał do powiedzenia Rosjanom. Ponieważ *Russkaja Mysl* drukowała regularnie ostankińskie pogadanki telewizyjne, mogę w pełni potwierdzić surową lecz przepełnioną respektem (jeśli nie podziwem) opinię Iriny Aleksiejewnej.

Respekt (jeśli nie podziw) – taka musi być postawa każdego obiektywnego sądu o Sołżenicynie. A tymczasem weszło w modę, od chwili ciągłego wzrostu jego znaczenia i roli, hasło „huzia na Sołżenicyna”. Nie mówię oczywiście o sowieckiej nagonce propagandowej, odkąd stało się jasne że jest „nie do złamania czy kupienia”. Ani o drobnych i zawistnych literacikach, którzy przy byle sposobności starali się go oczerniać a nawet znieważać. Chodzi o ludzi o dużym, lub co najmniej znaczącym, ciężarze gatunkowym. Dwa przykłady.

Andrzej Walicki urządził sobie mały, prywatny jarmark próżności, ogłaszając w przekładzie na polski listy, otrzy-

mywane w ciągu dwudziestu lat od Sir Isaiah Berlina. Jest kwestią smaku, czy adresat epistoł ulepionych z lukru, miodu (z domieszką wazeliny) powinien się nimi publicznie chwalić, zwłaszcza że prócz niepowstrzymanej gradacji komplementów niewiele w nich ciekawego dla czytelników z zewnątrz. Ostatecznie to sprawa niedopieczzonego widać historyka (wybitnego), która dotyczy tylko jego, Berlina i redaktora warszawskiego czasopisma. Ale przynajmniej Walicki mógł być publikację listów-laudacji ograniczyć do duserów pod jego adresem, darując czytelnikom kopniaki poniżej pasa wymierzane innym. Sir Isaiah Berlin jest jednym z moich ulubionych pisarzy, znakomitym eseistą i historykiem, trudno mi więc było powstrzymać się od rumieńca wstydu (za niego), kiedy czytałem jego na niczym nie oparte i niewiarygodnie prostackie (u pisarza tej rangi) charakterystyki Sołżenicyna i Pasternaka. Niech mi będą oszczędzone cytaty, właśnie jako admirałowi błyskotliwego, uczonego i wytwornego (zdało się) Sira z Oxfordu.

Nowelistka rosyjska Tatiana Tołstoj, zdaje się że dość popularna w Ameryce, postanowiła się rozprawić z dwoma esejami Sołżenicyna *Jak odbudować Rosję* i *Rosyjska kwestia pod koniec XX stulecia*. Nic w tym dziwnego, przeciwnie – nie raz wypada przyznać rację nowelistce, bystrzejszej od „myśliciela i proroka”, którego publicystyka historyczna często budziła sprzeciwy. Ale ton! Począwszy od tytułu *Spektakl Sołżenicyna*; poprzez przyrównanie autora *Archipelagu* to do głupawego, starego emeryta na ławeczce w parku miejskim, to do telewizyjnego bufona. Panna Tołstoj wymienia co prawda półgębkiem zasługi i pisarskie walory Sołżenicyna, polemizuje z nim jednak (na temat owych dwóch esejów) w sposób urągający zasadom elementarnego respektu. Może wyszłoby jej na zdrowie pamiętać że w jakimś stopniu przełom dokonany w literaturze rosyjskiej (ex-sowieckiej) umożliwił takim jak ona swobodną produkcję nowelek. Może zrobiłoby jej dobrze cofnięcie się myślą w przeszłość, do epoki jej wielkiego przodka, czczonego przez wyznawców i szarpanego bez umiaru przez przysięgłych, zaciekleńców, denigratorów,

1 października

Za parę dni do Berlina. Przeglądam album fotograficzny *Berlin 1918-1933* Thomasa Friedricha.

Berlin równocześnie grubiańsko-ludowy, podminowany rewoltami, strajkami, inflacją, bezrobociem, nędzą, i wyrafinowany, łasy na awangardowe nowinki; miasto opisane w powieści Isherwooda, rozkołysane i rozśpiewane w kabaletach, wylęgarnia pamiętnych filmów, prekursor teatralny, malarski, architektoniczny, filozoficzno-socjologiczny. Obok twarzy przyszłych wielkich aktorek gęby rysowane przez Grosza. Obok czcigodnych potomków patrycjatu mieszczańskiego wściekle, gniewne tłumy, wyrój najpierw komunistów potem hitlerowców. Ta barwna i wybuchowa mieszanina nadała Berlinowi charakter serca i pulsu ówczesnej Europy, usuwając chwilowo w cień inne sławne metropolie. Zapewne, Paryż w kolejnej fazie rozkwitu. Ale w Berlinie działo się coś nieokreślonego, tupotowi nóg w demonstracjach ulicznych i na estradach kabaretowych odpowiadały dziwne odgłosy podziemne. Może dlatego do Berlina tak lgnęli uciekinierzy z bolszewickiej Rosji (150 tysięcy osób!), bohaterowie znakomitego *Daru* Nabokowa? Berlin pokłeskowy, szumny, taneczny i zarazem ponury, zapowiadał Berlin nową, nadchodzącą epokę – opętany wolą odwetu, dominacji, i ślepo pędzący w stronę przepaści. Miasto rośło zachłannie na własnych gruzach jutra; bystrzy obserwatorzy i znawcy widzieli to w meandrach wyobraźni. Czy nie tu właśnie, między bladym świtem i czerwoną poświatą zmierzchu, zaczął się *Untergang des Abendlandes*?

Ale album fotograficzny Friedricha urywa się na historycznym roku 1933. Byłem już raz w Berlinie kilka godzin w roku 1984. Pamiętam zmianę warty pod pomnikiem Czerwonej Armii, oglądaną ze skraju Tiergarten. Pamiętam Mur, paskudzony od zachodniej strony antyamerykańskimi sloganami, czyściuteńki na wschodnim odwrocie (jak mówiono).

Krótka podróż do Berlina, 4-10 października

Polskie wieczory literackie w berlińskiej *Akademie der Künste*: Mrozek, Herbert, ja, Różewicz (miał również być Kapuściński, ale leży w warszawskim szpitalu po wypadku samochodowym). Program opracowała DAAD, z polskiej strony jest (o ile wiem) w rękach Doroty Kerskiej. Jej mąż Basil, którego znam tylko z bardzo dobrych artykułów w *Kulturze*, przyjechał po nas na lotnisko. W drodze z lotniska do hotelu rozmowa podobna do obwąchiwania się dwóch psów. Uderza mnie jego doskonała orientacja w sprawach niemieckich (potem okazało się, że i polskich), trudno mi uwierzyć, że ma zaledwie dwadzieścia sześć lat. Jest synem irackiego lekarza (zamieszkałego obecnie w Berlinie), który studiował medycynę w Poznaniu i tam ożenił się z Polką. „Redaktor Giedroyc – powiada – bardzo lubił Mossul, pisze o tym w swojej autobiografii”. „Ja też – dorzucam – debiutowałem na obczyźnie reportażem *Mossul nieznany*, który wydrukowano w *Kurierze Polskim* w Bagdadzie. Ale pobyt wojska polskiego w Iraku pamięta dziś tylko dziadek mojego rozmówcy. Basil pracuje w berlińskim Instytucie politologicznym, oraz pisuje do spółki z żoną Dorotą (germanistką i polonistką z wykształcenia) w prasie niemieckiej. Kerscy będą odtąd najbliższymi nam towarzyszami berlińskich (i okolicznych) spacerów.

W pięciolecie zjednoczenia monachijska *Süddeutsche Zeitung* postawiła diagnozę, zdaje się że trafną: „Przez długi czas mówiono: dwa państwa, jeden naród; dziś należy mówić: jedno państwo, dwa narody”. Coś podobnego sugeruje hamburska *Die Zeit*, twierdząc że Niemcy są dziś „zjednoczone, ale nie są razem”. Nad tym „razem” głowią się wszyscy, przekonani w większości, że skok gospodarczy (cyfry wzrostu – czy po prostu pomocy ze strony NRF – istotnie imponują) i rekonwalescencja polityczna dokonają w końcu cudu, czyli urzeczywistnią cel „jednego państwa, jednego narodu”. Nie jest to takie proste: stopniowe (nawet szybkie) wyrównywanie

różnic „bytowych” i ustrojowych omija zjawisko o wielkim znaczeniu, znamienne dla b. „demokracji ludowych”, zjawisko długotrwałej choroby sowytyzacji, które wymaga równie długotrwałej rekonwalenscencji; i w którym psychologia i stan umysłu są tak samo (jeśli nie bardziej jeszcze) ważne jak poprawa gospodarcza i reformy polityczne. Nie, nie chodzi mi o słynną i nadużywaną kukłę *homo sovieticus*; chodzi mi o sowytyzację społeczną, obyczajową i moralną (raczej amoralną), o policyjny styl życia wdrożony i wkorzeniony znacznym odłamom ludności przez lata indoktrynacji i tresury. Wydobywanie się z tej choroby potrwa długo, parę pokoleń. W Bonn świętują pięciolecie zjednoczenia, w dawnej NRD pojawiają się transparenty: „Rocznica bez święta, nie ma dziś powodu świętować”. Zjednoczenie jest małżeństwem z rozsądku, zamożny mąż utrzymuje dość ubogą żonę, śpią zaś w osobnych pokojach. Być może, słowa z transparentu znajdują wyraz w przyszłych kartkach wyborczych.

W dzień po przylocie dwie panie z Instytutu Kultury Polskiej w Berlinie, Dorota Paciarelli i Anna Zinserling, zawiozły mnie, moją żonę i Mroźka do wschodniej części miasta (gdzie zresztą, na ulicy Liebknechta, znajduje się Instytut). Najpierw martwe miasto, posowieckie, pokomunistyczne, puste bloki koszarowe niekiedy tylko z otwartymi lub nie zasłoniętymi oknami. Przypuszczalnie siedziby dawnych urzędów, czekające na swoją chwilę *zurückgebaut*, chyba po przeniesieniu stolicy z Bonn do Berlina. (Żurawie zasłaniają niebo w zachodniej części miasta, we wschodniej jest ich znacznie mniej; ale dostatecznie długo widziałem w Monachium, na początku lat pięćdziesiątych, jak Niemcy pracują, by wiedzieć że za 10-15 lat Berlin będzie więcej niż stolicą Niemiec.) Potem ładny fragment wschodniego Berlina, plac Bebla z tabliczką w miejscu gdzie hitlerowcy palili książki (na tabliczce zdanie Heinego: „Zaczyna się od palenia książek, kończy się na paleniu ludzi”), fasada uniwersytetu Humboldta, świeżo odnowione kościoły.

Łazikując przy sprzyjającej pogodzie („jesienna wiosna” utrzyma się do końca naszego pobytu), trafiliśmy do dawnej dzielnicy żydowskiej, którą podobno dobrze opisał starszy brat Baszewisa Singera w powieści *Rodzina Karwowskich*.

Tutaj kamienice zdają się już sypać, trudności z ich odbudową polegają na tym, że spółdzielnie mieszkaniowe boją się inwestować, nie wiedząc czy nie wyskoczy nagle skądś prawowity, cudem ocalały spadkobierca. Na jednym starym podwórku żałowałem, że kiedyś zniknie i pociągnie za sobą w przepaść świat „wczoraj”.

W drodze powrotnej do hotelu starałem się nie patrzeć na okropne ruiny, przeznaczone jakoby do konserwacji ku wiecznej pamiętce: Reichstag, Brama Brandenburska. Kto patrzy na kolumnę wystawioną w roku 1871 po zwycięstwie nad Francuzami, ten przekona się jak ociężali, bez polotu, byli Niemcy nawet w momentach triumfu.

Problem przeniesienia stolicy z Bonn wymaga niby cierpliwości i stopniowości (prezydent Herzog już rezyduje w Tiergarten), dlatego głównie że bońscy urzędnicy przywiązali się już do swoich bliskich domków zamiejskich i myślą o przeprowadzce z niechęcią. Mało jest niestety szans, by stolicę przenoszono właśnie do małych miast, pozostawiając wielkie ich przekłębem (coraz bardziej) losowi.

Cieszyłem się na spotkanie ze Zbyszkim Herbertem, ale nie mógł przyjechać. Jego wiersze były czytane przez niemieckie recytatorki i przez miłego Ryszarda Krynickiego (którego pamiętam z Maisons-Laffitte i z Poznania).

Obiad w Domu Literatury z Barbarą Richter, dyrektorką DAAD. Jej zdaniem – ma pewnie dobre źródła informacji – NRD przygotowała dokładny plan przejścia całego Berlina w razie czerwonego pochodu na Zachód. Natomiast nikt o czymś podobnym nie myślał w NRF. Na Zachodzie nie wierzono w zjednoczenie, więcej – nie chciano go. Potwierdzają to w pełni moje nieliczne rozmowy z Niemcami w prosperującym już nieźle, więc zazdrosnym o swój rosnący dobrobyt, Monachium w latach 1952-1955. Przesadza się z niemieckim poczuciem narodowym. Może działa w podboju, ale szybko wiotczeje na dorobku.

Kurfürstendamm w poobiednim słońcu przypomina skrawek bulwaru paryskiego. Tu gdzieś (Basil Kerski powie mi dokładnie gdzie) mieszkał przeszło dziesięć lat, od 1922

do 1933, Robert Musil i pisał drugi tom *Człowieka bez właściwości*. Berlin tych lat, sfotografowany przez Thomasa Friedricha, stanowił niezłą przygrywkę „rozkładową” do Kakanii.

Mój wieczór w *Akademie der Künste*. Wprowadzał inteligentnie Leszek Szaruga (po niemiecku), aktor ze wschodnich Niemiec czytał w całości *Srebrną szkatulkę* w przekładzie (bardzo dobrym w opinii słuchaczy) Niny Kozłowskiej. Znam niemiecki z gimnazjum, czyli ledwie ledwie, a jednak słuchałem uważnie i z przyjemnością, co jest dowodem że miał trochę racji Jerzy Stempowski, kiedy przy stoliku kawiarnianym w Neapolu zapewniał mnie długo, że prozę należy czytać na głos. Przekonuję się o tym po raz drugi. Pierwsza lekcja odbyła się w teatrze poznańskim, podczas lektury na dwa głosy aktorskie *Oka Opatrzności* (właściwie przekonuję się po raz trzeci, bo i w Lublinie była wyborna recytacja). Nawet Lidia, która nie zna przecież polskiego (choć twierdzi, że „trochę” zna), była poznańską lekturą przejęta (co prawda, czytała moje opowiadanie po włosku przed naszą podróżą do Polski).

Często teraz zdarza mi się wspominać Stempowskiego, który sporo lat przemieszczał w Berlinie jako korespondent PAT-a. Kochał literaturę i miał niezadowne ucho literackie. Lubił także proroctwa polityczne, nie zawsze jednak przewidywał trafnie bieg wypadków. *Zachód 1937*, owoc pobytu w Berlinie, był udaną próbą wychylenia się w przyszłość.

Rano spacer, po czym długie wysiadki w nasłonecznionej kawiarni na Kurdam. Ciągłe obijały mi się o uszy rozmowy po rosyjsku. Ten rejon, aż do kościoła, który celowo pozostawiono w stanie półzniszczenia (zdaje się, że nosi nazwę *Gedächtniskirche*), uchodzi za królestwo mafii rosyjskiej. Bywa, że to władanie podkreślają nocne strzały przeciw najściom intruzów z firm konkurencyjnych. W sumie jednak, wbrew alarmistycznym reportażom w gazetach całego świata, Berlin robi wrażenie miasta zdumiewająco spokojnego.

Wieczorem spotkanie w Instytucie Kultury Polskiej. Wprowadzał obszernie i wnikliwie Włodzimierz Bolecki,

zaproszony z Warszawy. Czytałem krótkie opowiadanie *Pierścień*. Sala była pełna, w trakcie podpisywania książek mogłem się zorientować, że stali polscy mieszkańcy Berlina stanowili mniejszość. Przeważali przyjezdni okresowi. I to oni nadawali ton po prelekcji Boleckiego i mojej lekturze. Jak w roku 1994 w Polsce, słyszałem w tych pytaniach niepokój, wyraźnie wzmożony w przededniu wyborów prezydenckich. Pytano bowiem na ogół o sprawy polityczne. Kto o nie z taką natarczywością pyta, jest zazwyczaj zgubiony i gorączkowo szuka wskaźników, autorytetów. Czyli dwóch rzeczy, które mają dziś w Polsce wydzźwięk farsowy.

Do późna z Włodkiem i Lidią w knajpcie blisko hotelu. W przeciwieństwie do restauracji włoskich i francuskich, knajpy niemieckie wydawały mi się zawsze, od czasów Monachium, nie tyle miejscem przyjemności gastronomicznej, co miejscem pracy w pocie czoła i reszty ciała. Chóralne śpiewy przed północą są formą zasłużonej odsapki po odpracowanej zmianie wieczornej.

Niedziela, dalej pogoda niemal wiosenna, wyprawa z Kerskimi do Poczdamu. Po drodze las i jeziora (las „polski”, takich nie widuje się we Włoszech), nad Wannsee – przypominam sobie – popełnili samobójstwo Kleist i jego Henrietta Vogel. Wjechaliśmy na wyspę, którą należałoby nazwać Wyspą Rekinów, przez skojarzenie z *Wyspą Pingwinów* Anatola France’a. Tutaj, wyjaśnił Basil, pobudowali się hitlerowscy dygnitarze z Goebbelsem na czele, po klęsce ich wille i dworki zajęli magnaci komunistyczni, miłośnicy słodkich soków *Kapitatu*, teraz w historycznej sukcesji kolej na rycerzy wolnego rynku z brelokami na brzuchach i cygarami w zębach. Już wykupują co można. Kupi któryś z nich, a raczej: sprzedadzą mu, mały dworek myśliwski, pięknie położony, ukryty w zieleni, z dobrym dojazdem? Zaiste myśliwski: uplanowano w nim otoczenie i wybiecie do nogi największej zwierzyny, milionów Żydów. Był siedzibą konferencji, poświęconej „Ostatecznemu rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, *Die Endlösung der jüdischen Frage*. Patrząc z zapartym tchem, z biciem serca. Choć to śmieszna reakcja,

jest czymś rewoltującym idylliczność, uroda miejsca. Na łonie natury („obojętnej”, jak z namaszczeniem mawiają poeci), natężywszy wzrok widzi się „planistów” przechadzających się w przerwach obrad między drzewami, wytężywszy słuch słyszy się ich zadowolone, euforyczne głosy, wybuchy śmiechu. Majstersztyk łowiecki, takiej obławy z nagonką świat jeszcze nie widział...

W Zamku *Cecilienhof* odbyła się Konferencja Poczdamka. Lubię oglądać ślady dziejów bardzo starych, które w ruch wprawiają wyobraźnię. Ale co ma do robienia wyobraźnia w tym pałacyku, gdzie z nabożeństwem snują się turyści od Sali Okrągłego Stołu do „medytacyjnych” gabinetów Trzech Wielkich? Że Churchill (a po nim Attlee) przyglądał się melancholijnie wygaszonemu w sierpniu kominkowi? Że chory Roosevelt (a po nim Truman) dusił się w małych pokojach księżnej Cecylii i księcia Wilhelma? Że Stalin obok okna wychodzącego na jezioro podliczał ciągle swoje wojenne łupy? Historyczna nuda, jak nudni byli Wielcy Kondotierzy i Pasterze Ludzkości. Na bezkresnych cmentarzach, popieliskach i gruzach zbudowali pokój, który po półwieczu też leży prawie w gruzach.

Przyjemnie jest pochodzić w ogrodach Sanssouci, wspominając filozoficzne przechadzki Fryderyka Wielkiego i Woltera, nad cudownymi kondygnacjami winnic; lub stanąć nad grobem Fryderyka i grobami jego ukochanych psów.

A jeszcze przyjemniej, czując tętno prawdziwej historii, siedzieć w słońcu na Ulicy Brandenburskiej w Poczdamie, patrzeć na ładne kamieniczki niemieckie i holenderskie, zaglądać w głąb wąskich przecznic, grać się w tłumie niedzielnych mieszczan, którzy tu od pokoleń mieszkają i znają każdy załom w murze, każde okno zasłonięte grubą storą dla stłumienia odgłosów fortepianu. Tu narasta warstwami życie, dopóki pozwalają na to Epokowe Figury w rodzaju gości Zameczku księżnej Cecylii.

W przedostatnim dniu Basil Kerski zawiózł nas na Grunewaldstrasse 13 w dzielnicy Steglitz. Niski domek, gdzie na pierwszym piętrze czy półpiętrze spędził ostatnie miesiące

życia (przed przewiezieniem do sanatorium w Kierling) Kafka. Od listopada 1923 do lutego 1924, krótki przedśmiertny okres szczęścia z Dorą Dymant. Chadzał z nią do pobliskiego parku, często bawił się z dziećmi. Historyjkę o tym, jak skomponował bajeczkę dla dziewczynki zrozpaczonej zgubieniem lalki, Dora opowiedziała wielokrotnie. Nawiasem mówiąc, dowiedzieliśmy się od niej niewiele o schyłku życia Kafki. Wątpię zresztą, czy rozumiała jego pisarstwo. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, chciała go przed śmiercią skąpać w mądrości talmudycznej.

Tabliczka na fasadzie domku, wbudowana przez jakieś wiedeńskie ministerstwo, nazywa Kafkę „pisarzem austriackim”. Dlaczego? Pewnie dlatego, że urodził się i wychował w cesarstwie „miłościwie nam panującego” Franciszka Józefa. Zdaje się, że nigdy nie był w Wiedniu.

„Muszę wam jeszcze coś pokazać”, szepnął Basil. To „coś” okazało się koszarowym, brzydkim budynkiem, mieszczącym laboratoria fizyczne. Ale było niegdyś *Kaiser-Wilhelm Institut für Anthropologie*, główną kuźnicą teorii rasy, w której coraz dłuższe kroki stawiał doktor Mengele, pupilek dyrektora Instytutu. Dyrektor ulotnił się zaraz po wojnie, dostał katedrę w Münster. Dopiero w roku 1964 przeszedł na zasłużoną emeryturę. Istnieje bezpośrednia nić łącząca berliński Instytut Antropologii z dworkiem myśliwskim nad Wannsee. Zapewne naukowe wprowadzenie na konferencji o „ostatecznym rozwiązaniu” wygłosił sam dyrektor, z uwagi na wysoką rangę uczestników.

Przed wyjazdem do Berlina dostałem dobrze po polsku napisany list od Ludwika Melhorna, który w imieniu Akademii Ewangelickiej Berlin-Brandenburg prosił mnie o zapoznanie słuchaczy niemieckich z „Rolą Kultury paryskiej w polskiej myśli politycznej”. Melhorn, z wykształcenia matematyk, był działaczem opozycji demokratycznej w NRD z ramienia Kościoła ewangelickiego, oraz członkiem-założycielem grupy obrony praw obywatelskich *Demokratie Jetzt*. W roku 1992 powierzono mu kierownictwo Studium Europy Środkowej i Wschodniej w Berlińskiej Akademii Ewangelickiej. Ten rozumny i inteligentny człowiek wie co robi, do czego w swej działalności zdąża. Opowiadałem o *Kulturze* z pomocą Basila Kerskiego i Leszka Szarugi (Szaruga

jest teraz stałym współpracownikiem najlepszego miesięcznika niemieckiego *Sinn und Form*, tam ma się ukazać moja przedwczorajsza rozmowa z nim). Mówiono mi po wieczorze, że dla słuchaczy niemieckich – zdaje się, że pochodzących głównie z NRD – dzieje *Kultury* były rewelacją, czymś w rodzaju bajki o żelaznym wilku.

Dzięki Basilowi, którego rzecz zaskoczyła nie mniej chyba niż mnie, odkryłem biograficzno-polityczny profil tłumacza na niemiecki mojego *Innego Świata*, hrabiego von Einsiedla.

„Kto przełożył na niemiecki *Inny Świat*?” zapytał któregoś dnia Basil. „Graf von Einsiedel” odpowiedziałem widząc na twarzy Basila zdumienie, jak gdyby usłyszał sensacyjną informację. W pewnym sensie była sensacyjna, jak miałem się przekonać.

Utkwił mi w pamięci ten dzień w Londynie jesienią 1951, nazajutrz po ukazaniu się *A World Apart* u Heinemanna. Rano zadzwonił do drzwi na Finchley wysoki przystojny mężczyzna w moim z grubsza wieku. Elegancko ubrany, nosił się wyraźnie jak były wojskowy, miał odruch ciągłego wyprężania się i „stukania kopytami” (tak się to potocznie nazywało wśród żołnierzy). Wywołał mnie z pokoju nasz *house-keeper*, poeta Tadeusz Sułkowski. Siedliśmy w dwójkę w saloniku Domu Pisarzy. „Graf von Einsiedel” przedstawił się gość. Rozmawialiśmy po angielsku. Czytał moją książkę całą noc, chciałby ją przełożyć na niemiecki. Na początku mojej tzw. „kariery pisarskiej” myśl przetłumaczenia z angielskiego na niemiecki książki napisanej po polsku nie wydała mi się bezsensowna. Spieszyło mi się po prostu. Graf miał na oku dobrego wydawcę, prosił autora o zgodę. Zgodziłem się bez wahania. Książka ukazała się u Kiepenheuera jako *Weld ohne Erbarmen* w roku 1953, bez nazwiska tłumacza. Przełożył ją i wołał nie podpisywać? Czy też zaczął tłumaczyć, a dokończył ktoś inny? W każdym razie przekład, był zdaniem znawców, okropny. Tak okropny, że Karl Dedecius, przygotowując antologię współczesnej prozy polskiej, wołał sam przełożyć wybrany z książki rozdział.

„Cy pan wie kto to jest hrabia Einsiedel?”. „Powiedział mi o sobie tylko tyle, że jest antyhitlerowskim emigrantem w Londynie, co automatycznie budziło zaufanie i sympatię”. „Przyniosę panu jutro fotokopię hasła o nim w niemieckim *Who is Who* parlamentarnym, *Deutscher Bundestag*”. Wyraz zdumienia nie opuszczał twarzy Basila.

Pisarz. Mieszka w Monachium. Urodzony w Poczdamie. Żona i dwóch synów. Od roku 1939 lotnik-myśliwiec. Lata 1941-1942 na froncie rosyjskim. W listopadzie 1942 wstępuje do antyfaszystowskiej grupy oficerów w sowieckim obozie jenieckim. Współtwórca Narodowego Komitetu Wolnych Niemiec i związku oficerów niemieckich. W roku 1947 wraca z niewoli w ZSSR. Po powrocie redaktor gazety sowieckiego zarządu wojskowego. W grudniu 1948 ucieczka z zony sowieckiej. Tłumacz, eseista historyczny. 1947-48 członek SED. 1957-1992 członek SPD. Poseł do Bundestagu od 1994 (z Saksonii).

Po co był w Londynie w roku 1951? Dlaczego zapalał taką miłością do *Innego Świata* i jak długo trwało to uczucie? Jest jednym z trzech posłów postkomunistycznych w Bundestagu, zamieszkałych w Niemczech Zachodnich. To wszystko co o nim wiem obecnie.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Dzierżyńskiego, obecnie Erkindik

Wśród mitów każdego z tych państw-narodów leżało utożsamienie „barbarzyństwa” z kondycją i etyką najbliższej na wschód położonego sąsiada: dla Francuzów, barbarzyńcami byli Niemcy; dla Niemców, Słowianie; dla Polaków, Rosjanie; a dla Rosjan mongolskie i tureckie narody centralnej Azji – i tak dalej, aż do Chin.

Neal Ascherson, *Black Sea*

Droga z Biszkeku prowadziła przez płaską, wysuszoną jeszcze letnim słońcem równinę; kolorytu od czasu do czasu dodawał jeździec konny w białym kołpaku na głowie, lub ustawiony opodal szosy namiot zlepiiony ze skór. Potem niepostrzeżenie samochód nasz zaczął się wspinać. Droga związała się, zaczęła kręcić wśród wzgórz przysypanych zielonkawym mchem. Niespodziewanie opadła temperatura i wbiliśmy się w zimne tumany gęstej jak mleko mgły. Światła wozu ledwo wychwytywały w oparach sylwetki nadjeżdżających ciężarówek, majaczyła się nie zabezpieczona barierą krawędź szosy. I wtedy zaczęło stukać.

– Co to?

Walery – kierowca – wyteżył słuch, otworzył nawet drzwi.

– Nie wiem. Chyba koło. Może podwozie.

Jechaliśmy dalej powoli, w skupieniu. Coraz wyżej.

Nagle mgłę – jak ręką odjął. Wjechaliśmy na coś w rodzaju parkingu. Kilka samochodów. Czarna, wykuta w górze jama: tunel. Wokół piętrzą się pokryte śniegiem szczyty górskie, a na nich – metalowe słupy z rozwartymi ramionami,

przez które przerzucono nonszalancko kable wysokiego napięcia.

Wysiadam z samochodu. Pod nami kłębią się tumany mroźnej mgły; wokół świeci się lodowa biel, na której sowiecka siła robocza wyrysowała niteczki, niosące dalekim centralno-azjatyckim wioskom prąd. Wyciągam odruchowo aparat fotograficzny. Błąd.

Z budki przy wjeździe do tunelu wybiega żołnierz. Oczy lekko skośne, cera śniada. Krzyczy: – Nie wolno!

– Czego nie wolno?

– Fotografować!

– Gór?

– Tunelu.

– Ja tylko góry. Piękne. *Priekrasnyje*.

Przez nastawione wrogo oblicze przebija uśmiech. Padają pytania. A skąd wy? A co tu? Jakiś problem z wozem?

Walery już majstruje przy kole. – Nakrętka do niczego.

– Znajdziemy inną. Poczekajcie.

W pięć minut nakrętkę mamy załatwioną.

Samochód zanurza się w styksowe ciemności tunelu; mnie pochłaniają refleksje.

Pierwsza: przy wjeździe do tunelu spotkał mnie *homo sovieticus* – gorzej: *homo sovieticus militaris* – któremu starym stylem kazano tunel przez przełęcz traktować jak wielkiej rangi tajemnicę strategiczną.

Druga: pożegnał mnie już kto inny, o tradycji starszej – *homo asiaticus hospitalis*. Którego to przodkowie-koczownicy witali innych przyjezdnych, chociażby – chyba można popuścić cugli fantazji – Marco Polo.

Trzecia: jeżeli wzdłuż pasma gór, które w tej chwili przekraczamy, przewieszono wielkim wysiłkiem kable; jeżeli dzięki inżynierom i robotnikom sowieckim pulsują wokół ampery i wolty; to czy nie mógł ktoś pofatygować się, żeby kilometrowy tunel, przez który przebijamy się w ślimaczym tempie, oświeciło chociażby parę żarówek?

Zarzut wydaje mi się małoduszny, gdy na końcu wita nas ostre światło dzienne. Wyłaniamy się z ciemności. Wokół lśnią groźne szczyty pasma Tien-Szan.

Jesteśmy w Kirgizji, dawnej Kirgiskiej SSR; obecnie pełnoprawnym, niezawisłym państwie Kirgistan.

Miasto Osz leży na południowym zachodzie, przy granicy uzbeckiej; wśród szerokich, oskrzydłonych drzewami ulic i owych typowych bloków z balkonami, którymi imperium sowieckie oznakowały miasta od Berlina po Władywostok, stoi niska, skalista góra, jak niekształtny wielbłąd o trzech garbach. Mówi legenda miejscowa, że zmarł na tej górze Król Salomon; na jednej z jej wierzchołków znajduje się teraz meczet, miejsce pielgrzymki. Osz, mówią z dumą mieszkańcy, był punktem handlowym Wielkiego Szlaku Jedwabnego. Obecnie przez Osz przewija się inny szlak, narkotykowy; prowadzi przez Uzbekistan do Kazachstanu, a stamtąd do Rosji i na rynek europejski.

Oko europejskiego gościa wyłapuje lokalną egzotykę. Tu przepychanka i zgiełk na bazarze, wokół stoisk, zasypanych aromatycznymi plackami chlebowymi *nan*. Tam ulicą idzie elegancko ubrany Kirgiz, w garniturze i krawacie, ale oto na głowie sterczy mu, jak pajacowi z jakiejś lirycznej pantomimy, biały filcowy kołpak. Dalej, jak w każdym już chyba *post-sowieckim* mieście, mieni się od blaszanych budek, sprzedających papierosy, koniaki i Coca-Colę – chociaż w okienkach migają nietypowo skośne oczy, jaskrawo-kolorowe bluzki, jedwabne chusty.

A dwie siostry – Dilla i Lilla – czyż one nie wyglądają swojsko, ze swoimi płowymi włosami? Pochodzą z inteligentnej rodziny: matka chirurg, ojciec inżynier, właśnie widzimy go teraz, jak czyści na połysk samochód – Pobiedę – подарowany mu siedem lat temu w nagrodę za owocną pracę w sowieckim przedsiębiorstwie gazowym (ówczesny szef: Wiktor Czernomyrdin). Ale w 1990 roku zmieniły się ich losy; mimo ukończonych studiów, żyły mizernie, Dilla piekła torty, Lillia stała na bazarze i sprzedawała. Teraz zmieniło się na lepsze: Lilla jest po anglistyce, udało jej się znaleźć zatrudnienie w zachodniej firmie jako *office manager*. Przeniosła się z mężem do siostry, mieszkanie wynajmują konsultantom z Zachodu.

Jesteście Rosjankami?

Lilla zaprzecza. – Nasi rodzice są Tatarami. Przyjechali

tu, zesłani przez Stalina. Taki nasz sowiecki los.

– Dlaczego sowiecki? – Głos zabiera Marat, mąż Lilli. – Tatarzy byli tu jeszcze przed Rewolucją, za czasów carskich.

Lillia ma małe dzieci; nie boi się, że będą w przyszłości dyskryminowane?

Moment zastanowienia. – Owszem, nie wykluczam. Pewne elementy dyskryminacji już widać. Nie-Kirgizom coraz trudniej o stanowiska. Ale dotyczy to nie tylko nas. Uderza szczególnie w Uzbeków, których tu, w Oszu, jest dużo, podobno czterdzieści procent.

W 1990 r. były w Oszu rozruchy, Uzbeki protestowali przeciw niesprawiedliwemu podziałowi terenów mieszkalnych. Padały dziesiątki zabitych. Teraz, mówi Lilla, jest spokojnie. Niemniej, chciałaby jak najszybciej wyjechać do stolicy, Biszeku. Tam jest bardziej kosmopolitycznie. Dzieci pójdą do rosyjsko-języcznej szkoły.

No dobrze, ale językiem oficjalnym jest teraz kirgiski?

– Cóż, nie jest to nasz język. Chociaż od biedy się porozumiewamy. Babcia w domu mówi po tatarsku, to ta sama rodzina języków.

A Walery, kierowca, skąd pochodzi? Ojciec – Rosjanin. Ale urodził się na zachodniej Ukrainie, tam mieszkała matka.

– Mieszkała – również przed wojną?

– Również.

– Czyli w ówczesnej Polsce?

– Tak jest. Matka była Polka. Ale nic z tego nie pamiętam, zmarła, gdy miałem pięć lat. Przenieśliśmy się do Kirgizji.

Z kolei Piotr Iwanowicz, rocznik 1922, pochodzi z Syberii. – Jak się tu znalazłem? Przypadkiem. Byłem w wojsku podczas Wielkiej Ojczyźnianej Wojny, miałem szczęście, jakoś ominął mnie front, w każdym razie wojna się skończyła a my siedzimy z kolegą w tym syberyjskim zimnie i on do mnie mówi, „Wiesz co? Tam w Azji, na południu, to jest ciepło przez cały rok, a owoców tyle, że tylko leżeć pod drzewem, same do gęby wpadają”. I pojechaliśmy!

Opowieści Piotra Iwanowicza słucham w miejscowości Kara-Kul, trzy godziny jazdy z Osza; wokół kominy, elektrownie, kopalnie węgla brunatnego. Piotr częstuje pomidorami z działki, przeprasza, że niczym innym nie dysponuje,

renty ledwo mu starcza na chleb i hebratę. – Pracowaliśmy w pocie czoła. Budowaliśmy komunizm. To były piękne czasy.

– I chyba trudne.

– Trudne? Skąd? Wszystko było! Niczego nam nie brakowało! Pracowałam początkowo jako szofer, potem dostałam promocję, byłem kierownikiem zaplecza społecznego przy budowie tamy Toktogulskiej, jednej z największych w całym ZSSR. Stawialiśmy dla robotników domy, świetlice, żłobki dla dzieci... Ministrowie przyjeżdżali. Dostałem odznaki, medale, teraz to nic nie warte. O popatrzcie, weźcie, weźcie na pamiątkę.

– Ależ – protestuję.

Wazmitie, wazmitie. – Piotr Iwanowicz wciska mi w dłoń odznaczenie przodownika pracy pierwszej klasy. – Nie chcę tego więcej widzieć na oczy. Tyle pracy, tyle entuzjazmu. Wszystko się rozsypało. Powiedzcie – Piotr nachyla się nad stołem w moim kierunku – jak to jest na tym Zachodzie? Czy to tak może być, że człowiek pracuje dla siebie, a jednocześnie dla gospodarki państwa? Ja tego nigdy nie zrozumieję.

Piotr ma dwóch synów; pracują w Rosji. – Właśnie dzwonił do mnie teraz starszy, z Gorkiego, czy jak go tam teraz, Niżnego Nowgorodu. Pracuje. Zarabia. Nie kokosy, ale zawsze coś. Tu w Kirgizji nie można. Handelek, wymiana, co to za praca.

W Kirgistanie nie ma przyszłości?

– Jest, jest. Ale chyba nie dla nas, Rosjan. Kirgizi to dobrzy ludzie, pojętni. Jeszcze kilka pokoleń...

– Przy budowie tych wielkich hydroelektrowni całe kierownictwo, to byli Rosjanie?

– Nie tylko kierownictwo. Cała załoga. Kirgizów prawie w ogóle nie było. W tamtej epoce Kirgizi to byli rolnicy, pasterze. Nie wszyscy, oczywiście. Była zawsze inteligencja. Ten Akajew, prezydent, to tegi łeb. Znam go jeszcze z tamtych czasów, z Partii... Jeżeli kto ten kraj wprowadzi z tarapatów, to on.

Żegnamy się. Pytam się o jego własne plany. Nie wróciłby może do Rosji?

– Jestem za stary. Blżej stolicy bym się chętnie przeniósł, blżej Frunze czy jak mu tam teraz. Mały domeczek, może się

uda. A wy, przyjeździecie jeszcze raz, pogadamy. Ja bym o tej gospodarce zachodniej jeszcze chętnie się czegoś dowiedział, dla mnie to wszystko *sowsjem nie poniatno*...

Michaił Frunze dowodził 4-ą Armią Frontu Wschodniego, podbił dla nowopowstałego imperium bolszewickiego szerokie, przez tychże bolszewików nominalnie wyzwolone połacie centralnej Azji. W 1926 roku „wdzięczny naród kirgiski” uczcił jego pamięć, zwiąc stolicę jego nazwiskiem. Obecny Biszek przycinają prostopadłe aleje, gęsto wyścielone drzewami: centrum miasta wygląda, jakby zatopiono je w parku. Wzdłuż ulic – potężne kamienice, które nie wyparły jednak do końca wsi, raczej zepchnęły ją na drugi plan: za białymi, okazałymi fasadami kryją się działki, bagniste dróżki, krzywo stojące chaty.

Od tamtego czasu – konsolidacji władzy bolszewickiej – proporcja Rosjan stale wzrastała, tak że w roku 1990 stanowili oni, w cztero i pół milionowym kraju, 20 procent ludności. Większość osiedliła się w dużych miastach, głównie właśnie we Frunze. Jeżeli doliczyć do nich inne mniejszości, które do Kirgizji dobiły głównie w wyniku paranoicznych ukazów stalinowskich – Niemców nadwołżańskich, Czeczeńców, Żydów, Ukraińców – nie należy się dziwić, że to, co w Oszu jest w jakimś stopniu wyjątkiem – człowiek o rysach europejskich i bladej cerze – w Biszkeku stanowi niemalże normę. I to mimo stopniowej, ale w sumie nieznacznej, poniepodległościowej re-emigracji wewnątrz Rosji.

„Białych”, którzy do niedawna stanowili klasę średniowyzszą, spotkała *urawnitowka*. Nomenklaturę przejmują Kirgizi; Rosjanom i innym coraz częściej pozostaje handel. Niektórym, nielicznym, udało się pootwierać luksusowe *boutiques*; innych widzimy na ulicy. Siedzą, z towarem na sprzedaż, za straganem, czy wręcz na chodniku; dzielą się kramikami z Kirgizami, Tadżykami, Kazachami.

Ale i tu przeszłość nie do końca opuściła miasto: przedrzyjmy się na chwilę przez zgiełk ulicznego bazaru, omińmy smętnie stojącego młodzieńca, trzymającego koszyk cytryn, oraz panie, które na chodniku wyłożyły torty i ciasta.

Stańmy pod kamienicą obok napisu „sklep czynny od 7-ej do 17-ej”, zajrzyjmy przez przyciemnioną szybę: spotyka nas tam swojski widok. Jasnowłose panie w średnim wieku w białych kitlach stoją lub siedzą beczynnie za ladami, za nimi półki albo puste, albo wypełnione towaram, którego nikt nie chce – napojami gazowymi niepewnej proveniencji i puszkami konserw z odpadającymi nalepkami. Ale nie! Jedna pani uwija się skrzętnie, waży ser, sprawnie oblicza cenę na liczydło. Przed nią, stara nasza znajoma: kolejka. Nie kilometrowa, co prawda, ale wolno posuwająca się, szczególnie że obsługiwana w tym momencie klientka grymasi, chce spróbować, zanim się zdecyduje. Za nią ludzie patrzą zniecierpliwieni, ser jest przecież jeden, ten co zawsze: ważne, że dostarczyli. I faktycznie: po zdawkowym wymacaniu i wymlaskaniu, klientka bierze pół kilo.

Przed kontuarem obok – „kefir”, „śmietana” – nie stoi nikt: kefiru nie ma, a na śmietanę nie ma chętnych. I nic dziwnego, skoro na zewnątrz pod sklepem babiny w kolorowych chustach łyżkami wazowymi nalewają z wiaderek świeżą śmietanę, przezroczyste torebki plastikowe wypełniają twarogiem. Kefir zaś (cena detaliczna: dwa i pół soma), wykupiły jak widać o siódmej rano paniusie siedzące obok; teraz wystawiły go na trotuarze za somów trzy i pół, czekają na kupców.

Miesza się nowe ze starym, socjalizm z gospodarką wolnorynkową, stara bieda z biedą nową. Przemianowano ulicę Komunistyczną, ale pozostawiono Sowiecką; stolicy przywrócono nazwę Biszkek, ale istnieje nadal ulica Frunze. Ozdabia też nadal miasto plac Lenina, wraz z okazałym pomnikiem. Za to Prospekt Dzierżyńskiego przemianowano na Erkindik.

– Co znaczy: Erkindik?

– Erkindik? To po naszymu: wolność.

„Po naszymu”. Odpowiedzi udziela mi siedząca przed komputerem Czynara. Kirgizka o zwężonych oczach, tęgiej budowie i lekko tryumfującym uśmiechu. Do niedawna pracowała jako tłumaczka z angielskiego na rosyjski; teraz doszły zlecenia na kirgiski, a tu już jej koleżanki-rywalki, Rosjanki, nie stają do zawodów. Kirgiski, wzgardzony przez pokolenia rosyjsko-mówiących osiedleńców, wymaga kilku dodatko-

wych czcionek cyrylicy, należy do grupy języków tureckich.

Właśnie: Turcja. Nieopodal biura, w którym pracuje Czynara, na nowo wybudowanej, okazałej ambasadzie łopocze flaga z gwiazdą i półksiężycem. To Turcy widzą w Kirgistanie otwarcia biznesowe, stawiają hotele, otwierają restauracje, budują – jak koń trojański nie wiadomo już, czy Zachodu na Wschodzie, czy Wschodu na Zachodzie – fabrykę Coca-Coli. Długoterminowa strategia biznesowa? Wznowienie mrzonek o jedności narodów „tureckich”?

Ale Turcy nie pozostają bez konkurencji: w trzęsieniu ziemi, jakie wzbudziła niespodziewana niepodległość państwa kirgiskiego, ścierają się również inne płyty tektoniczne. Starają się o wpływy Koreańczycy z telewizorami Daewoo, przyjeżdżają delegacje hinduskie i chińskie. I jest oczywiście obecny Zachód, z Ameryką i Bankiem Światowym na czele: przedmurze liberalnego, świeckiego kapitalizmu. Podtrzymuje gospodarkę, popiera prezydenta Akajewa, popiera demokratyczny, daleki od fundamentalizmu muzułmańskiego ustrój. Od rządów zachodnich Kirgizi dostają więcej na głowę mieszkańca niż jakakolwiek inna republika Wspólnoty Niepodległych Państw.

A od Rosji? Moskwa utrzymuje po cichu hegemonię wojskową, a – siłą inercji – podtrzymuje też kulturalną. Zejdzie sporo czasu, zanim półki księgarni i bibliotek zapełnią się książkami w języku kirgiskim, zanim powstanie poważna autochtoniczna sztuka popularna i kinematografia. Tymczasem próżnię wypełnia telewizja z Moskwy, nadająca w godzinach wieczornych arcy-popularny serial – brazylijski, co prawda, ale z lektorem rosyjskim – a następnie *quiz-show*, teleturniej. Sygnał radia, które najczęściej słyszy się rano, pozostał ten sam, co zawsze: *Podmoskowskije wieczera*.

Wyjdźmy z pokoju Czynary: obok pracuje Irina, Rosjanka. Dla pracy w angielsko-mówiącej firmie rzuciła staż wykładowcy. Mąż: chirurg, obecnie taksówkarz. Syn będzie zdawał maturę. Jakie są jego szanse w nowej Kirgizji?

Długa cisza. Potem: – Nie chcę o tym myśleć.

Nie za bardzo myśli też o tym Olga, lat 25, narodowości rosyjskiej, mąż Ukrainiec. Jak widzi przyszłość pięcioletniej córki? – Dobrze. – Nie ma zagrożeń? – No, może są. – Jakież – Trudno powiedzieć.

Dopiero w trzecim pokoju pod rząd otrzymuję coś w rodzaju pełniejszej odpowiedzi. Stoimy przy oknie, na piątym piętrze: pod nami dywan liściastych drzew. W dali – lśniąca wierzchołki maszywu Tien-Szan.

– Na razie się nie zanosi – mówi Swietlana, inżynier, matka dwojga dzieci. – Ale gdyby... Matka moja ma jeszcze chatę w okolicach Krasnodaru, nad Kubaniem. Możemy zawsze wyjechać.

Pytam dalej: a dzieci? Znają te tereny?

– Oczywiście. Jeżdżą co rok, na wakacje letnie.

– Podobają im się?

Swietlana wybucha śmiechem, w którym dostrzec można lekką tylko nutkę goryczy. Reszta, to optymizm. Podobają? Raczej nie. Nudzą się, woleliby spędzić wakacje w Kirgistanie. Ich miejsce jest tutaj.

Konrad BRODZIŃSKI

Nasze kawalerskie!

Wrócił z solidarnościowej emigracji w Stanach Zjednoczonych Rysiek. Odziany, nadziany, z amerykańskim menadżerskim neserem. Jedni mówili, że przez cztery lata sprzątał nocami Grand Central Terminal czy Pennsylvania Station w Nowym Jorku, inni że drukował czy kolportował jakąś gazetkę, jeszcze inni, że robił jedno i drugie, a na dodatek wyciągał od ludzi pieniądze, słowem że zbierał je wyciągając rękę tam, gdzie go nie mogli widzieć znajomi.

Mówiono też, że kiedy wyjeżdżał, któryś raz z kolei ziemia mu się trochę z damskich powodów paliła pod nogami, jakaś kobieta, jakieś dziecko, coś podobnego. Jedni słyszeli, ja to wiedziałem.

Zadzwonił do mnie raz, potem drugi. Tydzień wcześniej poprzytykaliśmy się jak para głupców tak ostro i chaotycznie o politykę, że w końcu nie było wiadomo czy idzie któremuś z nas o jakiegoś kandydata na prezydenta, czy żeby prezydenta w ogóle nie było. Rzeczywistość Ryśka dalej była utkana z polityki, pieniędzy i kobiet, a że miał łatwość pozornego zapomnienia wielkich zacierzewień, więc mnie tak bardzo nie zaskoczył, kiedy powiedział w słuchawkę:

– Cześć, stary! – i przeszedł do porządku nad całą resztą spraw. – Człowiek do śmierci będzie głupi, bo nic mu tak nie zrobi wody z mózgu jak polityka i kiecka.

Mruknąłem coś i czekałem dalszego ciągu.

– Znajdziesz jutro wieczorem trochę czasu?

Udałem, że już mam ze sto propozycji i że się głęboko zastanawiam.

– Ostatnio nie mam za dużo czasu, ale może coś pokombinuję. Masz jakieś interesujące propozycje?

– Nic nadzwyczajnego. Wpadłbym do ciebie późnym popołudniem, podskoczylibyśmy do jakiejś knajpy trochę posiedzieć, pogadać o dawnych czasach, trochę poplotkować.

– Wiesz, nie wiem. Może trochę czasu bym znalazł.

– To znajdź. Urządźmy sobie kawalerski wieczór.

Jeszcze się opierałem; wyczuł to.

– W czym rzecz? Dalej się boczysz? Nie masz chęci?

– Chęć mam, ale wstyd mówić o wieczorze, kiedy ma się pustkę w portfelu.

– Żaden problem. Mało razy sam miałem w kieszeni podszewkę? Następnym razem zamienimy się miejscami.

Dalej marudziłem jak panna.

– Czy ja wiem? Nie za często wykladałbyś za mnie?

– Bzdury. Wpadnę jutro po ciebie o piątej. Załóż jakiś krawat, zrób porządek ze wspomnieniami, coś zjemy, coś łykniemy, pogadamy jak stare baby. Gra?

– No dobrze – mruknąłem niechętnie. – Niech ci będzie, że gra.

Oczywiście nic tu nie grało. Pamiętam jak cztery lata temu, tuż przed jego wyjazdem zadzwoniła Kaśka i zapowiedziała, że wieczorem wpadnie do mnie w pilnej sprawie. Trochę mnie wtedy zaskoczyła, przyszło mi tylko na myśl, że może powinniśmy wszyscy w trójkę na siebie wpaść, ale później się okazało, że to wcale nie było konieczne. Kaśka, jak zapowiedziała, tak zrobiła. Załomotała do moich drzwi pięć przed siódmą, z wypiekami – oznaką niepoczytalności na twarzy.

– Ty draniu! – Przyskoczyła do mnie już w progu. – Jak mogłeś mi podsunąć takiego sukinsyna! Nie miałeś nikogo gorszego?

W pokoju z płaczem rzuciła się na tapczan i zaczęła bić pięściami w poduszkę.

– Przestań – powiedziałem – i usiądź.

Usiadła na tapczanie.

– Chcesz rozwalić osiedle? O co idzie?

O co? To nie ty podsunęłaś mi jak alfons tego supermena bez ikry i honoru? To nie twój protegowany rozwalił mi małżeństwo?

– Protegowany nie protegowany, ale od zwrócenia uwagi na człowieka do rajfurstwa jest jeszcze sporo drogi. Twojej inicjatywy nie było w tym za grosz?

– Przyrzekał, że w każdej sytuacji będę mogła na niego liczyć.

– I na nic liczyć nie mogłaś?

– Mogłam! – krzyknęła dając się ponieść furii. – Asa mi podsunąłeś pod nos? Dałam się przez ciebie wykiwać największemu draniowi!

– Dlaczego największemu? Wszystkich innych już próbowałeś?

– Jego jednego tak! Popatrz! – krzyknęła z tapczanu i usiadła.

Szarpnęła na sobie bluzkę: w jednym momencie trzasnęły wszystkie guziki, to samo stało się ze stanikiem, przy którym puścił jedyny zatrask. Jej piersi skoczyły i wyrwały się na wolność niczym aresztanci po eksplozji w więziennym murze, a z brodawek jak rzewne łzy popłynęły strużki mleka.

– Patrz! – powtórzyła rozdierając na sobie stanik jak Niobe szaty. – Powiedział, że wszystko będzie w porządku, żebym mu tylko zaufała. I, Chryste Panie, ja dla niego zdecydowałam się na dziecko! Popatrz! – powtórzyła.

Ze stanika na podłogę wypadły tampony mokrej waty, z nabrzmiałych brodawek ciekło mleko, a Kaśka szlochając jak uwiedziona pensjonarka biła pięściami w ścianę.

– Powiedział, że jak tylko urodzę, spakuje manatki i ruszymy w Polskę, bo przecież tu na miejscu nikt nie będzie rozpoczynał nowego życia. Zrobiłam to i wiesz co mi za dwa tygodnie powiedział? Powiedział, żebym się dała wypchać, bo to nie jego dziecko, tylko Zawadzkiego, bo do niego, tak powiedział, woził mnie do Bychawy na służbowe randki, z których on nic nie miał i tamten drugi też. Jak z łaski zauważył, że to może być zwyczajnie dziecko Romka.

– No, Romek byłby tu rzeczywiście trzeci – zaaprobowane tę małą korektę. – Ale i mnie opowiadasz bajki. Rysiek nie miał nic, tamten nic, to w końcu w co tak ochoczo wszyscy się bawiliście? W kotka i myszkę?

Kaśka najpierw omal nie dała mi w zęby, a potem jeszcze przez godzinę szalała w moim pokoju, pokrzykując jaka to była naiwna. Mleko strzykało z piersi prosto w szorstkie koce,

zmieniała piersiom tampony jak bliźniakom pieluchy. W końcu zmieniała opatrunek ranionym wdziękom dziesiąty raz i ostygła z wściekłości na tyle, żeby się ubrać porządnie i dać doprowadzić przez wieczorny śnieg na postój. Szła niczym ochwacona baletnica po nieprzytomnym sylwestrowym balu.

Utknęliśmy na postoju, ale po pięciu minutach zaczęła w naszą stronę nadjeżdżać taksówka.

– Och, co z ciebie za drań! – powiedziała jeszcze. – Takiego sukinsyna mi podrzucić, to było z twojej strony po prostu świństwo! Cóż ze mnie za idiotka, o Boże, co za idiotka! Nie wiem co teraz zrobić.

– Do głowy mi nie przyszło, że weźmiesz Ryśka tak serio. Nie jesteś dzieckiem. Ale skoro już zabawiłeś się ogniem, to teraz nie narzekaj, że masz poparzone palce!

– Jak idiotka! Mówię ci, jak idiotka!

Taksówka stanęła, Kaśka obeschła już z płaczu i wystudzona po gorącznie dała się zapakować do środka.

Teraz, po czterech latach, coś w zaprosinach Ryśka na kawalerski wieczór brzmiało mi fałszywie i nic na to nie mogłem poradzić. Ale w tych okolicznościach zrobiłem co mogłem. Istotnie, wygrzebałem stosowny krawat, pogrzebałem w odświeżonych wspomnieniach jak w starych listach i zdjęciach, i w piątek, kiedy z piskiem opon Rysiek przyhamował przed drzwiami mojego bloku przystarym audi, gotów byłem stawić czoła wszystkim niespodziankom.

Najpierw z kwiatkiem i bombonierką pojechaliliśmy złożyć kurtuazyjną wizytę żonie Ryśka, a dopiero stamtąd pod szmeraną złodziejsko-knajacką knajpę, gdzie wśród miejscowej żulii mój fundator uchodził pewnie za wielkiego biznesmena.

Rozsiedliśmy się jak bywalcy przy stoliku, Rysiek dwoił się i troił, żeby mi czynić honory pana domu. Zamówiony stół jeszcze się nie ugiął, ale mogłem być pewny, że na jego żądanie będzie na nim wszystko co trzeba, żeby solidnie zjeść i jeszcze solidniej wypić. Kelner był pod ręką, a że Ryśka znałem, musiał dać mu wcześniej precyzyjne instrukcje: reagował na drobne znaki jak dobrze wyćwiczona i jeszcze lepiej opłacana prostytutka.

Co tu dużo mówić. Rysiek pochodził z tej rasy zimnokrwistych typów, których hojność wzrasta, im bardziej ryzyko

jest cudze, a kieszeń mu pęcznieje od powierzonych pieniędzy; lubi błyskotki, więc w głowie jak na składzie celnym leży mu sporo cudzych mądrości, a pośród tego różnorodnego towaru pęta się zawsze kilka cudzołożnych kobiet, które – zaliczone i sklasyfikowane jak w leksykonie – stanowią miłą łaskotkę dla męskiej próżności, więc je traktuje z rewerencją jak sportowiec kolekcję przechodnich nagród.

Właśnie pięć lat temu Kaśka znalazła się w ryśkowej klatce pełnej kolorowych papug, więzionych tam mniej dla użytku, bardziej na pokaz. Łatwowierna, wiarołomna i nieszczęśliwa, należała do gatunku kobiet, które są lepszymi przyjaciółkami niż kochankami, o których się mówi „równiacha” i których właśnie z tych dwu powodów nie należy molestować erotycznie.

Osiągnęła łatwo niebotyczny stopień uczuciowego nie-zrównoważenia. Któregoś wieczoru, podczas, jak bywało, służbowej podróży Romka, trochę się u niej zasiedziałem i na dalekim przedmieściu, grubo po północy, nie mogłem liczyć na taksówkę. Kaśka zupełnie odruchowo zaproponowała mi koleżeński nocleg. Wdzięczny jej za propozycję, wymościłem sobie na fotelu samotne legowisko i szybko pozbywszy się przedśennych majaków, bez kłopotu zasnąłem. Dobrze po trzeciej równiacha przyczłapała do mnie w obcisłej piżamie i zaproponowała przenosiny na swój tapczan, pod warunkiem, rzecz jasna, że uszanuję jej cielesno-mażeńską suwerenność. Roześmiałem się szczerze ubawiony i dałem jej solidnego klapsa, aż się skrzywiła i syknęła.

– Taki bohater nigdy ze mnie nie był – powiedziałem zgodnie z prawdą – i jeżeli wpuścisz mnie pod kołdrę, natychmiast zachowam się jak knur. Zjeżdżaj ode mnie w podskokach w mażeńską pościel i daj mi cnotliwie pospać, chyba że idzie ci właśnie o to, żeby nie umrzeć z ascezy po paru nocach bez Romka.

Od tej pory rzeczywiście byliśmy przyjaciółmi.

Pewnego dnia, jak przystało gorliwie dojrzewającej nastolatce, zaskoczyła mnie żalostną skargą, że nikt w niej nie widzi kobiety. Słuchałem jej zwierzeńomal nie pękając ze śmiechu.

– Nie wygłupiaj się! Mówisz serio?

Idiotka mówiła serio i jej pochlipywanie musiałem wziąć bardzo poważnie. Żeby się jej pozbyć, nic w tej sytuacji

innego nie mogłem zrobić, jak właśnie zwrócić uwagę rozżalonej na Ryśka, bardzo wtedy zajętego wygłaszaniem podniosłych mów na różnych wiecach i zebraniach, a że akurat był tuż pod ręką, więc rzeczywiście, na chybcika, pozwoliłem sobie jego zalety na jej użytek trochę wyolbrzymić, a istniejącej tylko w jej wyobraźni reszty nie przeszkadzałem jej wyczekiwać.

To właśnie wtedy Kaśka krążyła wokół niego przez parę dni, a potem zachowała się jak cma atakująca w lesie nocny pożar i z miejsca dokonała paru przedwczesnych uczuciowych inwestycji. Tu, oczywiście, przeholowała, więc prędko doszło między nimi do krótkich spieć, iskrzeń, trzasków i wyładowań. No a teraz czekałem w knajpie dalszego ciągu dopiero co rozpoczętego kawalerskiego wieczoru.

Przeglądałem się ponad stołem ruchliwej bufetowej wybranej chyba w konkursie na królową przedmieścia. Czułem, że oko Ryśka wierci we mnie dziurę i kolejny raz zastanawiałem się czy ma zeza, czy tylko oczy różnego koloru. Jego wzrok ciążył w moją stronę i pełgał jak kopcząca świeca; podejrzewałem, że pomysł kawalerskiego wieczoru niesie ze sobą coś lichwiarskiego i dwuznacznego.

Na razie, chyba przez godzinę, istotnie: klepaliśmy kawalerskie pacierze, bawiliśmy się wspomnieniami jak dwaj rezerwiści przypominaniem sobie nudnej służby wojskowej i ta zabawa nie była mi w smak: jakieś nierozpoznane draństwo nadal przeświecało przez robiony przez Ryśka szampański humor, a ja w dalszym ciągu byłem ciekawy, co z tego wyniknie, bo przez pół momentu nie wierzyłem w bezinteresowność jego propozycji.

Tak więc siedzieliśmy czule naprzeciw siebie w szofersko-knajackiej knajpie na przedmieściu i gadaliśmy. Za oknem ledwie przysłoniętym firanką tajał śnieg. Zabłocony i zaśnieżony trakt mokrych kroków prowadził od bufetu do drzwi, a stamtąd w półmrok rozczłapanej ulicy, grząskiej i wystrzępionej trochę dalej w labirynt ścieżek oplatających wzgórze pokryte wysypką melin i przedmiejskich ruder.

Rysiek co rusz dawał sygnał kelnerowi rozmawiającemu przy bufecie, a ten jak kangur po jednym skoku był przy nas, stawiał śledzia po japońsku i w oleju, i nalewał nam żytnią, gdy następne pół litra mroziło się jak szampan między tale-

rzami w kubelku z lodem i czekało naszego ataku. Kiedy kelner z udanym respektem znów się oddalił, Rysiek jeszcze raz skierował rozmowę na męskie sprawy, ale w trakcie łudząco błogiej paplaniny trzymał na mnie uważny jastrzębi wzrok.

Nie ufałem mu, miałem się na baczości. Był pamiętliwy więc istniała możliwość, że będzie szukał rewanzu: kilka razy nie poszedłem mu na rękę, kiedy spod jakiejś powiatowej mieściny przywiózł sobie łatwą zdobycz, a ja nie chciałem z powodu byle partnerki otwierać mu własnego domu jak hotelu czy zajazdu. Raz czy dwa musiał się obyć smakiem nie zaliczywszy zdobyczy, bo albo nie mógł znaleźć chaty, albo nie miał jak pozbyć się córki, którą żona sadzała mu do samochodu przy przedniej szybie, a smarkata siedziała twardo jak przyspawany obok ojca elektroniczny alarm. Tak czy owak, jeśli nie szło mu o to, tylko o coś innego, musiałem gubić się w domysłach i nie mogłem znaleźć sensownego uzasadnienia dla imponującej wystawności kawalerskiego wieczoru, a nadal brak mi było rozświetlającej ten rebus jasności.

Czekałem więc na cokolwiek jak na znak z nieba, a rozmowa nad wódką, a jadłem powoli, przechodziła to w nudnawe stepowanie, to w jazdę dwu myśliwych trzęsącym się półkoszkiem na ukos przez drogi i miedze. Tylko schabowy był kruchy, rumiany i gorący, wódka zimna, szybki kelner, a oczy Ryśka nadal ukradkiem ślizgały się po mnie, a otwarcie po pustych stolikach nie obsadzonych jeszcze przez tutejszą stałą klientelę. Kilka nie pierwszej młodości bywało, mających podnieść atrakcyjność lokalu, instalowało się na swoich posterunkach; z profesjonalną obojętnością obserwowały goście i mokry trakt biegnący od bufetu do drzwi, a od drzwi do melin i ruder porastających jak tundra wzgórze Kalinowszczyzny.

Przez moment słuchałem w milczeniu rzewnych ryśkowych wspomnień o Baśkach, Ankach i Hankach, ale wolałem się nie rozklejać z powodu ułożonego na wieczór sentymentalnego rozkładu jazdy. Żona trzymała Ryśka twardą ręką, ja też prawdę mówiąc miałem go za maskującego się półpantoflarza, więc tu dziś wieczór mógł swobodnie i do woli się wygadać. Nadal nie wiedziałem, o co tu by innego mu szło.

Teraz znów mało dyskretnie wiercił mnie wzrokiem. Kelner przyhamował dostawę jadła, za to w dwójnasób

gorliwie dbał o nasze kieliszki; Rysiek miał mocną głowę. Kiedy znów wydało mu się, że robi to niewidocznie, dopadł mnie świdrującym spojrzeniem i natychmiast zbyt trzeźwo spojrzał na zegarek, żeby we mnie po raz któryś nie odezwał się alarmowy dzwonek. Teraz, zaniepokojony moim ociąganiem się w spełnianiu toastów, zatarł zachęcająco dłonie, sięgnął po kielich i podniósł go w moją stronę.

– Nasze kawalerskie!

– Jasne – mruknąłem z przekąsem. – Kawalerskie! Z żonami i dziećmi na karku?

– Do diabła! Coś nam się przecież od życia należy. Nie ma co sobie odmawiać drobnych przyjemności!

Więc zaraz o nowy kielich przyjemności zrobiło się więcej. Ślady od bufetu do drzwi znowu wyschły. Patrzyłem przez okno jak na pobliskich wzgórzach zapalały się w rudkach światła, a panienki przy sąsiednich stolikach przyglądały się nam z uwagą nie pozbawioną jeszcze nadziei. Ruchami uniesionych brwi i mimiką konsultowały ze sobą sprawę, a mnie zrobiło się żal czasu na wieczór w knajpie, który równie dobrze mogłem spędzić sam, przyjemniej i pożyteczniej. Tu dalej wszystko pachniało mi szwindlem i mimo jego wysiłków, rozmowa z Ryśkiem się rwała. Dostrzegłem dyskretny znak przesłany kelnerowi, po którym ten dopadł stolika i tylko udał, że dolewa wódki nam obu, ale to jedynie ja dostąpiłem zaszczytu, podczas gdy Rysiek udając, że ma czym, zaproponował kolejny toast i znów rozgadany przyglądał mi się z uwagą jak lekarz pacjentowi po ryzykownym zastrzyku.

– Nasze kawalerskie! – wyklepał znowu swoje i podniósł osłonięty dłonią pusty kieliszek.

Teraz ja przyglądałam mu się uważnie. Na jeden czy dwa kieliszki więcej mogłem sobie pozwolić; byłem ciekaw dokąd prowadzi ta gra. Nie zrobiłem mu zawodu, skrzywiłem się przepisowo po kolejnym toaście, a on też, udając, że wypił, ściągnął wargi w sztucznym grymasie.

– Rysiek, nie za ostro? – udałem, że ledwie zipię. – Jeszcze dwie kolejki, a wpadnę ci pod stół!

Kelner na znak Ryśka znów przyskoczył jak kangur i powtórzył manewr z jednym kieliszkiem. Panienki do towarzysztwa, znające dobrze ten prosty chwyt na jelenia, przyglądały się nam z wyraźnym zaciekawieniem.

Drzwi knajpy kłapały teraz jak na dworcu autobusowym i trakt od bufetu do progu cały był mokry. Tu się nie piło, tu brało się pół litra na wynos, bez zasiadania do zbędnych zakąsek. Wypiliśmy – Rysiek znów pustym, ja kieliszkiem dopełnionym starannie przez kelnera. Świdrowało mnie nadal ukradkowe spojrzenie i już byłem pewny, że to dwa różne kolory tęczy, a nie zez, nadawały wzrokowi Ryśka ów świdrujący wyraz.

Dziobałem coś z talerza i w myślach roztrząsałem sytuację. Gdybym się upił, przy sobie nie miałem nic, co by się Ryśkowi do czegośkolwiek przydało; jeżeli idzie o rozmowę, żadnych tajemnic do wyjawienia nie miałem też. Kelner zajmował się kieliszkami, a Rysiek, zadowolony z poprzednich kiksów, wypił do dna – tym razem ja go wymanewrowałem: wlałem wódkę do flakonu z papierowymi goździkami i spojrzałem szybko na siedzącą najbliżej damę do towarzystwa. Zaintrygowana naszą kawalerską fetą spojrzała na mnie z ubawieniem: na razie to nie ja wychodziłem na jelenia. Po kilku minutach wszystko się powtórzyło. Rysiek bał się, że mogę go przyłapać na oszustwie, więc mnie zagadywał, ale znów zerknął na zegarek, jakby mu było spieszno do czegoś ważniejszego, i przyjrzał mi się uważnie jak anestezjolog podający wstępną dawkę narkozy. Może gdyby miał policyjny balonik, martwiłby się jak mi zmierzyć zmniejszający się zapas trzeźwości.

Siedząca opodal dyżurna blondynka spoglądała jakby miała Ryśka za pedała starającego się przełamać alkoholem wewnętrzne opory poderwanego nowincjusza. Kiedy znów spojrzałem w jej stronę, otwarcie puściła do mnie perskie oko. Nawet mnie bawiło, że odrobinę ryśkowej forsy już wlałem w szuczne goździki do flakonu z imitacji kryształu i że tak czy owak podczas kawalerskiego wieczoru panuje przy stole sprawiedliwy alkoholowy impas.

– Masz pusty kieliszek – pozwoliłem sobie nawet na zgryźliwość przy następnej kolejce.

Rysiek zawołał kelnera i wytknął mu niedopatrznie, a ja korzystając z incydentu jeszcze raz dałem sobie zgodę na drobną machlojkę z flakonem. Teraz już obserwowały nas dyskretnie wszystkie panny do towarzystwa. Znów sporo osób przewinęło się traktem od podmiejskich melin do drzwi i

bufetu. Świdrujący wzrok Ryśka jakby przygaś, zmętniał i zaplatał się gdzieś między planem i wykonaniem. Na twarzy wykwitły mu pierwsze alkoholowe rumieńce i obaj szliśmy ku sobie trochę pijani, jak gimnastycy po belce równoważni. Kiedy kelner nam dołał, tym razem ja przejąłem inicjatywę i pierwszy uniosłem kieliszek.

– No – powiedziałem – Rysiu, nasze kawalerskie!

Rysiek tyknął i bujnął się w krzesło; osiągnął już pierwsze stadium przymroczenia, ale do stanu jakiego najwyraźniej po mnie oczekiwał było nam jeszcze dość daleko. Teraz on spojrzał na panienki czekające przy stolikach i z nawyku wzrok mu zalsnił.

– Nawet niczego sobie. Gdyby nie ryzyko, można by popробować.

Udałem zaskoczonego.

– To tak już źle z tobą, że pachną ci takie cizie?

– Pachną nie pachną, ale człowieka ciągnie, to fakt. Te przynajmniej wiedzą na czym świat się opiera.

Kelner dyskretnie mu przeszkodził, menewrując butelką między flakonem i kieliszkami. Panienki od stolików przestały nas obserwować i Rysiek wyciągnął do mnie kieliszek osłonięty palcami.

– Masz rację – powiedział. – To tylko kurestwo, ale wypijmy za te damy. Polityka to kurestwo jeszcze większe. Chyba się zgadzasz?

– Do pewnego stopnia.

– Tak czy tak, nie warto się podniecać – trochę poniósł go temat. – Ludzie w coś się angażują, w taką rację, w owaką, dają się wziąć na lep, a tymczasem różnej maści cwaniacy robią na tym czysty biznes. Mów prawdę, masz do mnie żal o tamtą rozmowę?

– Dawno o niej zapomniałem.

– Lepiej pogadać o dziewczynach?

– Stara prawda.

– No, to nasze kawalerskie! Nie ma jak męska przyjaźń!

– Tak i ja uważam – powiedziałem nie zrażony ponowną zmianą dekoracji.

– No, to dobrego!

Podniósł kieliszek, udał, że pije, udał, że się krzywi i kztusi po wódce. Uważnie mnie zlustrował: pod jego świdru-

jącym spojrzeniem musiałem wypić swoją porcję, zaraz też udałem, że nie panuję nad ruchami. Niby niechcący trąciłem flakon i przewróciłem na stole resztę nałęczowianki. Rysiek był zadowolony z moich postępów.

– Przepraszam – mruknąłem – za dużo wypilem. Chyba już zaczynam widzieć potrójnie.

Kelner znów nam dołał, a ja nie mogłem wyekspediować zawartości między goździki, bo Rysiek trzymał mnie wzrokiem na uwięzi.

– Tak czy owak, parę fajnych lat przeżyliśmy razem.

– Tak czy owak, niezłych – przyznałem.

Może nie były fatalne, ale rozkładając się nie było po czym.

– I chyba parę niezłych babek zaliczyliśmy.

Udałem, że się zastanawiam.

– Czy ja wiem? Niektóre może były warte zachodu.

Rysiek roześmiał się z satysfakcją.

– Ja tam narzekać nie mogę.

Jego wzrok znów bystro mnie świdrował. Udałem, że nieźle mam w czubie i kolejny popis stanu nieważkości chyba wypadł nieźle, bo Rysiek spokojnie przypominał kelnerowi obowiązki, a ten tym razem nawet nie udawał, że zamiast dwa obsługuje tylko mój kieliszek. Fachowo, jak na zamówienie, kiwnąłem się w krzesło, udałem, że z trudem wstaję od stolika.

– Zaraz wrócę – bąknąłem i wyszedłem chwiejnie z sali.

W szatni kupiłem papierosy, wszedłem do toalety, starannie zwilżyłem twarz, umyłem i wytarłem ręce, przycesałem włosy. Przez pięć minut paliłem z szatniarzem papierosa i zastanawiałem się w duchu, o co w tym wszystkim idzie. Markując kłopot z marszem bez kompasu, udałem, że z trudem trafiłem do stolika i siadłem naprzeciw Ryśka.

– To co? – spytał. Politykę mamy z głowy?

– Mamy – potwierdziłem. – Gwizdę na politykę. Lepiej pogadajmy o czym innym, choć może już powinienem wracać do domu.

– Nie wyglupiaj się – zaprotestował gorliwie. – Nie psuj nam naszego wieczoru! Jedźmy coś, pijmy! Panie starszy! – krzyknął na kelnera.

– Poczekaj. Dlaczego się spieszysz? Trochę odetchnijmy, bo ci padnę w połowie tego maratonu. Za ostre tempo!

– A tam! Po to tu jesteśmy, żeby się odprężyć. Pamiętasz Kaśkę?

– Owszem – zaskoczony przytaknąłem ostrożnie.

To przecież mnie któregoś dnia Kaśka poskarżyła się rozżalona jego unikami i to ja wobec przerwy w ich stosunkach dyplomatycznych spełniłem funkcję łącznika; miałem sprawić, żeby Rysiek coś z jej kłopotami zrobił, a teraz współsprawca tej dawnej afery siedział przede mną i miał czelność mnie pytać czy Kaśkę pamiętam. Kelner zbliżył się z nową butelką. Rysiek sapnął, po chwili czknął, zionął prosto na mnie pełnym menu kawalerskiego wieczoru i nachylił się w moją stronę.

– Kaśka – powiedział konfidencyjnie – jeszcze dziś się mnie czepia. Wyobraża sobie, że rzucę dla niej wszystko i jak idiota pojedę z nią w Polskę zwarioną jak ona sama, żeby rzucić dla niej dorobek całego życia!

– Przecież mogliście sobie wcześniej ustalić jakieś reguły – zauważyłem, a potem dałem spokój i tylko udawałem, że jestem zbyt pijany, żeby cokolwiek rozumieć.

– Stary – Rysiek teraz pochylił się przez stół i wziął mnie za wstawionego. – Chłopie. Powiedz tak między nami jak przyjaciel przyjacielowi. Przeleciałeś ją? – swoim dwubarwnym spojrzeniem wiercił we mnie dziurę jak śledczy.

– Kogo? – wytchnąłem zdumiony. – Kaśkę?

– No a kogo? Jasne, że Kaśkę.

– No, wiesz – powiedziałem zaskoczony. – O co ci, Rysiek, idzie?

– Chcę, żebyś powiedział czy ją miałeś. Niedostępna przecież nie była.

Z trudem ukryłem obrzydzenie. Udałem, że momentami trzeźwieję i nie wiem dlaczego spojrzałem z sympatią na najbliższą blondynkę.

– Rysiu – mruknąłem. – Przecież wiesz, tobie wszystko bym powiedział. Miałem na nią chrapkę, to fakt, ale byłem bez szans. Może nie byłem w jej typie, może po prostu nie starałem się zbyt gorliwie. A przede wszystkim nie jestem pewny czy tak się każdemu, kto chciał, ofiarowywała.

Rysiek patrzył na mnie zawiedziony, zerkał też z ukosa na pobojowisko na stole: patrzył na zastawę, jakby coś zliczał, a ja wiedziałem, że teraz żał mu było pieniędzy wyrzuconych

na ten kawalerski wieczór i że po drańsku liczył na moją niedyskrecję po wódce, przy pomocy której starał się ze mnie wydobyć potrzebne mu zeznanie, a dalszy ciąg kawalerskiego wieczoru przestał go po prostu obchodzić.

– Myślałem, że ci się udało – powiedział zawiedziony.

– Czego, na litość boską, chcesz? Nie była taka łatwa!

– Tak ci się zdaje – mruknął. – Nikomu, kto chciał, nie żałowała.

– Nic ci się w tym wszystkim nie pomyliło? I co? Masz z nią jakieś kłopoty?

– Kłopoty? Stary – powiedział niemal zadowolony i dumny. – Sam na siebie zastawiłem wnyki i jeszcze dziś nie mogę się z nich wydostać. Urodziła przecież dziecko. Gdybym miał choć jeden dowód, że to zwyczajna kurewka, nie zawracał bym sobie dupy. Ale przecież w tej sytuacji nie mogę jej zostawić tak po prostu na lodzie.

Spojrzał na zegarek i za czymś grzebnął w swoim świeżo wyfasowanym menadżerskim ekwipunku.

– Musimy iść – powiedział udając żal. – Pora żeglarzom wracać do domu. Stara już i tak będzie na mnie wściekła za wieczór i za tę parę kieliszków. Odkąd wróciłem, za często sobie pozwalam.

– O ten kawalerski wieczór też będzie zła?

– I o ten kawalerski wieczór też – odparł nim poszedł do kelnera płacić. – Zazdrosna jest o mnie jak diablica.

– Mój Boże – udałem współczucie. – Nigdy nie pomyślałem, że Kaśka chce kogokolwiek wystawić do wiatru!

Rysiek już był trochę wstawiony i chyba pierwszy raz spojrzał dziś na mnie z sympatią.

– Ty jeden mnie rozumiesz – orzekł i czknął. – One wszystkie naprawdę mają nas gdzieś. To żadna zabawa, tu można łatwo połamać sobie kości. Tylko solidarnie możemy się przed nimi jakoś bronić.

Pomyślałem teraz o czymś, co mi do tej chwili nie przyszło do głowy. Kiedy Rysiek przy bufecie płacił kelnerowi rachunek, zerknąłem obok na krzesło z jego menadżerskimi instrumentami. Przyrzucony śmieszna w tej sytuacji damska chusteczka, tuż pod klapą torby leżał mały dyktafon z kręcącymi się jeszcze szpulami. Bez wyrzutów sumienia wpuściłem go sobie w kieszeń, a po pięciu minutach pożegnaliśmy się czule przed knajpą.

W domu sprawdziłem dyktafon marki panasonic. Nasz kawalerski wieczór nagrany był na taśmie od pierwszego zdania do ostatniego, słychać było nawet ryzykowne dyspozycje dla kelnera. Czekałem na próżno na jego telefon; głupi nie był, nie zadzwonił. Po paru dniach spotkałem Kaśkę.

– Co słychać?

– Nic nowego – mruknęła bez entuzjazmu, zszarzała, przygasła i zgoniona. – Jedno wiem. Rysiek na gwałt potrzebuje kogokolwiek, kto by mu powiedział, a mnie powtórzył w oczy, że mnie miał i że się puszczałam na prawo i lewo. Już trzem moim dawnym znajomym, o których dawno zapomniałam, zafundował kawalerski wieczór, żeby po wódce coś z nich wydobyć. Tyle z nowości. Elegancja, co?

– Elegancja – przyznałem. – Jak dziecko?

– Wszystko dobrze. A u ciebie?

– U mnie też dobrze.

– Nic nowego?

– Chyba nic, tyle że nie masz najświeższych wiadomości. – Spojrzałem na jej twarz. – Takich kawalerskich wieczorów było trochę więcej.

Kaśka uniosła brwi.

– Jak chcesz – powiedziałem, choć wcześniej nie miałem zamiaru wszystkiego wyznawać – możesz któregoś dnia posłuchać jak wygląda magnetofonowy zapis takiego kawalerskiego wieczoru.

Kaśka-ofiara wytrzeszczyła złe, ale i głodne jak zwykle oczy.

– On to nagrywał czy ty?

– Za kogo chcesz mnie mieć?

Kaśka splunęła.

– Wiesz – powiedziała. – Mnie polityka nie interesowała i nie interesuje, ale macie tam chyba jakieś swoje nazwy, obraźliwe czy nie, nie mam pojęcia. Dla mnie Rysiek to taki prawdziwy solidarnościowy komuch.

Ruszyła ze swoimi manelami i poszła na przystanek.

Wcale się nie zastanawiałem. Nawet największa idiotka może czasem mieć rację. Elegancja, pomyślałem o Ryśku, niech go diabli!

Bogdan MADEJ

Archiwum polityczne

Na marginesie nowej książki Güntera Grassa¹

Od lat Günter Grass zajmuje niekwestionowane miejsce na Parnasie niemieckiej literatury. Po śmierci noblisty Heinricha Bölla stał się najważniejszym ambasadorem literatury niemieckiej, nawet więcej, Grass kojarzy się z „cudem demokratycznym” Bońskiej Republiki. To szczególnie pisarze tacy jak Grass i Böll swoim poparciem dla byłego działacza antyfaszystowskiego Willy Brandta przyczynili się do upadku demokratyczno-autorytarnej ery Adenauera, która przyniosła Niemcom nie tylko „cud gospodarczy” i integrację w Sojusz Północnoatlantycki, lecz także częściowy powrót oportunistów administracji hitlerowskiej – byli członkowie NSDAP przekształcili się w demokratów. Adenauer przeprowadził cichą transformację bez rozliczenia z faszyzmem. Wiarygodne rozliczenie z historią niemiecką i odcięcie od autorytarnych tradycji następowało do końca lat sześćdziesiątych w literaturze niemieckiej, w powieściach i opowiadaniach członków wpływowej literackiej *Grupy 47*, byłych żołnierzy Rzeszy Heinricha Bölla i Güntera Grassa. Polityczne zaangażowanie Grassa nie skończyło się na udziale w wiecach kampanii wyborczej Willy Brandta. Będąc przez dziesięć lat członkiem SPD Grass zachował jednak swoją polityczną niezależność. W latach siedemdziesiątych, w czasie fali terroryzmu, ostrzegał razem z Böllem przed ograniczeniami praw obywatelskich

1. Günter Grass, *Ein weites Feld*, Göttingen: Steidel Verlag 1995, 783 s.

jako możliwości zwalczania RAFu (*Rote Armee Fraktion*). W latach osiemdziesiątych takie tematy jak bezrobocie, ekologiczne kataklizmy, trzeci świat, ksenofobie, neonazizm nakłaniały Grassa do publicystycznego zaangażowania. Jako mecenas sztuki Grass jest nie tylko fundatorem literackiej nagrody imienia Döblina i nagrody imienia Chodowieckiego dla artystów grafików i malarzy, lecz także fundatorem domu twórczego w północnoniemieckim Wewelsfelth. Wydaje się nawet, że Grass odpowiada *par excellence* ideałom Alberta Camusa, który żądał od pisarzy niezależności w stosunku do każdej władzy czy partii. Pisarz według Camusa to „wolny strzelec/partyzant” (*franc-tireur*), którego zadaniem jest przemawiać w „imieniu tych, którzy mówić nie mogą”². Warto także przypomnieć, że w przeciwieństwie do wielu innych lewicujących pisarzy zachodnioeuropejskich oraz towarzyszy z SPD, Grass, przyjaciel wschodnioeuropejskich dysydentów, był zawsze wyczulony na łamanie praw człowieka w krajach byłego bloku sowieckiego, co spowodowało, że stał się dla komunistów, szczególnie tych z NRD, *persona non grata*. Powodem dla wzmożonej publicystycznej aktywności Grassa w ostatnich pięciu latach było zjednoczenie Niemiec. Pierwsza powieść po prawie dziesięciu latach niemieckiego wieszacza (*Großschriftsteller*) o bólach porodowych Republiki Berlińskiej pod tytułem „Rozległe pole” musiała więc przyciągnąć uwagę nie tylko germanistów i nie tylko krytyków literackich.

Aczkolwiek mało kto dzisiaj zaprzeczy, iż Grass zasłużył sobie na wyeksponowaną pozycję w literaturze niemieckiej, to jednak jego dzieło w ostatnich trzech dekadach było przyjmowane nawet przez życzliwie do niego nastawionych krytyków i czytelników często chłodno. Cały jego dorobek ostatnich lat stoi nadal w cieniu zakończonej w 1963 roku gdańskiej trylogii. Czytając „Rozległe pole”, przypominało mi się wydane w 1979 roku opowiadanie Grassa pod tytułem „Spotkanie w Telgte”, które jako jedyna książka Grassa w ciągu ostatnich dwóch dekad spotkało się z życzliwym przyjęciem przez większość niemieckich krytyków. „Spotkanie w Telgte”

2. Albert Camus, „L'artiste et son temps”, wykład wygłoszony 14 grudnia 1957 r. na uniwersytecie w Uppsali (Szwecja).

napisał Günter Grass z okazji siedemdziesiątych urodzin Hansa Wernera Richtera, pisarza starszego od niego o dwadzieścia lat, założyciela *Grupy 47*. Nie będąc grupą wspierającą określony program estetyczny, przez kilka dekad *Grupa 47* zbierała na swoich spotkaniach, które miały formę spotkań roboczych, najwybitniejszych niemieckojęzycznych pisarzy i krytyków. W „Spotkaniu w Telgte” Grass postawił literacki pomnik swojemu literackiemu mentorowi, przenosząc *Grupę 47* o trzysta lat w przeszłość, w moment kiedy, po trzydziestu latach krwawej wojny europejskiej między katolickimi zwolennikami papieża a siłami protestanckimi na ziemiach niemieckich w mieście Münster w Westfalii toczyły się rozmowy o zawarciu pokoju. W barokowej bajce Grassa przypominający Richtera poeta Simon Dach z Królewca zaprasza latem 1647 roku, równoległe do rokowań pokojowych w Osnabrück i Münster, najwybitniejszych pisarzy niemieckojęzycznych, takich jak znany nawet Polakom Martina Opitza czy też Andreasa Gryphiusa, do spotkania w miejscowości Telgte. Spotkanie to jest oczywiście wymysłem Grassa. W portretach głównych protagonistów zaskoczyła niemieckich literaturoznawców niezwykła znajomość literatury baroku. Na dodatek Grass opisuje owo spotkanie w języku niemieckich kronik barokowych.

„Spotkanie w Telgte” to nie tylko zabawa dla germanistów, to także wielka parabola oddająca obraz Niemiec jako kraju rozdartego, bez jedności politycznej, w którym poeci w języku i literaturze szukają oparcia przewyżającego sprzeczności polityczne. Za pomocą tej parabolii nie chciał Grass relatywizować Drugiej Wojny Światowej oraz morderczej, rasistowskiej polityki faszyzmu niemieckiego, tylko podkreślić pewne powierzchowne podobieństwa między końcem Wojny Trzydziestoletniej i Drugiej Wojny Światowej. Porównanie takie narzuca się poprzez zniszczone państwa niemieckie, miliony ofiar, zajęta przez obce wojska Europę Środkową, w oczach ofiar sytuacje wręcz bez perspektyw. Tak jak po Drugiej Wojnie Światowej podpisany w Westfalii pokój przyniósł nie tylko zakończenie wojny, odbudowę, rozkwit kultury i gospodarki ale i wzmocnił terytorialne rozdarcie niemieckojęzycznego obszaru, co było powodem

późniejszych wojen. Mimo politycznego rozłamu rośła w kulturze świadomość jedności. Ta sprzeczność, to napięcie charakteryzowało także podział narodu niemieckiego podczas Zimnej Wojny, kiedy literatura łączyła naród.

„Spotkanie w Telgte” antynacjonalisty Grassa jest książką o patriotyzmie niemieckim kształtującym się na gruncie wspólnej kultury. W późniejszych wywiadach Grass wyraził sympatię z herderowskim pojęciem *Kulturation*, które według Grassa nigdy nie zostało zaakceptowane, ale zastąpione przez sprzeciwiające się humanistycznym ideałom romantyzmu niemieckiego polityczne pojęcie narodu. Herderowski patriotyzm Grassa jest wytłumaczeniem dla jego nietypowej dla lewicowego intelektualisty postawy, akceptującej podział Niemiec i jednocześnie dostrzegającej w RFN-ie i w NRD wspólnotę kulturową. Herderowski patriotyzm zapewnił Grassowi wrogie nastawienie honckerowskiego reżymu, głoszącego, po budowie muru berlińskiego, powstanie niezależnego antyfaszystowskiego „narodu NRD-owskiego”. „Spotkanie w Telgte” to także książka o granicach wpływu kultury i pisarzy. Opisane spotkanie barokowych mistrzów jest jednocześnie ich ostatnim – nie uwiecznionym uchwaleniem przygotowanego przez niektórych z nich politycznego manifestu. „Spotkanie w Telgte” jest zabawą Grassa w stylistykę baroku, świadectwem imponującej znajomości biografii zapomnianych już mistrzów. To nie tylko szkic, ale i żywy portret odległej epoki skreślony piórem samouka wśród germanistów, który z humorem utrzymuje krytyczny dystans do swojego tematu.

Lektura „Rozległego pola” przypomina polityczno-literacką zabawę „Spotkania w Telgte”. Obok niemieckiego baroku oraz Alfreda Döblina, autora słynnej powieści „Berlin Alexanderplatz”, dzieło i postać Theodora Fontanego fascynuje od wielu lat Grassa. Już przed upadkiem muru, w 1986 roku, myślał Grass o literackiej konfrontacji z postacią oraz dziełem Fontanego i o pokazaniu sprzeczności w odbiorze dzieła tego autora: „Kiedy zajmowałem się tym pisarzem uderzyło mnie, jak dalece jego wizerunek bywał przykrawany do potrzeb. Zrobiono z niego konserwatystę, entuzjastę Prus, a przemilczano przy tym, że nie była to miłość wolna od rozczarowań, która na starość stopniowo zamieniała się w

nienawiść. To znów nazbyt podkreślano radykalizm starego Fontanego, który tęsknił za zwycięstwem czwartego stanu. Tu podkreślano jego życzliwy stosunek do Żydów, a tam znów pomijano, że tkwił w nim (...) również antysemita. (...) Był na lewicy przed marcem, stał się niefortunnym bohaterem barykad 1848 roku. A już w dwa lata później, kiedy żeni się, potrzebuje pieniędzy. Żona naciska na jakieś stałe zajęcia, wtedy Fontane idzie na służbę najgorszej redakcji, znajduje ją w urzędzie cenzury.”³

W „Spotkaniu w Telgte” Grass naświetlił powojenne Niemcy na tle doświadczeń wieku siedemnastego. Nie tylko podkreślił znaczenie baroku dla literatury niemieckiej, ale i ukazał, że problemów ukształtowania państwa niemieckiego nie można zrozumieć bez znajomości rodzącego się w Europie absolutyzmu.

„Rozległe pole” jest książką o zjednoczeniu podzielonego po drugiej wojnie światowej kraju oraz jednocześnie powieścią o historii Niemiec, próbą szukania analogii między końcem dziewiętnastego a naszym wiekiem, między zjednoczeniami 1871 a 1990 roku. To według Grassa powieść, której nie da się wyłącznie ograniczyć do codziennej politycznej rzeczywistości po 1989 roku: „Według mojego zrozumienia historii i doświadczeń z historią Niemiec widzę, iż nie można pominąć podszewki. Wiek dziewiętnasty jest zawsze obecny z mojego punktu widzenia, aż do rewolucji 1848 roku.”⁴

W przeciwieństwie do „Spotkania w Telgte” nowa powieść Grassa dzieje się we współczesności. Poprzez protagonistów Grass poszerza wymiar czasu aż do połowy dziewiętnastego wieku. Fonty, alias Theo Wuttke, to manipulowana genetycznie postać z laboratorium Grassa. Theo Wuttke jest miłośnikiem twórczości Fontanego, urodził się w setne urodziny Fontanego, jego biografia pełna jest podobieństw do życiorysu wielkiego mistrza. Pracującego w Urzędzie Powierniczym w gmachu byłego NRD-owskiego domu ministerstw jako kurier. Fonty’ego można nazwać reinkarnacją wielkiego

3. Rozmowa Güntera Grassa z tygodnikiem *Stern*, 17 sierpnia 1995, w języku polskim ukazała się w całości w miesięczniku *Odra*, nr 10, październik 1995.

4. Günter Grass w rozmowie z *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 7 października 1995.

mistrza w postaci zaciętego miłośnika twórczości Fontanego. Fonty – podobnie jak Fontane – przedstawia przeciętną niemiecką biografię człowieka, który raczej zawsze podporządkowywał się władzom, jednak przez swoją indywidualność, nawet pewną intelektualność, w oczach rządzących nie był osobą stuprocentowego zaufania. Jako korespondent wojenny podczas Drugiej Wojny Światowej Fonty nie miał ani jednej śmierci na sumieniu, był jednak ważnym kołem w propagandowej maszynie faszystów. W komunizmie znajduje swoją wewnętrzną, stale kontrolowaną niezależność jako ekspert głoszący na prowincji wykłady na zamówienie aparatu kulturalnego na temat Fontanego. Theo Wuttke, przypominający nawet fizjonomię autora „Effi Briest”, jest żyjącą encyklopedią, skarbnicą dla germanistów z poczdamskiego archiwum Theodora Fontanego. Ten anonimowy kolektyw ekspertów przyjmuje w powieści rolę narratora, rekonstruując ekscesywne cytowanie twórczości mistrza przez Fonty’ego. Mostem do dziewiętnastowiecznych Niemiec jest postać wiecznego agenta Hoftallera, wszechobecnego cienia Fonty’ego, który jest nie tylko stałym kontrolerem Theo Wuttkego, ale także troszczącym się o dobro Fonty’ego i jego rodziny kumplem. Jako były sługa pruskiej tajnej policji Hoftaller jest idealnym partnerem dla Fonty’ego do rozmów na temat pruskich wojen, dziewiętnastowiecznych obyczajów, Bismarcka i powstania Rzeszy w 1871 roku. Postać Hoftallera powstała u Grassa po lekturze – przetłumaczonej nawet na język polski – powieści „Tallhover” niemieckiego pisarza Hansa-Joachima Schädlicha⁵, w której śmierć wiecznego szpicla Thallhoversa wydawała się Grassowi nielogiczna. Postać bez twarzy, biografii, wieczny sługa dyktatur jest według Grassa wiecznie żyjącym zagrożeniem, i z tego powodu nie może doznać końca, tak jak zwykły śmiertelnik.

Obok dialogu dwóch epok historii Niemiec widoczne jest jeszcze jedno pokrewieństwo „Rozległego pola” ze „Spotkaniem w Telgte”. Mam tu na myśli język. W swoim opisie spotkania pisarza Grass posłużył się językiem barokowym, w swojej powieści o zjednoczeniu Grass eksperymentuje z

5. Hans Joachim Schädlich, *Tallhover*, Londyn: Wydawnictwo Puls 1989.

dziewiętnastowiecznym stylem marchijskiego mistrza: „Rozległe pole” „(...) jest próbą (...) – a żywię nadzieję, że jest to próba udana – nawiązania przez autora do tonu Fontanego, utrzymanego w tonacji gawędy, próbą która nie jest zarazem imitacją, ale wyprowadzoną z tego tonu własną dykcją rozwijaną w nowe formy wyrazu.”⁶

„Rozległe pole” stylistycznie nie dorównuje mistrzowskiemu „Spotkaniu w Telgte”, opowiadaniu, w którym precyzyjnie doszlifowanie każdego zdania, kolorystyka portretu historycznych postaci oraz subtelna, nawet poetycka zabawa w analogie historyczne są imponujące. Opowiadanie to robi wrażenie nawet na czytelniku nie rozeznającym w epoce niemieckiego baroku. „Rozległe pole” jest niestety powieścią przegadaną, pełną dłużyzn, robi wrażenie stylistycznie nie dopracowanego dzieła. Brakuje w „Rozległym polu” oryginalnych pomysłów narracyjnych i sytuacyjnych. Grass męczy czytelników swoją imponującą wiedzą o Fontanem i jego obfitej twórczości sięgającej od relacji z wojen pruskich, podróży po Anglii, Szkocji, Marchii aż do powieści. To nie dziwactwo Fonty’ego, cytującego ciągle swego mistrza jest nudne, męczy małostkowość Grassa, któremu widocznie sprawia wielką przyjemność prezentowanie na kilkuset stronach zapomnianych anegdot z życia Fontanego. Książkę można porównać z próbą zaimponowania fachowcom przez autodydakcję. Nawet chwalący dzieło Grassa krytycy nie mogli w pierwszych ocenach pominąć wad powieści. Na przykład redaktor jednego z czołowych niemieckich dzienników *Süddeutsche Zeitung*, Jürgen Busche mimo pochwały i porównania „Rozległego pola” z „Doktorem Faustusem” Tomasza Manna zastanawiał się, czy pomysły Grassa nie powinny być w tym przypadku rozwinięte w formie noweli zamiast powieści.

„Rozległe pole” jest publicystycznym rozliczeniem pisarza ze zjednoczeniem Niemiec zaślaniającym rzeczywistość. Wielkim rozczarowaniem jest ideologiczność Grassa, prowadząca do białoczarowego obrazu Republiki Berlińskiej. Z lektury powieści wynosi się wrażenie, że Grassa nie interesuje „konkretny człowiek w obliczu konkretnych wydarzeń”. W

6. Günter Grass w rozmowie ze *Sternem*, w *Odrze*.

centrum książki stawia dwie mało wiarygodne, przeintelektualizowane postacie, komentatorów a nie bohaterów, którzy służą mu do *collage'u* cytatów Fontanego oraz wypowiedzi swoich politycznych poglądów. Myślę, że najlepiej określił Marceli Reich-Ranicki deficyt „Rozległego pola” w swojej głośnie recenzji w formie listu do autora: w „Rozległym polu” Grass nie potrafił, tak jak na przykład Theodor Fontane „przenieść myśli na teren zmysłów, czyli uczynić sprawy umysłu widocznymi”. W nowej powieści Grassa „nic nie jest opowiadaniem tylko twierdzeniem, nie jest pokazane, a obwieszczane.”⁷

Politycznie wypowiedzi postaci książki są zbiorem głównych tez Grassa na temat zjednoczenia. Słusznie, krytyk nie powinien uważać wypowiedzi bohaterów powieści za dosłowne zdanie autora. Jednak w „Rozległym polu” Grass nie podejmuje konfrontacji ich wypowiedzi z innymi poglądami, brakuje w tekście wielogłosowości. Co więcej, w „Rozległym polu” powtarzane są znane z publicystycznych prac oraz wywiadów ostatnich lat poglądy Grassa. Całą prawie osiemsetstronicową powieść można by zastąpić zbiorem trzynastu sonetów „Listopadia”⁸. Można nie dzielić politycznych poglądów Grassa, ale dzięki pomysłowej metaforze sonetów tom „Listopadia” jest porównywalny z krytycznymi komentarzami społeczeństwa niemieckiego w formie poezji pióra Heinricha Heinego albo w Polsce mało znanego przedwojennego poety i publicysty Kurta Tucholskiego. Warto przypomnieć, że „papież niemieckich krytyków”, Marceli Reich-Ranicki, mimo odmiennych poglądów na temat zjednoczenia Niemiec przywitał „Listopadia” jako arcydzieło poezji niemieckiej, co jest dowodem, że głębokiego rozczarowania jego i innych krytyków „Rozległym polem” nie można wytłumaczyć wyłącznie rozbieżnością poglądów politycznych. Świadomie bronię tutaj Reicha-Ranickiego, którego obszerną recenzję w formie listu do Grassa nawet miłośnicy „Rozległego pola”, jak na przykład Adam Krzemiński, uznali za napisaną znako-

7. Marcel Reich-Ranicki, „... und es muß gesagt werden”, *Der Spiegel*, 21 sierpnia 1995.

8. Günter Grass, *Listopadia 13 Sonetów*, przełożył Bolesław Fac, Gdańsk: Polnord-Wydawnictwo Oskar 1994.

micie. Wszystkie inne negatywne recenzje wpływowych dzienników, jak konserwatywnego *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, lewicowo-alternatywnego *Die Tageszeitung* albo liberalnego tygodnika *Die Zeit*, potwierdziły główne zarzuty Ranickiego w stosunku do powieści Grassa. Marceli Reich-Ranicki popełnił jednak błąd zezwalając na umieszczenie na okładce tygodnika *Spiegel*, w którym ukazała się jego krytyka „Rozległego pola”, fotomontażu z portretem nie autora powieści, ale krytyka drącego książkę na strzępy. Okładka ta stała się – jak trafnie zauważył Adam Krzemiński – „przedmiotem debaty gwałtowniejszej niż sama książka”. W ogórkowym sezonie, pod koniec sierpnia, literacka dyskusja przekształciła się w cyrkowy pojedynek pisarza i krytyka. Okładka *Spiegla*, która nie odzwierciedlała respektu krytyka dla całokształtu twórczości Grassa, jest dowodem, iż hamburskiemu tygodnikowi chodziło jedynie o sprowokowanie nowego wydarzenia medialnego. „Medialna karuzela w życiu kulturalnym kręci się coraz szybciej, stając się tematem samym dla siebie. Migotliwość zmiennych obrazów sprawia wrażenie, że coś się naprawdę dzieje, nawet jeśli to ruch jałowy, a na refleksje nie ma czasu.”⁹ Udział w medialnej karuzeli wzięli także autor i jego wydawnictwo, podsycając ogień niezrównoważonymi wypowiedziami, sugerując na podstawie okładki *Spiegla* niesmaczne porównanie krytyki Ranickiego z niszczeniem, paleniem książek przez narodowych socjalistów, stawiając dyskusje wokół książki Grassa na jednym poziomie z totalitarnym zakazem krytycznej literatury, z propagandą Goebbelsa. Niezrozumiałe dla mnie jest pozwolenie Grassa na kampanię reklamową swojego wydawnictwa, która w oczach miłośników literatury odebrana została z niechęcią: wydawnictwo Stedel miesiącami przed wydaniem „Rozległego pola” reklamowało w anonsach powieść jako arcydzieło literatury. Szczytem niepowagi był termin wydania książki: 28 sierpnia, dzień urodzin Goethego. Zagraniczna prasa z wdzięcznością zareagowała na medialną karuzelę w Niemczech. Obok rzetelnych prac dziennikarskich można znaleźć niepoważne reportaże w renomowanych

9. Adam Krzemiński, „Strzały do glinianych gołębi”, *Polityka*, 16 września 1995.

czasopismach europejskich, które sympatyzując z obawami Grassa przed nową potęgą pruską w Europie stanęły bezkrytycznie po stronie Grassa. Zaskoczeniem dla mnie był artykuł we francuskim miesięczniku *Le Monde Diplomatique*, w którym autorka obszernego artykułu stwierdziła, że dyskusja wokół książki Grassa przypomina epokę palenia heretyków na stosie (*l'époque des autodafés*)¹⁰. Myślę, że nie tylko przecenia się wpływ krytyków porównując ich z inkwizytorami, ale też niesłusznie porównuje się Grassa z ofiarami nietolerancji systemów autorytarnych czy totalitarnych. Jak bardzo Niemcy się zmieniły widać po tym, że Grass w medialnym pojedynku nie był sam, znalazło się dosyć wpływowych gazet i osobistości określających się jako zwolennicy Grassa. Czytając niektóre artykuły międzynarodowej prasy nie mogłem się uwolnić od wrażenia, że relacje o darciu książek w zjednoczonych Niemczech, w tak zwanej „Republice Berlińskiej”, mają potwierdzić znane uprzedzenia na temat Niemców.

Chciałbym powrócić do tez Grassa na temat zjednoczenia Niemiec. Rozumiem niechęć Grassa do propagandy rządu kanclerza Kohla o sukcesach w procesie zjednoczenia, rozumiem u Grassa potrzebę przedstawienia alternatywy do głoszonej przez zachodnioniemieckie elity historii zjednoczenia. Rażą mnie w „Rozległym polu” uproszczenia i polityczne legendy. W niektórych miejscach książka przypomina wypowiedzi polityków skrajnego skrzydła niemieckich postkomunistów z PDS. Według Grassa upadek muru przygotowało Stasi, a zjednoczenie Niemiec było centralistycznie przeprowadzoną kolonizacją wschodu przez zachodni, manchesterowski kapitał. Polityka prywatyzacyjna Urzędu Powierniczego jest odpowiedzialna za bezrobocie na wschodzie. Obok Urzędu Powierniczego, Helmuta Kohla oraz przedsiębiorców zachodnioniemieckich wrogiem Grassa jest przechowujący akta służby bezpieczeństwa i analizujący działalność Stasi urząd Gaucka. Może przesadzam, ale po lekturze powieści ma się wrażenie, że wschodnie landy to kraj pełen przegranych frustratów, to spalone pole. Jako akceptujący podział kraju

10. Brigitte Pätzold, „Günter Grass en croisade contre l'oubli”, *Le Monde Diplomatique*, październik 1995.

herderowski patriota Grass należał i nadal należy do przeciwników szybkiego zjednoczenia, które nastąpiło jako przyłączenia landów NRD-owskich do istniejącej federacji landów zachodnioniemieckich na podstawie tak zwanej „Ustawy Zasadniczej”, to znaczy konstytucji RFN. Grass był i jest zwolennikiem oddzielenia międzynarodowych rozmów Dwa-Plus-Cztery na temat suwerenności Niemiec od procesu zjednoczenia obu państw: „Żylibyśmy przez trzy lata w konfederacji i stworzylibyśmy na podstawie nowej konstytucji nie poszerzone RFN tylko Związek Landów Niemieckich. Tej możliwości nikt nie chciał wziąć pod uwagę.”¹¹

Dążąc do konfederacji Grass żądał oczywiście równouprawnień dla obywateli wschodnioniemieckich, honorowego połączenia dwóch państw na podstawie nowej konstytucji, a nie pogrzebu demokratycznej NRD wywalzonego przez demonstrantów jesienią 1989 r. Model konfederacji odślania głębokie demokratyczne przekonania Grassa, jest jednak modelem, który nie powstał na podstawie rzeczywistości politycznej roku zjednoczenia. Warto przypomnieć, że także rząd Helmuta Kohla należał na początku do zwolenników stopniowego, powolnego zjednoczenia na podstawie konfederacji. Dynamika wydarzeń przekreśliła idealistyczne plany. Wystarczy wskazać fakt, że nawet po obaleniu muru chęć migracji setek tysięcy wschodnich Niemców do RFN nie zmalała. Dość popularnym powiedzeniem tamtych miesięcy w NRD było: „Jeśli Marka nie przyjdzie do nas, to my przyjdziemy do Marki”. Był to na pewno jeden z motywów wprowadzenia wspólnej waluty 1 lipca 1990 r. Wspólna waluta, stworzenie wspólnego rynku gospodarczego to podstawowe kroki do uzdrowienia zrujnowanej przez sklerotyczne biuro polityczne gospodarki NRD-owskiej. Stabilność wspólnej waluty można było zapewnić jedynie poprzez wprowadzenie wspólnego budżetu, wspólnej polityki finansowej i gospodarczej, w konsekwencji także wspólnego rządu i parlamentu. Dzisiaj zapomina się, że jedynie szybkie zjednoczenie umożliwiło radykalne podwyższenie poziomu życia w NRD, które było – jak pokazały pierwsze demokratyczne

11. Grass w rozmowie z *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 7 października 1995.

wybory w marcu 1990 roku w NRD – celem przeciętnego obywatela i ustabilizowało sytuację polityczną w kraju. Jedynie finansowa pomoc zachodu w wysokości około 200 miliardów marek rocznie dla wschodnich landów umożliwiła stosunkowo łagodne przejście do gospodarki rynkowej i modernizację infrastruktury. W warunkach wolnego rynku deficytowe kombinaty oraz sztucznie zapewnione masowe zatrudnienie były nie do utrzymania. Zrozumiał jest fakt, że wielu bezrobotnych przeżywa zjednoczenie jako osobistą tragedię. Reformy we wschodnich landach nie są, jak twierdzi Grass, zwycięstwem manchesterowskiego kapitalizmu: zjednoczone Niemcy nie tylko zapewniają zasiłek dla bezrobotnych, urzędy pracy oferują także kursy przekwalifikujące.

Grass zapomina także, że szybkie zjednoczenie otworzyło wschodnim landom drzwi do EWG, z dnia na dzień, bez długiego procesu rozmów z Brukselą i nieobliczalnego procesu ratyfikacji traktatów. Odcięcie od rynku zachodnioeuropejskiego utrudniłoby reformy gospodarcze we wschodnich Niemczech. Natychmiastowe zjednoczenie przyniosło szybką integrację wschodnich landów do Sojuszu Północnoatlantyckiego, co zapewniło równie szybkie wycofanie Armii Sowieckiej, później rosyjskiej, z Europy Środkowej.

Warto przypomnieć też, że zjednoczenie nie odbyło się w formie cichego przyłączenia czy też kolonizacji. W momencie zjednoczenia rozwiązał się parlament RFN. Dwa miesiące później wszyscy obywatele zjednoczonych Niemiec wybierali swój pierwszy wspólny parlament na podstawie nowej ordynacji wyborczej, która umożliwiła wejście postkomunistów do Bundestagu. W izbie landów, Bundesracie, politykę wschodnich Niemiec przedstawiały rządy sześciu nowych landów. Zarzut centralizacji ze strony Grassa nie odpowiada rzeczywistości, ponieważ duża część wpływów na polityczną rzeczywistość we wschodnich Niemczech mają parlamenty landów, składające się w większości ze wschodnioniemieckich polityków. Tak jak i Grass nie jestem zwolennikiem Helmuta Kohla. Bajeczne obietnice że „nikomu się po zjednoczeniu nie pogorszy”, że „reformy na wschodzie obejda się bez obciążeń podatników” albo obraz „kwitnących krajobrazów” podczas kampanii wyborczej w 1990 roku były nieodpowiedzialne. Jednak większość Niemców na wschodzie

potwierdziło w grudniowych wyborach jego politykę zjednoczenia.

Ludzie we wschodnich landach nie tęsknią za NRD, większości wiedzie się lepiej niż pięć lat temu. Mimo iż prawie wszyscy z nich opowiadają się nadal za zjednoczeniem 1990 roku, doskwiera im tęsknota za pewniejszymi warunkami życia, jakie istniały w komunizmie. Nie każdy znalazł swoje miejsce w nowej rzeczywistości. „Niemcy ze wschodniej części Republiki uważają, że stracili nie tylko poczucie pewności i bezpieczeństwa, ale i równości. I za tym tęsknią również. Wtedy było wszystkim jednakowo źle. Dzisiaj szanse i ryzyko podzielone są nierówno. Za Honeckera nie było ani milionerów, ani żebraków. Aż 82 procent Niemców ze wschodu uważa, że życie w NRD było łatwiejsze. Wszystko było z góry zaplanowane i uregulowane, więc i ryzyko popełnienia błędu było mniejsze niż dzisiaj. Większość też uważa, że dawniej ludzie trzymali się razem i byli ze sobą silniej związani niż obecnie.”¹²

Frustracje są źródłem stereotypów, szukania winnych. Źródłem zła są dla Grassa między innymi Urząd Powierniczy i Urząd Gaucka. Nie mam zamiaru bronić polityki prywatyzacyjnej rządu Kohla, ale każda prywatyzacja zniszczonej gospodarki, obojętnie czy przeprowadzona przez Urząd Powierniczy czy w innej formie, oznacza upadek gigantycznych kombinatów, racjonalizację, częściowe bezrobocie. Co do Urzędu Gaucka to powiem tylko, że głównym zadaniem tego urzędu jest krytyczna ocena oryginalnych dokumentów Stasi. W wielu wypadkach dowiedziono, iż niektórzy obywatele figurujący w kartotekach Stasi jako informatorzy, należeli raczej do pasywnych, nikomu nie szkodzących „bojkoterów” – obywateli Szwejków. Urząd Gaucka nie tylko ujawnił wielu prominentnych kolaborantów Stasi, ale na podstawie dokumentów wykazał, jak wielu obywateli nie uległo kuszeniu tajnej policji. Jedną z ofiar Stasi, pisarz Jürgen Fuchs, powiedział, że czytając akta w Urzędzie Gaucka najbardziej zadziwiło go nie to, kto na niego donosił, tylko

12. Jolanta Wacowska, „Nostalgia za NRD”, *Gazeta Krakowska*, 30 września-1 październik 1995. Polecam także sondaż w tygodniku *Der Spiegel*, 3 lipca 1995.

jak wielu przyjaciół i znajomych odmówiło współpracy ze Stasi.

Za najniebezpieczniejsze uważam jednak naszkicowane w „Rozległym polu” analogie historyczne. Może Grass nie miał zamiaru przeprowadzać bezpośredniego porównania zjednoczenia 1871 z tym z 1990 roku. Oczywiście wydaje mi się, że Grassowi zjednoczenie kojarzy się z niepowstrzymanym narodeniem Rzeszy. Chciałbym to skomentować myślami Juliusza Mieroszewskiego: „W historii powtarzają się pewne układy i schematy sytuacyjne. Lecz w większości wypadków historia jest katalogiem samych premier. Historia jest fascynująca ponieważ ‘to samo’ nigdy nie jest ‘to samo’ i identyczne niemal sytuacje w nowych wydaniach produkują odmienne rezultaty.”¹³

Nie jestem ani Kassandra ani prorokiem, ale wychodzę z założenia, że rezultaty zjednoczenia NRD i RFN będą inne. Być może zabrzmi to banalnie, ale chociażby dlatego że nowe Niemcy istnieją w innym świecie. Nie trzeba wierzyć w monopol „historycznej prawdy” czy w optymistyczny obraz szczęśliwej i pokojowej przyszłości, aby stwierdzić – pomijając już czysto literackie uwagi krytyczne na temat „Rozległych pól” – że nowa powieść Grassa jest płytką próbą interpretacji historii i dzisiejszej rzeczywistości.

Miłośnikom prozy autora trylogii gdańskiej – do których nadal się zaliczam – zainteresowanych poglądami politycznymi Grassa polecam tom trzynastu sonetów *Listopada*.

Berlin, 6 grudnia 1995

Basil KERSKI

13. Juliusz Mieroszewski, „Rosyjski ‘kompleks polski’ i obszar ULB”, w: „Materiały do refleksji i zadumy”, Paryż: Instytut Literacki 1976, strona 175.

Białoruś dziś i jutro

(ROZMOWA Z DR DOC. ALESIEM KRAUCEWICZEM, HISTORYKIEM, BYŁYM PROREKTOREM UNIWERSYTETU GRODZIENSKIEGO, DZIAŁACZEM PARTII DEMOKRATYCZNEJ BIAŁORUSI)

MIECZYŚŁAW JACKIEWICZ: – *Jaka jest obecnie sytuacja na Białorusi?*

ALEŚ KRAUCEWICZ: – Jak wiadomo, na Białorusi do władzy doszli postkomuniści. W Polsce również rządzi lewica, ale reformy są tam prowadzone. Na Białorusi natomiast prawica nie zdobyła władzy i nie rozpoczęto u nas żadnych reform. Sąsiedzi nasi często twierdzą, że Białorusini stracili świadomość narodową, że nie mamy żadnej idei narodowej. Ja, jako historyk, czasem się dziwię, że Białoruś jeszcze istnieje. W ciągu wieków Białoruś była gnębiona: jak nie przez Moskwę, to przez Koronę. Niedawno czytałem wypowiedzi niektórych historyków polskich, którzy twierdzą, że polityka wschodnia Polski w średniowieczu była pomyłką. Trzeba było walczyć na zachodzie, zniszczyć Krzyżaków, nie dopuścić do militarizmu pruskiego. A Polacy ustępowali Krzyżakom i szli na wschód. Moim zdaniem był to poważny błąd. Uważam, że to wielka zagadka dziejowa, że Białoruś jeszcze istnieje.

M.J.: – *Wróćmy do naszych czasów. Jak obecnie Pan ocenia państwo białoruskie?*

A.K.: – Zdaje mi się, że obecnie trudno mówić o niezależnym państwie białoruskim. Mamy tu chyba proces prawidłowy. Dlaczego ludzie wybrali Łukaszenkę? Z dwóch przyczyn. Pierwsza przyczyna – byle nie Kiebic, nikt nie wierzył, że może być wybrany ktoś inny. Ale wszyscy głosowali przeciw-

ko Kiebiczowi. I druga przyczyna: Łukaszenka odpowiada mentalności Białorusina, jest swój. To utalentowany demagog. Stworzył *image* „swojego chłopca”. Białorusini, jak na razie, nie potrafią odróżnić utalentowanego demagoga od polityka. Łukaszenka wszystko wszystkim obiecał: Wojsku, że Białoruś będzie państwem atomowym, nauczycielom – podwyższy pensje, kołchoźnikom – że utrzyma kołchozy. Wszystkim coś obiecał. Faktycznie jest to chory człowiek, po prostu paranoik.

M.J.: – *A Rosja jednak go nie chce?*

A.K.: – Rosji w pewnym stopniu wygodnie mieć takiego Łukaszenkę – hamując jednak jego ambicje. On nie kieruje się racjonalnymi przesłankami, lecz działa instynktownie. To klasyczny człowiek sowiecki, *homo sovieticus*. Łukaszenka z wykształcenia jest historykiem, ukończył wydział historyczny, ale nie wie, że Białoruś ma własną historię, własne dzieje, że nasza historia różni się od historii Rosji. Tak go uczyli. My teraz mówimy, że wykładowcom, którzy tak uczyli, trzeba odebrać emeryturę.

M.J.: – *Pan poprzednio mówił, że Rosja nie przyjęła propozycji Łukaszenki włączenia Białorusi do Rosji, więc co on teraz zrobi? Jakie będą jego dalsze posunięcia?*

A.K.: – Obecnie prezydent działa nie według przemyślanego planu, lecz instynktownie. Przy tym nie znosi żadnego sprzeciwu. Jego zadaniem jest panować. Władza dla władzy. Trzeba też powiedzieć, że jak na razie naród go popiera. Prezydent zdusił parlament, kazał w parlamencie pobić deputowanych. Obecnie niszczy niezależną prasę. Pan rozumie, jaką mieliśmy gazetę: *Narodnaja Hazeta* w ciągu dwóch lat podniosła nakład do 600 tysięcy egzemplarzy! W kraju o 10 mln ludności to unikalny przypadek. Ale gdy Łukaszenka zdymisjonował naczelnego redaktora *Narodnej Hazety* i wyznaczył na jego miejsce swojego człowieka, od razu nakład spadł do 250 tys. egzemplarzy. Prezydent zdusił telewizję, nie ma tam co oglądać, radio też kiepskie, opozycja nie może się

wypowiedzieć. Na razie jeszcze jest gazeta *Swaboda*, która ma pewną niezależność. Nie wiadomo jak długo będzie istnieć.

M.J.: – *Jakie są prognozy na rok następny? Czy będzie tak samo jak obecnie, czy nastąpią jakieś zmiany?*

A.K.: – Myślę, że będzie tak samo, jak obecnie. Życie się pogorszy. Zjednoczenia z Rosją nie będzie.

M.J.: – *Czy Rosja nie zechce włączenia Białorusi, czy naród białoruski nie zechce wejść w skład Rosji?*

A.K.: – Uważam, że Rosja nas nie zechce. Obecnie jest inna sytuacja polityczna Rosji i Białorusi. Ale pewne niebezpieczeństwo istnieje. Po drugiej turze wyborów do parlamentu w listopadzie 1995 r. prezydent chce ogłosić referendum w sprawie połączenia się z Rosją. To może nastąpić. Ale połączenie się z Rosją oznacza, że nasi chłopcy pojadą do Czeczenii walczyć. A tego Białorusini nie chcą. Ponadto myślący politycy Rosji również nie chcą przyłączenia Białorusi do Rosji, bo Białoruś trzeba będzie wyżywić. Ukraina np. nie chce zjednoczenia z Rosją, a dla nas to dobry przykład. A więc sytuacja w naszym kraju będzie się pogarszała. Osobiście uważam, że od 1996 roku rozpoczną się na Białorusi protesty społeczeństwa, sprzeciwy prostych ludzi, robotników, ponieważ Łukaszenka zdusił strajk pracowników mińskiego metra, a ludzie o tym pamiętają i nie wybaczą prezydentowi wystąpienia przeciwko klasie robotniczej. Niezadowolone już wzrasta nie tylko pośród pracowników metra, ponieważ większość przedsiębiorstw na Białorusi nie pracuje i nie ma żadnych perspektyw, by się coś poprawiło. Mogą nastąpić strajki żywiołowe, demonstracje uliczne. Niczego się u nas nie da przewidzieć.

M.J.: – *Czy Łukaszenka posiada zaplecze polityczne? Czy ma zaufanych zwolenników?*

A.K.: – Faktycznie on nie ma zaufanych ludzi. Osoby, które pomogły mu zdobyć władzę, to ludzie bez zasad. Wśród nich można wymienić tylko dwóch poważniejszych polityków: Budakowa, przewodniczącego Komisji Prawodawstwa, i Hanczara, który był wicepremierem i został zwolniony. Ci dwaj rozumni ludzie mają jeszcze sumienie, ale oni nauczyli go jak politykować i to oni stworzyli to monstrum. Teraz ich nie ma i Łukaszenka opiera się na starych komunistycznych urzędnikach, którzy wcześniej u boku Kiebicza walczyli przeciwko niemu. Niedawno odszedł ostatni światły człowiek, prezes Banku Narodowego, znany ekonomista Bahdankiewicz. Pozostali przy prezydencie ludzie bez twarzy, bez zasad, po prostu szarżyzna, bo Łukaszenka nie znosi ludzi mądrych.

M.J.: – *A jaka jest inteligencja białoruska? Naukowa, artystyczna?*

A.K.: – W zasadzie inteligencja białoruska jest podzielona na białoruskojęzyczną i rosyjskojęzyczną. Rosyjskojęzyczna inteligencja lęka się, by do władzy nie doszła narodowa demokracja, bo zacznie się białorutenizacja narodu. Moim zdaniem, jak Łukaszenka upadnie, a upadnie na pewno, do władzy dojdą właśnie rosyjskojęzyczni demokraci.

M.J.: – *A białoruskojęzyczni – nie?*

A.K.: – Wydaje się, że białoruskojęzyczni wezmą udział w kierowaniu państwem, ale większego znaczenia nie będą mieli. My z tym już pogodziliśmy się, ponieważ rosyjskojęzyczni demokraci optują za niezawisłością Białorusi. Nie chcą zjednoczenia z Rosją. My, Białorusini, będziemy mieli wolność i więcej możliwości do pracy narodowej. Będziemy rozwijać szkoły białoruskie, krzewić, rozpowszechniać naszą narodową kulturę.

M.J.: – *Jakie jest Pana zdanie o mniejszości polskiej na Białorusi? Mówi się, że Polaków jest tu około 600 tysięcy. Czy Pan się z tym zgadza?*

A.K.: – O ile znam historię, to większość obecnych Polaków białoruskich – to spolonizowani Białorusini. Historia nie zna masowych przesiedleń Polaków na Białoruś.

M.J.: – *Jaka jest świadomość tych ludzi?*

A.K.: – Uważam, że z punktu widzenia historycznego, jak kiedyś Polacy wpajali w nich świadomość polską, to my obecnie mamy prawo wpajać w nich świadomość białoruską. Ale chcemy to robić spokojnie. Prawa Polaków na Białorusi muszą być powiązane z prawami Białorusinów w Polsce. Kiedy Polacy zażądają na Grodzieńszczyźnie polskich szkół, to i na Białostocczyźnie powinny powstać szkoły białoruskie. W Polsce, jak na razie, tylko język i literaturę wykłada się po białorusku, pozostałe przedmioty – po polsku.

M.J.: – *Brakuje nauczycieli.*

A.K.: – To inny problem. Uważam, że Polacy nie mają prawa żądać polskich szkół, dopóki nie będzie również szkół białoruskich w Polsce. Ludność białoruska na Białostocczyźnie nie jest autochtoniczna, nie napływowa, a więc ma prawo do nauki w języku ojczystym.

M.J.: – *Ale czy, Pana zdaniem, są jednak na Białorusi Polacy?*

A.K.: – Oczywiście, że są, ale Polacy na Białorusi powinni być lojalni wobec Państwa, ponieważ są obywatelami tego kraju. Nigdy nie wystąpię przeciwko Polakowi, który nie będzie działał przeciwko mojemu krajowi. Jeżeli natomiast ktoś zechce przyłączyć Grodzieńszczyznę do Polski, ja będę przeciwko takiej osobie. Każdy człowiek ma prawo do rozwoju własnej kultury, dlatego państwo białoruskie powinno pomagać miejscowym Polakom. Ale, powtarzam, prawa Polaków białoruskich powinny być parytetowe.

M.J.: – *Mam jeszcze następujące pytanie: jak inteligencja białoruska postrzega współczesną Polskę?*

A.K.: – Rozmawiamy szczerze, prawda? Dla mnie było prawdziwym odkryciem, gdy po raz pierwszy w 1992 roku pojechałem do Lublina na sympozjum folklorystyczne. Przedtem trzy lata mieszkałem w Moskwie. Więc szedłem ulicami Lublina i po prostu nie mogłem zrozumieć, nie układało mi się to w głowie dlaczego ludzie w tym Lublinie, ich zachowanie, maniery, wygląd – wszystko takie podobne do nas, a zupełnie są to inni ludzie niż w Moskwie. Ludzie w Lublinie byli mi po prostu bliscy, natomiast ci w Moskwie – obcy. To znaczy wyczułem psychologicznie, że historycznie Polacy są mi bliżsi niż Rosjanie. Historycznie niejako wyczułem tę bliskość i jedność, chociaż łatwiej mi jest utrzymywać kontakty z Polakiem z Krakowa, z Polakiem, którego nie interesują problemy Kresów, ponieważ taki Polak uważa mnie za równego sobie. Ale kiedy nasz miejscowy Polak w rozmowie wykazuje wyższość...

M.J.: – *A bywa tak?*

A.K. – Bywa. Kiedy nasz białoruski Polak uważa mnie za człowieka drugiego gatunku, to jasne, że nie będę go lubił. To zrozumiałe.

M.J.: – *Mnie interesuje, jak wy, Białorusini, widzicie obecną Polskę. My uważamy, że Polska jest demokratyczna, a jakie jest Pańskie zdanie?*

A.K.: – Obecna Polska jest nam bliższa, chociaż widzimy ją tak: z jednej strony demokratyczna Polska jest nam bliska, otrzymujemy z Polski dużą pomoc. Wiele ludzi jeździ do Polski, widzi, że tam lepiej się żyje. Z drugiej strony jednak u części inteligencji białoruskiej można zauważyć brak zaufania do Polski.

M.J.: – *Dlaczego?*

A.K.: – Oto przykłady: była obietnica Piłsudskiego – za waszą i naszą wolność. Ale my wolności nie uzyskaliśmy. Mój ojciec pamięta jak jego, Białorusina i prawosławnego, w szkole uczyli: „Kto ty jesteś – Polak mały! – Jaki znak twój? – Orzeł Biały!... Jako historyk wiem, że zamykano białoruskie gimnazjum, niszczone białoruskie szkoły. Widzi pan, nie mamy zaufania, nie wierzymy, że coś się zmieniło. Ale uważamy, że niebezpieczeństwo ze strony Polski jest o wiele mniejsze niż z Rosji. Z inteligencją polską nie mamy żadnych problemów i – dzięki Bogu! Polska inteligencja rozumie co to jest demokratyczna Białoruś, rozumie, że demokratyczna Polska powinna żyć dobrze z Białorusią.

M.J.: – *Proszę powiedzieć jak Pan ocenia działalność biskupa grodzieńskiego?*

A.K.: – Nie znam go osobiście, ale słyszałem od kolegów, że jest człowiekiem rozsądnym. Natomiast nie mamy zaufania do kardynała Kazimierza Świątki. Kiedy jeszcze mieszkał w Pińsku, dał się poznać jako nieprzejednany patriota polski.

M.J.: – *Ale przecież on jest kardynałem! To pierwszy kardynał Białorusi!*

A.K.: – Przykro mi to mówić, ale my, Białorusini, niezbyt ufamy Kościołowi katolickiemu. Uważamy, iż księża katolicycy w większości są agitatorami za polskością Białorusi.

M.J.: – *Czy oni nie odprawiają nabożeństw w języku białoruskim?*

A.K.: – W odróżnieniu od prawosławnych duchownych, księża katolicycy mówią dobrze po białorusku, niektórzy nawet msze odprawiają po białorusku, ale po cichu prowadzą agitację polską. Ja pochodzę z rodziny prawosławnej, ale moja matka była komunistką i nie ochrzciła mnie. Dopiero przed czterema laty ochrzciłem się w kościele unickim. Ja nie mogę

chodzić do kościoła rzymsko-katolickiego, bo tam zmuszają mnie, abym rozmawiał z Bogiem po polsku, natomiast w cerkwi prawosławnej musiałbym mówić po rosyjsku. A to mi również nie odpowiada. Mnie ochrzcił unicki ksiądz Jan Matusiewicz. Uważam, że na Białorusi powinien odrodzić się Kościół unicki. W Mińsku istnieją już dwie parafie unickie, w Grodnie mamy około 50 unitów. Ale władze nie zwracają nam świątyń unickich. Niektóre nasze świątynie zamieniono na kościoły katolickie, inne przerobiono na cerkwie prawosławne. Jest to bardzo bolesne zjawisko: Białoruś nie ma swojego narodowego Kościoła. Do nas przyjeżdżają misjonarze głównie z Polski. Powinniśmy przyjmować misjonarzy, ale nie z Polski, tylko z Czech lub ze Słowacji, Czesi są neutralni, oni nie mają pretensji terytorialnych, a Polacy mają. Przykro mi to mówić, ale Białorusini nie ufają Kościołowi katolickiemu, zwłaszcza księżom-Polakom.

M.J.: – *Czy przyjeżdżają na Białoruś zakonnicy?*

A.K.: – Owszem. Wiele różnych zakonników przyjechało do nas z Polski. Głównie przyjeżdżają zakonnice, np. w Nowogródku założyły klasztor nazaretanki.

M.J.: – *Czy są na Białorusi bazylianie?*

A.K.: – Na razie nie ma. Podobno mają przyjechać z Ukrainy, ze Lwowa. W Wilnie już są, ale do nas jeszcze nie dotarli. Chcę powiedzieć, że wiele zakonnic przyjeżdża na Białoruś i są one tolerancyjne, starają się mówić po białorusku.

M.J.: – *Co powinni Polacy zrobić, żeby obraz Polaka na Białorusi był lepszy?*

A.K.: – Wydaje się, iż inteligencja polska wiele robi, by zjednać Białorusinów. Mówię to z własnego doświadczenia, a różne polskie fundacje naukowe zapraszają na staże białoruskich naukowców. To wielka sprawa. Do inteligencji polskiej

mamy zaufanie, natomiast pewne osoby o niższym wykształceniu po obu stronach granicy tworzą często nieprzychylną opinię o Białorusinach. Niekiedy występuje pycha u ludzi, którzy są ograniczeni, jest ich niewielu, ale psują obraz Polaka. Z inteligencją polską mamy bardzo dobre kontakty. Polacy wiele robią dobrego, ale powinni być bardziej sensowni, np. nie powinni pisać „nasze miasto Grodno”, „polskie miasta na Kresach”, „Białoruś rozwijała się pod wpływem polskiej kultury”. Kiedy Polacy piszą, że Grodno jest polskim miastem, to nam przykro się robi. Np. spotkałem polskich turystów w Nieświeżu, którzy wprost mi mówią, że Nieśwież to polskie miasto, że są tu Polacy! A mnie, Białorusina, oni nie widzą, nawet nie zauważają. To są na pewno drobiazgi, ale są one przykre. Polacy powinni nauczyć się szanować Białorusinów, uważać ich za równych sobie.

M.J.: – *Więc uważa Pan, że Polska i Białoruś mogą być dobrymi sąsiadami?*

A.K.: – Jak najbardziej. Oczywiście, że mogą i powinny żyć w zgodzie.

M.J.: – *Ale na jakich warunkach?*

A.K.: – Musi być równouprawnienie.

M.J.: – *Ale przecież demokracji u was teraz nie ma!*

A.K.: – Nie ma.

M.J.: – *Przecież stosunki normalne mogą zaistnieć tylko między państwami demokratycznymi?*

A.K.: – Tak, normalne stosunki między Białorusią i Polską będą mogły istnieć wówczas, kiedy na Białorusi do władzy dojdą demokraci. Ja w ogóle uważam, że granica powinna być

przed Smoleńskiem, natomiast z Polską granica powinna być otwarta. Kiedy granica z Polską zostanie otwarta, dobrobyt powróci do nas. Natomiast trzeba robić granicę z Rosją.

M.J.: – *Proszę powiedzieć, gdzie, zdaniem Pana, jest prawdziwa Białoruś? Na wschodzie czy an zachodzie?*

A.K.: – Prawdziwa Białoruś jest jednak w zachodniej części kraju. Gdyby porównać zachodnią część ze wschodnią – to na zachodzie Białorusi zachowały się tradycje białoruskie, natomiast wschodnia część jest całkowicie zrusyfikowana.

M.J.: – *Więc Białoruś to zachód?*

A.K.: – Białoruś istnieje w zachodniej części kraju. Jeszcze przed połączeniem się Białorusi w 1939 roku, komuniści rozstrzelali całą inteligencję – ponad 100 tysięcy osób. To była akcja, która Białoruś zniszczyła. Kiedy zaczynałem świadomie zajmować się odrodzeniem białoruskim i rozmawiać po białorusku, nie wierzyłem, że wytrwamy, że wyżyjemy. Było to w końcu lat 70-tych. Wtedy jeszcze nie wierzyłem, że Białoruś pozostanie na historycznej mapie świata. Uważałem, że nasza praca nie da owoców, a jednak pracowałem na rzecz odrodzenia narodu i państwa. Ale jestem prawie przekonany, że Białoruś zniknie jako etnos. Dlaczego? Ponieważ zniszczono fundament narodu – chłopstwo. Dlaczego Białoruś nie zginęła podczas 200 lat rusyfikacji i polonizacji? Nie zginęła dlatego, że przez cały ten czas istniała konserwatywna masa chłopska, która zachowała kulturę narodową, tradycje, język, folklor i obyczaje. Białoruska wioska wydała takich ludzi jak Janka Kupałę, Franciszka Bahuszewicza, Jakuba Kołasa. W latach 20-tych pojawiła się nowa inteligencja, która również pochodziła z warstw ludowych. Stalin tę inteligencję wymordował. Po wojnie wieś wydała nową falę inteligencji świadomej. Byli to Uładzimir Karatkievicz, Ryhor Baradulin, inni patrioci. Moje pokolenie, mam 36 lat, to ostatnia fala świadomej inteligencji białoruskiej chłopskiego pochodzenia. A kiedy powstanie demokratyczne

białoruskie państwo, wsi już nie będzie, zginie więc i naród. Jeśli nam się nie uda utrzymać państwowości, Białoruś przestanie istnieć jako państwo etniczne.

M.J.: – *A ilu jest takich świadomych Białorusinów?*

A.K.: – Myślę, że świadomych Białorusinów na 10 mln ludności jest jakieś 5 tysięcy osób. U nas białoruskość traktuje się jak ubranie robocze, jak zarękawki u księgowego, tj. człowiek przychodzi do pracy, wkłada fartuch lub zarękawki, więc i taki niby Białorusin w pracy mówi po białorusku, jeśli ktoś tego żąda od niego, po pracy wychodzi i zapomina o tym języku. W domu, w sklepie, na ulicy rozmawia po rosyjsku. Niewielu znam Białorusinów, którzy w domu z żoną, z dziećmi rozmawiają po białorusku. Takich jest mało. Nawet niektórzy studenci filologii białoruskiej w referendum głosowali za językiem rosyjskim. Jest to paradoks. Dlatego tylko niezależne państwo białoruskie może dać szansę na odrodzenie białoruskości. Boję się, że nawet to, co odrodzimy, nie będzie już czystą Białorusią. W państwie tym będą już zupełnie inni ludzie. Ja przeżywam osobistą tragedię, gdy na moich oczach język nasz umiera, kultura narodowa ginie. Dawniej na wsi istniał kodeks moralny, który obowiązywał wszystkich. Dziś nie ma żadnej moralności. Wieś uciekła do miasta, gdzie zapewne powstanie nowy kodeks moralny. Więc jeśli odrodzi się nasze państwo, to będzie coś nowego, powstanie zapewne inny naród.

M.J.: – *Dziękuję Panu za ciekawą rozmowę.*

Rozmawiał Mieczysław JACKIEWICZ

P.S.

Na Białorusi, zwłaszcza na Grodzieńszczyźnie, pracuje wielu księży z Polski. Niektórzy już dobrze mówią po białorusku, zaadoptowali się w nowym środowisku, w parafiach pracują legalnie, są zameldowani. Jednakże, jak donosi prasa

białoruska, niektórzy księża-Polacy pracują w parafiach bez zameldowania i bez zezwolenia władz miejscowych. Właśnie ostatnio, tj. w końcu października, na początku listopada wiele pisano, nawet żądano deportowania księży, którzy nie posiadają oficjalnych zezwoleń na pobyt w Republice Białoruskiej. Jednakże natychmiast zareagował kardynał Kazimierz Świątek. Jego interwencja u władz białoruskich odniosła pożądny skutek. Jak wiadomo z prasy, a także z informacji korespondencyjnych – ani jeden ksiądz katolicki-Polak nie został wydany z Białorusi. Dr Aleś Kraucewicz twierdzi natomiast, iż księża katolicy z Polski nie są lojalni wobec państwa białoruskiego, bardzo często po cichu prowadzą pracę polonizacyjną pośród Białorusinów-katolików. Dr A. Kraucewicz uważa, iż lepsi byłiby misjonarze z Czech lub ze Słowacji, ponieważ byłiby oni bardziej bezstronni. Kraucewicz jest zdania, że na Białorusi będą stale problemy z księżmi katolickimi pochodzącymi z Polski. Oni bowiem nie pozostaną neutralni wobec polskości na Białorusi, tj. będą nadal polskość tam krzewić, a stąd dalej na pewno będą jakieś głosy niezadowolenia pośród Białorusinów, nawet katolików i unitów. Kraucewicz, twierdzi, że cerkiew prawosławna z kolei ruseyfikuje Białorusinów i, jego zdaniem, najbardziej „białoruską” religią jest i może być właśnie religia grecko-katolicka, unicka.

Grodno, dnia 14 października 1995 r.

Mieczysław JACKIEWICZ

Kraj

Nowe rozdanie

W Warszawie gorączka wyborcza opada dość szybko. Nawet ci, którzy dodając ducha zwolennikom udawali, że wierzą, by Sąd Najwyższy mógł jeszcze unieważnić wybory, przyjęli nieuniknione orzeczenie z rezygnacją. (Włósa sam takiej wiary wcale zresztą nie udawał). Przyszedł więc czas, by policzyć kasę i ocenić przyszłość. Wszyscy to teraz robią.

Bezpośrednim skutkiem wygranej Kwaśniewskiego są przesunięcia w poparciu opinii dla poszczególnych formacji, na ogół znamienne, czasem drastyczne. Badanie OBOP, z tygodnia po wyborczej niedzieli, 19 listopada, ukazywało, w porównaniu z sondażem sprzed miesiąca, znaczący awans SLD, z 24% do 30% wskazań, i pogłębianie się politycznej katastrofy PSL, które w kolejnym spadku zeszło z 8% do 5%. Klęska zawisła także nad Unią Pracy – z 5% do 3%. Utrzymała swoje pozycje Unia Wolności (10% zamiast 9% w październiku), KPN (4%, bez zmian), BBWR (5% zamiast 6%). Wchodzi na scenę Ruch Odbudowy Polski, ROP Jana Olszewskiego, przedtem nieobecny, od razu z 8%, z czego część najpewniej utraciły: NSZZ Solidarność (9% zamiast 12% w październiku) oraz stado tzw. prawicy pozaparlamentarnej – kilkanaście partyjek z 9% razem (zamiast 11%). Sondaż ten wywołał wiele komentarzy i sprowokował nawet paru poważnych autorów do układania projekcji, jakby wyglądał Sejm, gdyby natychmiast rozpisac wybory. Zachęcał do tych ćwiczeń fakt, że ordynacja wyborcza bardzo amplifikuje skutki takich właśnie przesunięć, jak odnotowane w listopadzie – dużo wahań wokół progu 5%, degrengolada drugiej wielkiej partii (PSL). W rezultacie, SLD zdobywało w

tych projekcjach 260 mandatów (na 460), o ile by prawica nie zdołała pospieszyć odwrócić przeznaczeń formując się we „wielki blok wokół Wałęsy”. Ale takie pospieszne wnioski z jednokrotnej fotografii elektoratu jest niepotrzebnym dramatyzowaniem sytuacji. W rzeczywistości, przesunięcia odnotowane przez OBOP bezpośrednio po wyborach są tylko odbłaskiem, jaki sukcesy i porażki prezydenckich kandydatów rzuciły na wizerunki związanych z nimi formacji politycznych. Takie efekty są zazwyczaj krótkotrwałe. Nowy prezydent i jego formacja dobrze to pojmują: nawet najbardziej pewni swego posłowie SLD starannie unikają wszelkich spekulacji na temat przedterminowych wyborów parlamentarnych. I to nie powinno dziwić. Wśród nauk, jakie postkomuniści w Polsce wyciągnęli z zagłady realnego socjalizmu jest również, a może przede wszystkim, odmienne widzenie władzy. U komunistów, aby wspomnieć tu tylko o najprostszej różnicy, władzy w zasadzie nie można było utracić, ale jeśli się coś takiego zdarzało, to już na pewno nie można jej było odzyskać: władzę jako ekspresję „hegemonu” dziejowej epoki wyłaniał nieodwracalny bieg historii, gdy jednak mimo wszystko władza padała, znaczyło to tylko, iż ekspresja była pomyłkowa. Odpowiednia errata skreślała upadłą władzę raz na zawsze. Działacze i przywódcy SLD uczą się – chyba szybciej niż inni – że teraz władzę można tracić i można odzyskiwać: właśnie przeszli przez to doświadczenie. Najbystrzejsi wiedzą już, że najważniejsze nie jest tak rządzić, by władzy nie stracić – bo w demokracji władzę zawsze się w końcu traci – ale tak, by ją za następnym obrotem móc odzyskać. Innymi słowy, trzeba właściwie gospodarować rezerwami i bazą wyborczą, trzeba mieć i umieć chronić korzenie: o tym, że politycy w demokracji nigdy nie dotrzymują obietnic przedwyborczych, wie każdy idiota, ale tylko prawdziwy polityk rozumie, że nie wolno łamać wszystkich obietnic i że nie trzeba liczyć na krótką pamięć wyborców, bo zawsze znajdzie się konkurent, który im przypomni, co trzeba.

SLD jako dominująca partia rządzącej koalicji, partia prezydencka (choć formalnie Kwaśniewski wystąpił z SLD) ma przed sobą bardzo trudne zadania.

W polityce międzynarodowej za kadencji Kwaśniew-

skiego zapadną decyzje o przyjęciu (bądź nieprzyjęciu) Polski do NATO i Unii Europejskiej, wyklaruje się również, jakimi partnerami będą dla nas Rosja i Ukraina. W polityce wewnętrznej już w ciągu pierwszych dwóch lat tej kadencji, a więc za obecnego parlamentu, rozstrzygać się będzie o przyszłym kształcie systemów społecznych (emerytur i rent, służby zdrowia, opieki społecznej) o bezpłatności lub odpłatności oświaty, o podziale administracyjnym kraju i zasięgu samorządności oraz o zapowiadanej reformie centrum. A na początek mamy też sprawę konstytucji (z referendum zatwierdzającym i może również wstępnym, dyrektywnym) oraz związaną z nią kwestią konkordatu, nieustannie aktualną liberalizacją ustawy o ochronie dziecka poczętego (z poduszczenia szatana i Łabudy nazywanego płodem). Na każdej z tych spraw można sobie wyłamać kilka zębów, a może nawet całą szczękę.

Aleksander Kwaśniewski nie wyszedł z urny nietknięty. „Krętać” było najłagodniejszym z określeń przyszłego prezydenta. Łatwość i spontaniczność, z jaką Kwaśniewski ucieka się do kłamstwa, ukazuje pewien infantylizm u tego wytrawnego polityka: chłopczyk, który wyjadł konfitury... Ale jego przeciwnicy polityczni nie powinni sobie robić złudzeń. Ani akcje Polisy SA w żoninym portfelu, ani nie zakończone studia nie są to w oczach znakomitej większości Polaków istotne mankamenty, a kłamstwa kandydata wydają się właściwie kłamstewkami. Już w toku całej afery (24-29. XI) CBOS pytał, czy Kwaśniewski będzie dobrym prezydentem: 55% odpowiadało „tak”, a tylko 13% „nie” (32% nie miało zdania). Najprawdopodobniej fakt, że Kwaśniewski jest młody (wręcz odmłodzony), że robił kampanię na luzie, nie sadił się na dostojeństwo i nie moralizował – ułatwił opinii strawienie całej afery. Może tylko Pałac Prezydencki przy Krakowskim Przedmieściu (d. Namiesznikowski) będzie od-tąd nazywany... magistratem. Ale tak czy inaczej nowy prezydent rozpocznie swą kadencję ostrożnie i koncyliacyjnie. Ma jednak do zatarcia kiepskie wrażenie i, co istotniejsze, nie zechce się wmanewrować w pozycję głównego odpowiedzialnego za rządy, która zawsze kusiła Wałęsę. Jego wpływ na inne organa władzy będzie realizowany odmiennie niż wpływ Wałęsy, który nieustannie wyszarpywał dla siebie więcej

prerogatyw formalnych. Kwaśniewski nie będzie tego robił: inaczej niż Wałęsa ma swoją formację polityczną, swoją partię, z której wprawdzie wystąpił, ale wobec której na pewno zachowa rolę arbitra. Pierwszą istotną próbą jego możliwości w tym względzie będą rozstrzygnięcia kadrowe, choć formalnie obsadę ministerstw dobiera odtąd premier, a prezydent tylko wyraża zgodę.

18 lutego odbyć się ma referendum w sprawie „powszechnego uwłaszczenia” wymyślone przez Wałęsę. SLD (wraz z Unią Wolności) nie dopuścił do rozszerzenia zasięgu referendum, jak to proponowała Unia Pracy, na kwestie konstytucyjne: rządząca partia nie ma najmniejszej ochoty wiązać sobie rąk opinią społeczną oraz boi się, podobnie jak Unia Wolności, pytań bardzo kontrowersyjnych, jak o liberalizację aborcji. SLD boi się przede wszystkim dlatego, że nie chce ułatwić mobilizacji przeciwników, ale również dlatego, że oczekuje teraz nowej rundy pertraktacji z Kościołem, a lęka się nieustępliwości własnego elektoratu – zaś Unia Wolności unika wszystkiego, co mogłoby ją jeszcze bardziej rozchwierutać. Ostateczny kształt pytań w referendum będzie najpewniej najzupełniej zniechęcający: niewielu pójdzie do urny, a ci, którzy pójdą, nie będą się nawet mieli o co sprzeczować. Ale dzięki temu referendum niczego do polityki polskiej nie wniesie. I o to SLD zdaje się teraz chodzić.

„Symboliczna polaryzacja”, który to termin pojawia się często w analizach powyborczych, wprowadza w błąd, ponieważ jest to polaryzacja bardzo nietrwała lub, ściślej mówiąc, bardzo nie dokończona. Zatrze się nieuchronnie jeśli nie zostanie pogłębiona politycznie i umocniona organizacyjnie. Rządząca koalicja nie ma w tym żadnego interesu, choć z różnych względów. Dla SLD stan aktualny polaryzacji symbolicznej (tj. wokół symboli), ale płytkiej jest w istocie dogodny: jest to przecież polaryzacja, która drugiej stronie przyniosła klęskę i to klęskę zawinioną, bo SLD tej polaryzacji nie chciało. Groźna dla SLD mogłaby się stać owa polaryzacja dopiero, gdyby się zanośli na skuteczny odwet, a więc pogłębiona i umocniona. Dla PSL natomiast wszelka taka polaryzacja jest po prostu zgubna, ponieważ chłopska partia nie może się w niej w ogóle odnaleźć, PSL-owi

pozostaje liczyć, że „symboliczna polaryzacja” się po prostu zatrze; w każdym razie nie wolno jej umacniać.

Inaczej rzeczy się mają z punktu widzenia prawicy. W pewnym momencie termin ten odnosił się do wszystkich głosujących 19 listopada na Wałęsę, co oczywiście było nadużyciem, ale co pokazuje dlaczego autentyczna prawica tak sobie „symboliczną polaryzację” ceni. Czy jednak potrafi ją politycznie pogłębić i organizacyjnie umocnić? Mogę tylko wyrazić, bez dowodów, opinię negatywną.

Lech Wałęsa, który obecnie zakłada swą Fundację i Instytut, nie ma, jak się zdaje, żadnego konkretnego pomysłu na dalszy udział w życiu politycznym poza... „staniem na czele”. Ale gdzie jest to czoło? Może w NSZZ „Solidarność”, gdzie Marian Krzaklewski deklaruje gotowość odstąpienia fotela, którego Wałęsa nie może zająć, bo jakżeż to: ze związku do pałacu prezydenckiego, a teraz z pałacu do związku? Może więc we własnej partii? Ale jak się zaczynają przymiarki, to od razu widać, że w tej nowej partii wszyscy może by się dogadali z Wałęsą, ale nie między sobą. Niekoniecznie jednak trzeba zaraz partii, by wystawić wspólne listy. To prawda, pod warunkiem, oczywiście, że się uzgodni, kto wchodzi na miejsca mandatowe. Nawet jeśli to jest do zrobienia – wybory mają być we wrześniu 1997. Do tego czasu zatem Wałęsa musiałby czekać z odegraniem swojej roli. W istocie paradoksem jego „stania na czele” jest konieczność zupełnej nieruchomości: symbole są, stoją lub wiszą. I tyle im wolno.

Tymczasem jednak na prawicy będzie się dokonywać przebudowa. ROP Olszewskiego przyciąga rozproszone partyjki skrajnej prawicy i może też przyciągnąć trochę komisji zakładowych, a nawet parę regionów „S”, zwłaszcza jeśli zwolennicy Wałęsy w związku przystąpią do czyszczenia szeregów (Wrzodak ma być podobno usunięty z Komisji Krajowej); Marian Jurczyk ze Szczecina już do nich doszłusował. Balcerowicz w Unii Wolności pragnie odtworzyć koalicję, której w 1992 przewodziła Suchocka. Aby jednak nie utracić z miejsca „ROADowskiego” skrzydła, zaczął od pokarania Jana Rokity, który Suchocką był wynalazł: Rokita wyleciał z kierownictwa UW za podgryzanie kandydatury Kuronia, w zamian za to zapowiadane są rozmowy z Hallem,

Religą („Republikanie”), Olechowskim i Bieleckim Czesławem („Ruch Stu”). I z ZChN. Im więcej sił uda się zgromadzić Olszewskiemu i Balcerowiczowi, tym bardziej będzie oczywiste, że nie ma żadnego obozu, w którym Lech Wałęsa mógłby stać na czele – ani w ogóle żadnych wspólnych symboli. Wałęsie pozostanie Instytut, w którym Jerzy Gwizdzi z BBWR (Sławoj Wałęsy) będzie konkurował z Moczulskim z KPN.

Odrębne role i przyszłość przypadają w tej łamigłówce Polskiemu Stronnictwu Ludowemu oraz Unii Pracy. Obie partie padły ofiarą owej symbolicznej polaryzacji, która nie pozostawiała dla nich miejsca. Teraz muszą odszukać swą tożsamość. Ich wspólnym problemem jest brak wyraźnej wizji własnego miejsca w Polsce, którą zarysowują dziś tzw. reformatorzy, przy czym w przypadku PSL miejsca tego nie widać również dla jego elektoratu, natomiast w przypadku Unii Pracy nieumiejscowienie dotyczy całokształtu konstrukcji społecznej. Unia Pracy nie może się po prostu pogodzić z budową społeczeństwa rażących nierówności. Zachowanie obu partii w kampanii prezydenckiej ukazało ich bezradność. W momencie kiedy to piszę Rada Naczelna PSL usiłuje uporać się z Waldemarem Pawlakiem. W Unii Pracy stawka była niższa, Wojciecha Lamentowicza usunięto bez nadmiernych kosztów. Ale po zabiegach personalnych pytania pozostają otwarte.

Czy PSL istotnie ma program uratowania wsi, tj. jej zmodernizowania i zachowania zarazem, jak twierdzi główny antagonistą Pawlaka, wicepremier Jagieliński? Czy Unia Pracy potrafi przebić się przez bariery, którymi odcina ją od jej naturalnej bazy społecznej konkurencja SLD z jednej, a NSZZ „S” z parafią z drugiej strony – a także przekonać i tę bazę, że owe „rażące nierówności” nie są nieuchronne?

Pytania można sformułować zwięźle, ale odpowiedzi rozłożą się na lata.

Warszawa, 16 grudnia 1995

Krzysztof WOLICKI

Biurokracja III Rzeczypospolitej

(NOWEMU PREZYDENTOWI POD ROZWAGĘ)

Nasze państwo jest chore. Nie posiada długo oczekiwanej Konstytucji – podstawy ładu prawnego, nie posiada kultury prawnej, tj. gotowości władz i obywateli do przestrzegania prawa.

W Polsce prawo łamią wszyscy, nawet to chaotyczne prawo, będące niespójnym zlepkiem norm epoki realnego socjalizmu z normami ostatniego pięciolecia, usiłującymi torować drogę gospodarce towarowej i swobodom obywatelskim.

Kancelaria Prezydenta, wbrew obowiązującym kodeksom postępowania administracyjnego, nie odpowiada na tysiące listów obywateli i stowarzyszeń społecznych.

Jednym z czynników ułatwiających powstawanie chaosu prawnego obok instrumentalnego stosunku do prawa naszych obywateli, których historia, poza krótkimi epizodami pruskiej władzy zaborczej, nie uczyła szacunku dla prawa – jest nasza „święta”, „nietykalna” biurokracja, która zdominowała wszystkie dziedziny życia publicznego i jak rak niszczy żywą tkankę życia społecznego. Zapraszam do lektury *Małego Rocznika Statystycznego GUS 1995 r.* i do porównania jego danych z *Małym Rocznikiem Statystycznym GUS 1939 r.* oraz *Rocznikiem Politycznym i Gospodarczym 1939.*

Motorem rozwoju naszej biurokracji bez względu na jej sztandar partyjny czy orientacje polityczne jest klasa zawodowych polityków – scheda po czasach PRL. To oni, nie mogąc się sprawdzić w twórczej samodzielnej pracy naukowej czy gospodarczej, jak pijawki przyczepili się do budżetu państwa i budżetów samorządowych i krzyczą „mało”, zapominając całkowicie o bliźnich.

Przed wojną w kancelarii Prezydenta, któremu Konstytucja Kwietniowa nadawała bardzo szerokie uprawnienia, a

tym samym obowiązki, pracowało nie więcej niż 40 osób. W 1993 było ich w kancelarii Prezydenta 292, a w 1994 – 474.

Jedną z najbardziej zbiurokratyzowanych instytucji III Rzeczypospolitej jest Kancelaria Sejmu. Przed wojną nie było w niej zatrudnionych więcej niż 30 pracowników, w 1993 było ich 1.300, a w 1994 – 1.554, przy przeciętnym miesięcznym wynagrodzeniu brutto 984,19 zł. Przy takiej Kancelarii Sejm może funkcjonować bez społeczeństwa. Wytwarza ona dla własnego getta taką masę przepisów, okólników, interpretacji, że społeczeństwo z jego olbrzymią ilością nie rozwiązanych problemów, jest dla niej zawadą. Bardzo szybko do tych wysokich sejmowych wskaźników zatrudnienia sejmowego zbliża się kancelaria Senatu, zatrudniająca przed wojną kilkunastu pracowników, w 1993 – 293, a w 1994 – 318, z przeciętnym miesięcznym wynagrodzeniem brutto 1102,62 zł.

Podobno jesteśmy w czołówce przekształceń ustrojowych, reprivatyzacji państwowych kolosów przemysłowych. Jeżeli tak jest, to dlaczego pęcznieje państwowa biurokracja gospodarcza, która jest „zmorą” dla prywatnych właścicieli, zagranicznych inwestorów i samorządów terytorialnych i gospodarczych?

Oazą „realnego socjalizmu” nie mającego nic wspólnego z tradycją PPS jest Ministerstwo Finansów i podległy mu aparat. Przeciętne zatrudnienie za czasów Eugeniusza Kwiatkowskiego jako ministra skarbu i wicepremiera gospodarczego wynosiło 200 osób, w 1993 Ministerstwo Finansów zatrudniało 38.406 osób, a w 1994 – 44.534. Czy zamiast tego aparatu-monstrum polskie gminy samorządowe nie mogłyby przejąć zadań dzisiejszej armii Ministerstwa Finansów, partycypując w części zebranych wpływów podatkowych. Im większy regres w budownictwie, tym większe zatrudnienie w Ministerstwie Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa. Przed wojną resortu tego nie było, ale były funkcjonujące od 1934 czytelne ulgi podatkowe i system kredytów budowlanych. Dzisiaj ponad milion rodaków czeka na mieszkania, a cena jednego metra kwadratowego równa jest miesięcznemu wynagrodzeniu profesora zwyczajnego. Jest to wskaźnik inercji i głupoty naszych elit gospodarczo-budowlanych. Takiego monstrum nie spotykamy w żadnym kraju europejskim, a i w Afryce trudno znaleźć coś podobnego.

Odkryciem nowych elit państwowych było wymyślenie statutu nowego resortu w dziejach Polski – Ministerstwa Przekształceń Własnościowych. W 1994 przy zahamowanych procesach prywatyzacyjnych zatrudniało ono 443 pracowników, z przeciętnym miesięcznym wynagrodzeniem brutto 1.024,5 zł. W prywatnych i zagranicznych firmach konsultingowych, które prowadzą ten proces, przeciętne wynagrodzenie miesięczne równa się półrocznemu wynagrodzeniu profesora zwyczajnego PAN. Tam się dostać – to oznacza wygrać los na loterii.

Liczba kombatantów w III Rzeczypospolitej rośnie po 50 latach, które minęły od zakończenia drugiej wojny światowej, wprost proporcjonalnie do systemu przywilejów, którymi kolejne ekipy obdarzają kombatantów, a do tych przywilejów należą także nominacje na wyższe stopnie oficerskie. Ale rodacy, kochający urzędy, wymyślili całą skomplikowaną strukturę instytucji kombatanckich, które konsumują miliardy złotych, i które można by przekazać inwalidom wojennym. Mamy więc Ministra do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Radę do Spraw Kombatantów przy Prezydencie RP, kilkadziesiąt zwalczających się związków kombatanckich, Radę Pamięci, Instytut Pamięci Narodowej. To wszystko kosztuje miliardy złotych. Na ważnych rocznicowych spotkaniach międzynarodowych Kombatantów reprezentują kierownictwa wspomnianych instytucji. Dla bohaterów wydarzeń często brakuje miejsca przy pomniku, krzyżach i innych symbolach pamięci.

Czy zamiast tej kosztownej struktury nie wystarczyłby skromny Departament do Spraw Kombatanckich przy Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej?

Im mniej środków mamy na polską literaturę, muzykę, film i teatr, balet, prasę artystyczną, im skromniejsze są rzeczywiste osiągnięcia współczesnej kultury i sztuki polskiej, tym szybciej rośnie zatrudnienie w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Przeciętne zatrudnienie w tym resorcie wzrosło z 560 w 1993 do 887 w 1994. Przeciętne wynagrodzenie brutto w tym resorcie było na poziomie profesorskim. Zapytuję ministra Dejmka – jaki procent środków budżetowych przeznaczonych na kulturę i sztukę „przejada” samo ministerstwo? Przed wojną tego resortu nie było. Zastępował go

skromny wydział prowadzony przez kilka osób w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Osiągnięcia polskiej literatury, muzyki, teatru, sztuk plastycznych były wówczas znaczące w Europie.

Oto kilka pytań pod adresem naszych elit:

1. dlaczego w epoce repriwatyzacji i prywatyzacji oraz dynamicznego rozwoju sektora prywatnego zatrudnienie w Centralnym Urzędzie Planowania, którego celowość istnienia przez wielu fachowców jest kwestionowana, wzrosło z 378 w 1993 do 493 w 1994?

2. dlaczego, z tych samych względów, w analogicznym czasie w Ministerstwie Przemysłu i Handlu zatrudnienie wzrosło z 2474 do 2620, a w Ministerstwie Transportu i Gospodarki Morskiej z 362 do 675?

Biurokratyczna „radosna twórczość” rozwija się poza kontrolą społeczną, przy akceptacji postkomunistycznej koalicji, w innych resortach: rolnictwa i gospodarki żywnościowej, współpracy gospodarczej z zagranicą, ochrony środowiska, zasobów naturalnych i leśnictwa, edukacji narodowej (w którym wstrzymano pracę nad reformą szkolną). Zbiurokratyzowana jest także nasza armia. Stan osobowy Wojska Polskiego zmalał z 363,4 tys. w 1990 do 317,1 tys. w 1994, w tym mamy 89,7 tys. żołnierzy zawodowych, 141 tys. żołnierzy służby zasadniczej i aż 87,9 tys. pracowników cywilnych. Na tle średniej przeciętnej płace wyższej kadry dowódczej są uprzywilejowane. Bez premii i nagród udzielanych poza kontrolą społeczną w 1994 r. Dowódca Okręgu Wojskowego otrzymywał 2446,97 nowych złotych, dowódca dywizji 1919,75 zł, dowódca brygady 1792,42 zł, dowódca pułku 1420,46 zł.

Trzecia Rzeczpospolita jest krajem, w którym sierżant dowódca drużyny zarabia tyle co profesor zwyczajny PAN – tj. 611,70 zł. Jednocześnie w naszym wojsku pracownicy cywilni należą do pariasów. Ich przeciętne wynagrodzenie brutto wynosiło 425,90 zł.

Miarą biurokratyzacji naszej armii jest fakt podany przez *Gazetę Wyborczą* z 30.XI.1995 (nr 278), że „obecnie w polskiej armii jest 34,1 tys. stanowisk oficerów starszych od majora do pułkownika (w liczniejszych armiach np. Niemiec jest ich 26,4 tys., Francji 21,8 tys., Włoch 12,6 tys.) i tylko

14 tys. oficerów młodszych (w innych armiach zazwyczaj dwa razy tyle)”.

Dzisiaj mamy armię, która posiada ponad 460 etatów generalskich, chociaż faktyczna liczba generałów czynnych wynosi 127. Przy takiej strukturze kadry oficerskiej i wysokich pensjach generalsko-pułkownikowskich (kilkakrotnie wyższych od pensji profesorów zwyczajnych) 64,7% budżetu obronnego przeznaczone jest na płace. Pensje oficerów starszych, a szczególnie generałów, wzrosły nadmiernie w ubiegłym i bieżącym roku.

Te wskaźniki biją na alarm. Nie tędy droga do wzmocnienia obronności kraju. Czas na gruntowną reformę armii zgodnie z zasadami zdrowego rozsądku.

Mimo, że mamy w spadku po PRL rozbudowane Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Policję Państwową, Urząd Ochrony Państwa, Biuro Ochrony Rządu, Straż Graniczną, Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe MSW oraz Państwową Straż Pożarną – należymy do najmniej bezpiecznych krajów europejskich. Mafie rosyjskie, ukraińskie, włoskie i rodzime hulają bezkarnie po kraju.

W promieniu 50 km od centrum stolicy większość z 200 tys. domków rekreacyjnych jest ograbiana nieraz kilkakrotnie. Ulice polskich miast i miasteczek wieczorami i nocą budzą strach. Nigdy tego nie było poza okupacją. Jest to dla społeczeństwa szok. Dzieje się to wówczas, gdy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w 1994 było zatrudnionych 181.780 osób, w tym 146.151 funkcjonariuszy i żołnierzy zawodowych o przeciętnej płacy profesora zwyczajnego PAN.

Przykro stwierdzić pracownikowi nauki, że mimo, iż na naukę wydajemy 0,6% produktu narodowego brutto, znaczną część środków pochłania coraz bardziej zbiurokratyzowany Komitet Badań Naukowych, a i w centrach PAN nie nastąpiły istotne zmiany.

W administracji czeka nas nowy przypływ energii biurokratycznej, za który społeczeństwo zapłaci miliardami nowych złotych, mając kilka lat sparaliżowaną konfliktami kompetencyjnymi sieć gmin i dotychczasowych województw. Biurokracja nie śpi. Już stworzyła załączki powiatów rejonowych. W tej sprawie, niestety, występują solidarnie Sojusz Lewicy Demokra-

tycznej i Unia Wolności oraz mniejsze ugrupowania polityczne. Zapomniały one, że przed wojną starostowie i podległy im aparat robili wybory, powoływali Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, a później także Obóz Zjednoczenia Narodowego, ograniczając do minimum kompetencje samorządu gminnego. Przeciętni ludzie w Polsce, którzy znają cenę załatwienia sprawy w urzędach rejonowych i gminie – przy powszechnym systemie korupcyjnym w Polsce, zastanawiają się, o ile zdrożeje w Polsce powiatowej uzyskanie np. zezwolenia na budowę, nie mówiąc o innych decyzjach administracyjnych.

Warto zaznaczyć, że w czasie, gdy rosną wydatki na utrzymanie administracji państwowej, jednocześnie jeszcze bardziej dynamicznie wzrosło zatrudnienie w administracji samorządu terytorialnego z 1.083 tys. w 1993 do 1.350 tys. w 1995 r. Tutaj przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto wynosiło poziom wynagrodzenia profesora zwyczajnego, kierownika Zakładu w instytutach PAN.

Są burmistrzowie i prezydenci miast, których zarobki są wyższe od zarobków prezydenta RP. Wspomniane przywileje płacowe nie są jedyne. Urząd Rady Ministrów zaczął, pod władzą postkomunistów, restytuować dawne przywileje w dziedzinie gospodarki mieszkaniowej, zamkniętych gettowych ośrodków wczasowych itp. Przykładem jest „Łańsk” i „Kormoran” w olsztyńskim.

Gdy z grosza publicznego wynagrodzenia Przewodniczącego Komitetu Rady Radiofonii i Telewizji stanowią kilkunastokrotne wynagrodzenia profesorów (nie mówiąc już o innych zawodach). Podobne dysproporcje występują między wynagrodzeniami prezydenta Warszawy i większych miast polskich a wspomnianymi grupami społecznymi. Wszystko to dzieje się w kraju, który miał w 1994 r.

- ponad 2,7 mln bezrobotnych, z których połowa pozbawiona była zasiłków;

- w którym maleje produkcja coraz droższej rodzimej żywności a rosną odłogi;

- w którym wskaźnik przeciętnych miesięcznych wynagrodzeń realnych (1980 = 100) wynosił w 1994 72,2, po czternastu latach wyrzeczeń;

- w którym oddano w 1994 r. trzy razy mniej mieszkań niż w 1980;

- w którym wskaźnik zgonów 10,0‰ był jednym z najwyższych w Europie, a średnia długość życia Polaka o 10 lat krótsza od średniej europejskiej.

Oczywiście jesteśmy za to wszyscy odpowiedzialni. Ale odpowiedzialność elit, bez względu na legitymacje i orientacje polityczne, jest szczególnie.

Nie można leczyć chorego organizmu polskiego tylko przy pomocy administracji, która okazała się mało efektywnym instrumentem. Można go leczyć aktywnością, szanując sprawiedliwe prawo obywateli, którym się stworzy możliwości działania. Im więcej biedy i frustracji na jednym biegunie, bogactwa i władzy na drugim – tym więcej korupcji, przestępstw i bierności obywatelskiej.

Prof. dr hab. Marian Marek DROZDOWSKI

Migawki z Polski II

Odwiedziłem Polskę po raz drugi we wrześniu 1994 r. W porównaniu do mojej pierwszej wizyty z roku 1991 (*Kultura* 11/530) w Polsce zaszły poważne zmiany. Tym razem przebywałem około 5 tygodni i przeprowadziłem rozmowy z osobami przeważnie „z kół zbliżonych” do Unii Wolności. Wziąłem również udział w międzynarodowej konferencji na temat zaopatrzenia w wodę i jakości wody, która odbyła się w tym czasie w Poznaniu. Przeprowadzone dyskusje i własne obserwacje pozwoliły mi na wyrobienie pewnego – na pewno niepełnego – obrazu sytuacji w Polsce oraz na poznanie poglądów przedstawicieli inteligencji technicznej (głównie inżynierów wodnych).

●

Obserwatora z zewnątrz uderza pewien chaos kompetencyjny istniejący w najwyższych władzach politycznych. Mało przejrzyste są relacje pomiędzy władzą wykonawczą, czyli

rządem i ustawodawczą, czyli sejmem. Jeszcze mniej przejrzyste są stosunki pomiędzy rządem a prezydentem. Układ ten ani nie przypomina systemu westminsterskiego, gdzie nie ma rozdziału władzy wykonawczej od ustawodawczej ani amerykańskiego, gdzie taki rozdział istnieje. Przy braku tradycji i kultury parlamentarnej brak przejrzystości kompetencyjnej może nie wyjść Polsce na zdrowie.

Niepokojącym zjawiskiem – spowodowanym właśnie brakiem przejrzystości kompetencyjnej władz – jest upolitycznienie administracji państwowej. Podczas mojego pobytu objawiło to się niemożnością obsadzenia stanowiska komendanta policji, bo premier i prezydent nie mogli uzgodnić wspólnego kandydata. W naszym australijskim systemie neutralna politycznie komisja rekrutacyjna wybrałaby odpowiedniego kandydata i przedstawiła do zatwierdzenia premierowi.

Następny problem to wynagradzaniu posłów. Jak wyjaśnił mi Janusz Onyszkiewicz, poseł może albo uprawiać dalej swój zawód i wtedy nie otrzymuje ryczałtu poselskiego, albo zadeklarować rezygnację z uprawiania swego zawodu i wtedy ryczałt jest mu wypłacany. Ten system wynagrodzeń może łatwo prowadzić do konfliktu interesów, szczególnie w przypadku parlamentarzystów „ochotników”, ponieważ dyscyplina partyjna nie jest tak rygorystycznie przestrzegana jak w Australii i często posłowie głosują jak chcą. Ponadto w teorii parlament obraduje bez przerwy, aby nie dopuścić do rządzenia przy pomocy dekretów. Kiedy w takim razie poseł ma czas na pracę zawodową?

Po ostatnich wyborach i przejściu władzy przez koalicję post-komunistyczną reformy gospodarcze zostały wyraźnie zahamowane. Znaczących zmian wymaga rolnictwo bo, jak mi powiedział Jacek Fedorowicz, trzydzieści kilka procent ludności zatrudnionej w tym sektorze wytwarza mniej więcej siedem procent produktu narodowego. W ten sposób wszyscy podatnicy – jak to określił – pracują na utrzymanie wielkiego skansenu jakim jest polskie rolnictwo. Układ ten musi być zmieniony, ale nie może – dopóki przy władzy jest PSL, bo Pawlak robi wszystko, żeby zachować swój elektorat.

Niestety korupcja w Polsce wciąż jest znacznie wyższa niż w rozwiniętych krajach demokratycznych. Pewien przed-

siębiorca budowlany wyjaśnił mi z całkowitym spokojem, że przegrał dwa przetargi, bo wręczył kluczyki do samochodów nie tym co było trzeba. *Poor judgement*, jak byśmy powiedzieli w Australii.

Korupcja jest w dużej mierze wynikiem działalności rządu, który ciągle – mimo zmienionych warunków – usiłuje dyrygować gospodarką. Na wszystko potrzebne są zezwolenia, licencje itp. Przy niskich poborach administracji stwarza to olbrzymie pole do nadużyć. Na szczęście ostatnio wprowadzono ustawę o obowiązku otwartych przetargów, z którą wiąże się duże nadzieje na zmniejszenie korupcji. Moi rozmówcy twierdzili, że korupcja ulega powolnemu zmniejszeniu w miarę porządkowania systemu polityczno-administracyjnego. Musimy przecież pamiętać, że brak jest wciąż nowoczesnej ustawy zasadniczej. Obowiązuje wiele ustaw uchwalonych za czasów „radosnej twórczości” i co bardzo ważne, pracownicy służb publicznych są źle opłacani i zdemoralizowani czterdziestoletnim minionym okresem. Zmiany ustawodawcze i w kulturze zawodowej nie mogą nastąpić z dnia na dzień. Ale w porównaniu z moim pobylem w 1991 roku są widoczne gołym okiem.

Wydaje się, że Komitet Badań Naukowych jest instytucją działającą w miarę dobrze. Prof. Skalmierski – członek Komitetu i Przewodniczący Sekcji Mechaniki, Budownictwa i Architektury – powiedział mi, że członkowie wybierani są spośród samodzielnych pracowników naukowych. W przypadku mechaników było 200 kandydatów na 5 miejsc. Moim zdaniem dobrze się stało, że każdy członek może być wybrany co najwyżej na dwie kadencje, bowiem nie ma obaw, że powstanie funkcja „wiecznego członka”. W skład Komitetu wchodzi 12 uczonych i 7 ministrów (w tym oczywiście minister finansów).

W dużym uproszczeniu, zadaniem Komitetu jest opiniowanie i wybór tematów badawczych, ich finansowanie i nadzór nad ich wykonaniem. Drugim ważnym zadaniem Komitetu jest ocena pracy instytucji naukowych w Polsce. Przy takich zadaniach jest dla mnie niezrozumiałe, że w składzie Komitetu nie ma przedstawicieli potencjalnych użytkowników wyników badań, a więc na przykład reprezentantów Izby Przemysłowo-Handlowej. Naukowcy i ministrowie nie zawsze są w stanie wybrać najpotrzebniejsze dla gospodarki kraju tematy badawcze.

W całej Polsce tworzone są Komitety d/s Całościowego Zagospodarowania Zlewni (*Integrated Catchment Management*). Członkami komitetów (w równej proporcji) są przedstawiciele władz centralnych, lokalnych i użytkowników zasobów wodnych. Bardzo dobra inicjatywa, tylko po co w komitetach przedstawiciele władz centralnych¹? Podobno są trudności z obsadzeniem miejsc przeznaczonych dla użytkowników. Jak mi powiedział prof. Sozański z Politechniki Poznańskiej, trudno o „ludzi uczciwych i logicznie myślących”. Być może, ale bez tych ludzi będzie bardzo trudno ustalić prawidłowo zadania priorytetowe. Wydaje się, że budowa państwa obywatelskiego potrwa bardzo długo.

Spółeczeństwo zaczyna się budzić z apatii. Powiedziano mi, że władze Świętej Katarzyny przegrały wybory, bo nie chciały się zająć budową oczyszczalni ścieków. Nowy burmistrz natychmiast wystąpił do władz wojewódzkich we Wrocławiu o pomoc finansową. Myślę że ją dostanie, bo ścieki ze Świętej Katarzyny doprowadzone są powyżej ujęcia wody pitnej dla Wrocławia, a więc ma bardzo silny argument.

Dotychczasowe zmiany wyzwoliły u ludzi sporo inicjatywy. Powstają drobne przedsiębiorstwa już nie tylko handlowe, ale także wytwórcze, które dają zatrudnienie. Znajomi emeryci kupili betoniarkę, trochę narzędzi i produkują ogrodzenia betonowe pod Łodzią. Mają z tego w miarę dobre dochody. Niestety ich pracownicy wszystkie swe zarobki przepijają w dniu wypłaty.

„Nie będą nami rządzić Żydzi i jakaś” (nie muszę wyjaśniać o kogo chodzi). Tych słów użył ksiądz podczas kazania w jednym z miast wojewódzkich. Niestety, nie jest to przypadek odosobniony. Zdaje się, że słowa nienawiści wciąż padają z ambon (w Australii też). Mówili mi o tym głęboko wierzący i praktykujący katolicy.

Plac Wilsona w Warszawie. Okna mieszkania wychodzą na Kościół Św. Stanisława. W każdą sobotę wieczorem odbywają się msze transmitowane przez potężne gigantofony, które słyszeć daleko od kościoła. Wewnątrz kościoła, sporo

1. Argumenty przeciwko uczestnictwu administracji państwowej podałem w *Kulturze* nr 3/522.

ludzi, ale na zewnątrz prawie nikogo. Stwierdziłem, że nie ma żadnej potrzeby nagłaśniania mszy na zewnątrz. Czy ktoś pomyślał, że kogoś innego te decybele mogą po prostu irytować? A ktoś jeszcze inny nie może się zdrzemnąć przed pójściem do pracy na nocną zmianę?

Taksówkarz w Warszawie powiedział mi, że gdyby nie zachowanie sporej części duchowieństwa, byli komuniści nie wygraliby wyborów. Nawet jeżeli jest to ocena przesadzona sędzę, że Kościół ma poważny problem do rozwiązania: jak odzyskać sporą część społeczeństwa?

Zainteresowanie Wschodem wydaje się być połowiczne. Organizatorzy konferencji w Poznaniu starają się odnaleźć hydrologów Polaków mieszkających w byłym ZSSR, aby zaprosić ich na przyszłe konferencje. W tej konferencji wziął udział Polak pracownik jednej z politechnik na Ukrainie.

Z drugiej strony mało osób widzi swą zadowoloną przyszłość na Wschodzie. Dopóki państwa powstałe po rozpadzie byłego ZSSR nie staną się w miarę praworządne trudno liczyć na większe zainteresowanie Wschodem. Wiem, że trochę prywatnych firm próbuje współpracować ze wschodnimi sąsiadami. Firmy te starają się zabezpieczyć przed możliwymi stratami, na przykład żądając rozliczeń w twardej walucie. Niemniej, ogólnie panuje w Polsce opinia, że „tam dopiero jest korupcja”. A to nie zachęca do współpracy i do szukania zatrudnienia w krajach powstałych na terenach byłego ZSSR.

Odniosłem wrażenie, że ludzie są teraz bardziej uprzejmi niż byli w 1991 r. Jeździłem sporo autobusami i tramwajami. Rzadko widywałem stojących starszych ludzi, przy zajętych miejscach siedzących przez młodzież. W Australii jest to niestety częste. Kiedy w przejściach czy na klatce schodowej uśmiechałem się do nieznajomych, na ogół odpowiadano mi również uśmiechem. W 1991 r. po pierwszej próbie zrezygnowałem, bo mijany przechodzień spojrzał na mnie jak na wariata.

Brisbane, 3-26 grudnia, 1995 r.

Wojciech POPLAWSKI

Sprawy i troski

Czy Polacy sami też burzyli Warszawę?

Dużo problemów i pytań nasuwa się w związku z takim zarzutem i muszą one sięgnąć czasów poprzedzających II wojnę światową. A więc pytanie wstępne czy słuszne jest takie prymitywne, „sumaryczne” potępienie, powstałe jeszcze w okresie międzywojennym, urbanistycznej koncepcji przebudowy Warszawy, stworzonej przez architektów skupionych w awangardowej grupie *Preasens*? A stąd też: czy słuszne jest potępienie prac konspiracyjnej *Pracowni Architektoniczno-Urbanistycznej*, która rozwijała w okresie okupacji plany przedwojenne, związane z tą grupą?

Preasens reprezentował w Polsce postępowość, „nowoczesność”, nawet awangardę, zachodnią, ale i wschodnią; rosyjską, nawet i komunistyczną – tę z okresu jeszcze przedstalinowskiego. Awangardę okresu Majakowskiego i Malewicza, Leonidowa, Tatlina i Wesninów. Jeśli chodzi o „zachód”, to dla *Preasens* ważny był oczywiście Bauhaus i de Stijl, futurizm i kubizm, a w urbanistyce i w czystej architekturze, oczywiście CIAM¹, z Gropiusem, van Ethernem i Le Corbusierem. Czy wszystkie koncepcje CIAM-owskie, a więc i te przetłumaczone na użytek polski były błędne? Oczywiście, że nie. „Awangardowość” reprezentowana przez CIAM i *Preasens* dostała się w Polsce w ręce ludzi wybitnych i dobrej

woli, ale też – jako to zawsze bywa – miernot i karierowiczów. Na czoło międzywojennych twórców nowej urbanistyki Warszawy wysuwany jest chyba słusznie Jan Olaf Chmielewski, wpływy jego myśli odnajduje się w pracach konspiracyjnych, jak również potem, w początkowych poczynaniach BOS.

Życie, wzrost, rozwój skomplikowanego organizmu miejskiego przechodzi zawsze (historia daje przecież mnóstwo tego dowodów) przez dramatyczne momenty. Takimi momentami dla Warszawy była wojna i zniszczenia lat 1939-1944/45. Ludzie światli i dobrej woli chcieli oczywiście skorzystać z jedyne go w swoim rodzaju, choć tragicznego w swej skali, momentu, aby nie tylko odbudowywać, ale – gdzie tylko można – ulepszyć, poprawić urbanistyczny układ Warszawy. A może nawet – o zgrozo! – wnieść coś z awangardowej myśli światowej. Wtedy to pojawiły się, musiały się pojawić, dylematy. Czy dla dobra całości miejskiego systemu nie powinno się dokonać, czasem bolesnych, eliminacji elementów „uleczalnych” nawet fragmentów domów, nie w pełni zrujnowanych, murów jeszcze cudem stojących...?

Architekt-urbanista z oczami otwartymi i czuły na zabytki staje wtedy wobec ciężkich decyzji. Co ważniejsze: czy romantyczna przeszłość i zawsze subiektywna ocena czysto estetyczna, czy twarda słuszność oceny technicznej? Ocena sentymentalno-estetyczna, tak bardzo zawsze dyskusyjna – *versus* ocena techniczna, mniej nadająca się do dyskusji, ale też czasem, po prostu obiektywnie błędna.

W polskich, w warszawskich warunkach, te dylematy nabrały specjalnego charakteru. Do decyzji dodany został element lojalności partyjnej, a nawet partyjnego strachu. Lojalność partyjna narażona była w Polsce (i całym imperium sowieckim) na specjalnie ciężkie próby. Na początku „bohaterskie nowatorstwo, międzynarodowy modernizm, awangarda”. W parę lat później... królestwo sloganu: „sztuka – a więc i architektura – mają być socjalistyczne w treści, narodowe w formie!”. Dwa krańcowe przeciwieństwa. W architekturze to zadanie objawiło się drastycznie – „ozdób-

1. CIAM – Congrès Internationaux d'Architecture Moderne. Międzynarodowe Kongresy Architektury Nowoczesnej.

karstwem” – dokładaniem historycznych lub ludowych detali na wszelkie twory budowlane².

Burzenie i porządkowanie Śródmieścia Warszawy miało miejsce w okresie (dla satelitów) komunistycznego modernizmu (1944-1949). Nasuwa się więc pytanie: ile więcej i czy w ogóle więcej zabytków z przełomu XIX i XX wieku udałooby się zachować w śródmieściu Warszawy, gdyby doczekały one lat stalinowskiego pseudokultu historii i manii zdobnictwa? Różne pobudki formowały postawy urbanistów i architektów polskich tego okresu. Nie wszędzie jednak decydowała „wazelina” i strach.

Na tym polegała tragedia: podłość i bohaterstwo okresu stalinowskiego.

W *Oświadczeniu* (!) ZOK³ pod tytułem *Prawda o zburzeniu Warszawy i roli Biura Odbudowy Stolicy* pojawia się szereg nazwisk. Cytowne są one rzadko jako przykłady pozytywne, często zaś jako negatywne. „*De mortuis nil nisi bene*”, a także – nie w krótkim eseju jest miejsce na gloryfikację lub potępienie – na ocenę kto dobry, a kto zły. Niektóre zestawienia jednak wydają się tak niesprawiedliwe, że brak ich skorygowania staje się jak gdyby akceptacją.

Przykład: Wacław Ostrowski i Helena Syrkus – oboje zaliczeni do tych negatywnych.

Dr Wacław Ostrowski, jeden z nielicznych teoretyków urbanistyki polskiej, zawsze i stale starający się przemycać, mówić, pisać prawdę.

Helena Syrkus – członek *Praesens*, entuzjastka polskiego i światowego modernizmu i „awangardy”. Chlubiąca się przyjaźnią z „wielkimi tego świata” m.in. Pablo Picasso, Le Corbusier. Z nastaniem stalinizmu aktywna socrealistka, angażuje dawne znajomości i przyjaźnie do zwalczania wszelkich aspektów urbanistyki „burżuazyjnej” (dawna awangarda). Po upadku stalinizmu i terroru intelektualnego, zabiega o względy tejże dawnej awangardy, m.in. dawnego CIAM (np. prezesa Jose-Luisa Seta).

Jan Zachwatowicz, niezawodnie jasna postać polskiej architektury, tak kiedyś powiedział lub napisał:

2. Patrz: detale rzeźbiarskie z Krasiczyna, Sandomierza, itp. na bryle warszawskiego Pałacu Kultury.

3. Zespół Opiekunów Kulturowego Dziedzictwa Warszawy ZOK.

„Społeczeństwo polskie chce widzieć Warszawę dokładnie taką, jaką była przed rokiem 1939”. Ale czy tak zwane „żądania społeczeństwa” nie powinny, nie muszą być czasem korygowane przez światłych, uczciwych i jednak, „poinformowanych” członków tegoż społeczeństwa? Nie wszyscy specjaliści są nieukami i politycznymi oportunistami, a powoływanie się na „wolę społeczeństwa” nabiera czasem charakteru demagogii.

I wreszcie pytanie ostatnie: ile na wpół zburzonych, na wpół spalonych kamienic na warszawskim Śródmieściu zniknęło z powierzchni ziemi jako ofiary komunistycznej gorliwości i nadgorliwości, a ile jako wyraz marzenia o jakiejś poprawie? Modernizm polski nie odegrał poczesnej roli wśród innych „izmów” tej światowej rodziny. Czy słuszne jest jednak umniejszać, czy nawet niweczyć to, co przecież istniało?

Jerzy SOŁTAN

Refleksje z perspektywy lat

Szereg osób najwidoczniej uważających mnie za człowieka inteligentnego i wrażliwego na sprawy społeczne zadawało mi pytanie jak to się stało, że przez całe życie nie miałem najmniejszej chwili słabości w stosunku do marksizmu i prób wcielania go w życie. Pytaniu zazwyczaj towarzyszyło wymienienie nazwisk szeregu wybitnych intelektualistów, polskich i obcych, ze starszego i średniego pokolenia, swego czasu autentycznie oczarowanych komunizmem, a dziś wielkich jego przeciwników i działaczy opozycji. Ci przysłowiowi Synowie Marnotrawni częstokroć cieszą się szczególnym uznaniem. Mam tu na myśli liczną, na szczęście – bo przecież cieszę się, że zmienili poglądy – grupę ludzi, których widoczność na

polskiej scenie sprawia niekiedy wrażenie, że poza nimi – czyli tymi, którzy przejrżeli – innych opozycjonistów nie było. Adam Michnik uważa („Między Panem a Plebanem”, str. 311), „że ostra przepaść między „my” i „oni” zatarła się gdzieś między 1953 a 56 rokiem. Jeśli przetrwała, to tylko w emocjach dość nielicznych kategorii niezłomnych. Było ich trochę w Kościele, trochę w środowiskach kombatanckich, ale z punktu widzenia całego społeczeństwa były to maleńkie grupki”. Słowo „niezłomnych” jest u Michnika co prawda bez cudzysłowu, niemniej odczuwam tu jakiś ironizujący patetyzm. Tym bardziej, że kilkanaście stron dalej (str. 342/343) pisze on: „Oto historia mojej wolności została przez ciebie (Józefa Tischnera, przyp. mój) opisana jako dzieje konformizmu albo zdrady”. Przy całym moim uznaniu i podziwie dla Michnika jestem głęboko przekonany, że się myli minimalizując liczbę przeciwników systemu. Z kolei Miłosz mówiąc o sytuacji zaraz po wojnie pisze: „Otóż w 1945 roku nie było żadnych danych, które by mogły uzasadniać emigrację jako akt polityczny, chyba że ktoś nie chciał rozmawiać trzeźwo” (*Kultura*, Nr 502/503, 1989, str. 21). Więc może jednak niezłomni, ale tylko w cudzysłowie.

Ja naprawdę nie mam nic przeciwko tym co przejrżeli i cieszą się, że tak się stało, ale chciałbym też aby dostrzegli oni te liczne rzesze tych, którzy *wiedzieli* ponieważ *widzieli* co się dzieje, mieli oczy otwarte i wyciągali wnioski. I nie musieli całymi latami odkrywać oczywistej prawdy. W tej grupie byli i znakomici myśliciele, jak m.in. Ossowsky, Tatarkiewicz, Ajdukiewicz, ale też i „szeregowi” inteligenci i wreszcie masy tzw. prostych ludzi o otwartych oczach. Tych ostatnich było, proporcjonalnie, pewno najwięcej ponieważ, jak to zauważył Orwell, „zwyczajni ludzie mają zazwyczaj silniejsze poczucie przyzwoitości, większe przywiązanie do podstawowych wartości jak uczciwość, lojalność i prawdomówność, niż bardzo wykształceni” (Paul Johnson, „Intellectuals”, str. 309).

Nie wiem jaki procent – zapewne jednak znaczny – pośród angażujących się po stronie reżymu stanowili oportuniści, ale jacyś ideowi komuniści też istnieli. Byli i porządni ludzie, którzy szli do partii aby ją zmienić od środka, jednak większość społeczeństwa uważała to za kompletne złudzenie, a ci co poszli do partii nic nie zmienili, a byli tylko

parawanem dla władzy, która zawsze chciała mieć w swym gronie jakieś obiektywnie uczciwe i znane nazwiska jako argument dla maluczkich; że skoro znakomity pisarz, czy uczony współpracuje to trzeba go naśladować ponieważ na pewno wie co robi. Zapewne podłożem mojej odporności na marksizm, mimo przedwojennego młodocianego socjalizowania, był dom rodzinny. Mój ojciec, profesor Wydziału Lekarskiego U.W., był człowiekiem nadzwyczaj światłym, tolerancyjnym i o postępowych przekonaniach. Patriota i zwolennik Piłsudskiego. Występował przeciwko ekscesom antyżydowskim na uniwersytecie, przeciwstawił się tzw. gettu ławkowemu w swojej sali wykładowej, za co dostał zgniłymi jajkami, i ucieczką przez okno pierwszego piętra ratował się od pobicia przez bojówkę oenerowską. Był też czynnym wolnomyślicielem, ale gdy po wojnie p. Rawicz namawiał go do wznawianej właśnie działalności wolnomyślicielskiej, odparł, że teraz gdy Kościół jest prześladowany, byłoby to nie *fair*. Moje spojrzenie na Sowiety, mimo młodego wieku kształtowało się już przed wojną. Pamiętam wysyłki żywności do brata mego ojca, zesłanego na Syberię, który się tam ożenił i pozostał. Pamiętam czytana w odcinkach w *Wiadomościach Literackich* książkę André Gide’a pt. „Powrót z ZSSR”. Pamiętam w 1937 roku na Wystawie Światowej w Paryżu, na której byłem z wycieczką harcerską, w pawilonie sowieckim, zaraz na lewo od wejścia ogromny obraz przedstawiający Stalina w otoczeniu najbliższych współpracowników i wśród tego, ni stąd ni zowąd dwa świeczniki – jeden aby zamalować właśnie rozstrzelanego Tuchaczewskiego, a drugi już nie pamiętam kogo. No i wojna, 17 września, wywózki z Kresów, Katyń, losy planu Burza, rola Sowietów w Powstaniu Warszawskim i AK zapluty karzeł reakcji i, i, i... wyliczać można by bez końca. Potem likwidacja PPS, partii polskiej lewicy o pięknych tradycjach patriotycznych, ataki zniewolonych intelektualistów na pisarzy i poetów emigracyjnych, tak dowcipnie skwitowane przez Mariana Hemara w wierszu-liście do Jana Brzechwy: „nie atakuj swą nędzną ironią tych co i ciebie, choć wbrew tobie, bronią”. Przecież doświadczenia każdego dnia były zaprzeczeniem tego, co pisały gazety i nadawało radio.

Doprawdy nie wiem czemu się bardziej dziwić. Czy logi-

cznemu wnioskowaniu z rozbieżności pomiędzy codzienną praktyką a głoszonymi hasłami, czy też niedostrzeganiu tego co się dzieje i robieniu dobrej miny do złej gry ze względów ideologicznych, a najczęściej oportunistycznych.

Prawie do końca PRLu zasadą „Władzy Ludowej” było, że kto nie jest za, ten jest przeciw. A zatem dla niepokornych trudności na każdym kroku. „Punkty” przy przyjmowaniu na studia, przydziały pracy po studiach – dla swoich lepsze, dla innych głucha prowincja. Nawet w naukach przyrodniczych wszystko podlegało cenzurze i było oceniane z punktu widzenia zgodności z linią partii. Dwa przykłady z osobistego doświadczenia. Podręcznik mojego ojca poszedł częściowo na przełom, a drugie wydanie w ogóle się nie ukazało, ponieważ odmówił pisania o genetyce Miczurina i Łysenki, wówczas popieranej przez partię, a po paru latach po cichu zapomnianej jako nie trzymającej się kupy. (Chodziło o to, że marksizm nie mógł się pogodzić z tym, że ludzie nie rodzą się równi pod względem genetycznym. Łysenko twierdził, że cechy nabyte wychowaniem będą się dziedziczyły, co nigdy nie zostało wykazane, ale zaspokajało ideologiczną potrzebę potencjalnej równości wszystkich ludzi). Inny autor okazał się bardziej dyspozycyjny, a przecież to było dla partii najważniejsze. Jako młody lekarz napisałem książeczkę popularno-naukową pt. „Narkotyki i Używki”. Dr Handelzalc, redaktor serii, domagał się, abym szerzenie alkoholizmu wśród Indian oraz wojny opiumowej w Chinach przedstawił jako wynik zamierzonego i świadomego działania „imperialistów” celem łatwiejszego podboju. A gdy odmówiłem, otrzymałem list, że „pracę cechuje burżuazyjny obiektywizm” i nie nadaje się do druku. Byłem też o krok od oskarżenia o sabotaż za rzekome opóźnianie dopuszczania do obrotu dekstranu (środek krwiozastępczy), a którego niektóre serie po prostu nie odpowiadały wymogom.

Może dzieje środowisk naukowych są mniej znane, ale stale mam przed oczyma listy otwarte do Stalina czy Bieruta, panegiryki, w których z wdzięcznością podkreślano rolę partii i dialektyki marksistowskiej dla pracy naukowej ich autorów, a za którymi szły nominacje profesorskie. Ale na szczęście bywało i inaczej – odmowa świnienia się, częstokroć kosztem własnej kariery. Nie wolno zapomnieć o tych opóźnianych lub zawieszonych na zawsze awansach, habilitacjach i

nominacjach profesorskich tylko za trzymanie się pewnych zasad i odmowę dyspozycyjności.

Oczywiście nie można przedstawiać listy nienapisanych dzieł czy też niedokonanych odkryć, a które mogłyby być dokonane przez tych, których usunięto lub pozbawiono warsztatu naukowego i możliwości kształcenia narybku. Sukcesy odnoszone na emigracji przez wielu naukowców, którzy ze względów politycznych opuścili Polskę, przemawiają za trafnością moich przypuszczeń. Pisarz mógł uciec w tematy neutralne lub pisać do szuflady, jeżeli miał z czego żyć, ale w naukach społecznych było to trudne. Ajdukiewicz, Elzenberg, Ingarden, Ossowsky, Tatarkiewicz i wielu innych o mniej znanych nazwiskach – ile oni mogliby jeszcze stworzyć gdyby im tylko pozwolono pracować i wychowywać. A żaden się nie pokajał. Pięknie o tym mówi Zbigniew Herbert w rozmowie z Jackiem Trznadłem („Hańba Domowa”).

O tym co działo się w naukach przyrodniczych czy technicznych pisano znacznie mniej. Może po prostu inna struktura psychiczna tych ludzi, a może większa trudność pisania na tematy spoza właściwej specjalności. Więc może jednak te uwagi „niehumanisty” nie są całkiem nie na miejscu. W naukach przyrodniczych i technicznych temat pracy pozbawiony był na ogół tego aspektu ideologicznego, natomiast niezależność myślenia na tematy wykraczające poza specjalność zawodową była bardzo źle widziana. I znów obawa tego „zgubnego” wpływu na młodzież, odsuwanie od dydaktyki, czy po prostu usuwanie z uczelni.

Natężenie presji „ideologicznej” nie było takie same przez cały okres istnienia PRLu. Po 1956 dużo się zmieniło, potem trochę wracało stare i znów wzrost swobody, łatwiej o paszport itp. Ale procesy polityczne nadal miały miejsce, choć rzadziej, a i wyroki śmierci też się zdarzały. „Niezlomni” istnieli też i po 1956, ale inna była sytuacja polityczna na świecie i w Polsce. Oddalająca się wizja przejścia zimnej wojny w rzeczywistość, zmęczenie okupacją, represje reżymu, czyli krótko mówiąc poczucie beznadziejności sytuacji działały hamująco. Zresztą cykliczność: walka zbrojna/praca u podstaw od czasów rozbiorowych charakteryzowała walkę z okupantem. Pamięć o tych czasach trzeba ocalić od zapomnienia. Wymaga tego uczciwość wobec tych wszystkich, przecież bardzo licznych,

którzy ponosili konsekwencje swych niepokornych poglądów.

Stale niezmiennie się dziwię, i dlatego znów wracam do tego w tym artykule, że tylu wybitnym ludziom aż tyle było potrzeba czasu, aby się zorientować w tym co dla tak wielu zwykłych ludzi było wiadome „od zawsze”. Jest ogromną zasługą Jacka Trznadla, że potrafił tak wielu pisarzy nakłonić do mówienia o mechanizmie zniewolenia („Hańba Domowa”).

W tej samej książce Zbigniew Herbert zastanawia się czy – ponieważ nie był aktorem zniewolenia literatury, a tylko widzem – wypada mu mówić o „dżumie” u innych skoro jej sam uniknął. Trudność, którą odczuwam pisząc ten artykuł wynika m.in. z tego, że podobnie jak Herbert, nie chcę, aby w moim mówieniu o uniknięciu zadżumienia był jakiś element wywyższenia. My, „niezadżumieni”, wbrew temu co się dziś niekiedy sugeruje, nie byliśmy grupą aż tak nieliczną, mimo że z oczywistych względów znacznie mniej hałaśliwą niż zadżumiona komunizmem mniejszość.

W żadnym też razie nie chcę być zrozumiany jako ktoś odmawiający innym prawa do zmiany poglądów, zakładając oczywiście, że nie wynika to z oportunistu. Ludzie, którzy jak Kołakowski, Michnik i inni, a szczególnie Kuroń rozliczyli się ze swoją przeszłością i nie trzymają „szkieletów w szafie”, są przedmiotem mego podziwu i szacunku, a dzisiejsza działalność wielu z nich jest jak najbardziej po mojej myśli. Ja się naprawdę cieszę, że przejrzeni i, że tak dynamicznie działają w dobrej sprawie. Trzeba jednak pamiętać, że bez tego trzonu stłamszonej większości, która przed laty zdumiała świat swoim przebudzeniem, Polska nie byłaby tam gdzie się dziś znajduje. I dlatego drażni mnie powstawanie jak gdyby „klubu nawróconych”, którego członkowie są alergiczni na każdą uwagę czy tylko aluzję do minionej działalności któregoś z nich. Chociaż i to należy starać się zrozumieć. Herling-Grudziński nie napluł na Wata, jak mu to zarzuca Michnik (*Kultura*, Nr 573, str. 35, 1995). Oczekiwałamby nieco więcej skromności i przyznania, że taki sam stosunek do komunizmu, jaki „nawróceni” mają dziś, na końcu swej drogi, miało bardzo wielu ludzi w Polsce bez potrzeby przechodzenia „dżumy”.

Genewa, październik 1995

Jan VENULET

Ciury

Wśród półwiecznych rocznic narodowych obchodzonych w Londynie w dwóch ostatnich latach znalazł sobie miejsce i Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Do 50-tki jeszcze mu brakowało roku, ale lepiej wcześniej niż nigdy, bo kto może wiedzieć, co jutro życie przyniesie.

Związek Pisarzy powstał w Londynie w 1946 roku z potrzeby coraz liczniej zjawiających się z wojska i z obozu pisarzy. Byli wśród nich starsi, znani już przed wojną (Herminia Naglerowa, Józef Mackiewicz, Sergiusz Piasecki i in.) i najwięcej młodych, którzy dopiero stawali się pisarzami (Bogumił Andrzejewski, Jan Bielatowicz, Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Bronisław Przyłuski, wśród wielu innych). Wszystkich ich łączyła niepewność losu, bieda, brak dachu and głową.

Wtedy prof. Stanisław Stroński, romanista, publicysta, polski minister informacji w Londynie w czasie wojny, z myślą o zorganizowaniu pomocy dla nich założył – przy współudziale Herminii Naglerowej i poety-pułkownika Antoniego Bogusławskiego – Związek Pisarzy. Najważniejszym jego aktem było kupienie domu, który był przez ćwierć wieku ostoją dla pisarzy, w ostatniej fazie dla tych, którzy do końca nie umieli czy nie mogli zorganizować sobie nowego życia.

Mimo ciężkich warunków, w Domu Pisarza wrzało życie intelektualne, powstawały głośnie książki („Inny Świat” Herlinga, „Obóz Wszystkich Świętych” Nowakowskiego), odbywały się ciągłe spotkania z przyjezdnymi i londyńskimi pisarzami (Stanisław Mackiewicz, Wańkowicz, Zygmunt Nowakowski jako stali goście), herbatki, odczyty, akademie. Od 1948 r. zaczęła się energiczna akcja wydawnicza Związku – seria „Żywych” (książki o Conradzie, Wyspiańskim, Krasińskim, Norwidzie, Sienkiewiczu) i przede wszystkim dwutomowa „Literatura polska na Obczyźnie” pod redakcją Tymona Terleckiego.

Za czasów jego czteroletniej prezesury Związek przeżył swój największy rozkwit. Niezmordowany w inicjatywach i pracy, obok innych imprez i wieczorów autorskich, urządzał obiady literackie, które stały się atrakcją polskiego Londynu.

Gdy Terlecki objął katedrę polonistyki w Chicago i wyjechał z Londynu, Związek z innymi prezesami zaczął powoli odchodzić w cień i w nim pozostał. Dziś przestał grać jakąkolwiek rolę w kulturalnym życiu polonijnym.

Na długiej liście członków znajduje się wielu w różnych krajach, którzy nawet nie pamiętają, że kiedyś nimi zostali, tylko figurują na niej w roli *sleeping members*. Garstka tzw. „czynnych” w Londynie to paru starszych panów i grono pań, które wydały kiedyś własną (czy wspólną) książkę wspomnień, albo tomik wierszy, albo przekład na obcy język. Przynależność do Związku to dla nich pasowanie na pisarza, połączone z nadzieją, że ukaże się notatka o ich dokonaniach w wydawanym przez Związek *Pamiętniku Literackim*, chociaż nikt go nie czyta, najwyżej prenumeruje dla swej publicznej biblioteki i stawia na półce w rzędzie *reference books*. Nadzieja na taką notatkę bywa nieraz płonna.

Na walnym zebraniu z okazji pseudo-pięćdziesięciolecia, gdy jedna z pań upomniała się o informację o sobie, dwukrotnie wysłaną, która – mimo obietnicy – nie ukazała się, poczuła od razu żelazną rękę dyktatorskiej władzy. Tak została zgromiona za swoje odezwanie się przez Prezesa, że aż łagodny przewodniczący musiał powstrzymać wybuch.

– Idi Amin – szepnęła inna pani, bladymi ze strachu ustami, mnąc w rękę paperek z pytaniem, które chciała zadać. Nie odważyła się.

Prezes polskiego PEN-Clubu, Artur Międzyrzecki, zaproszony wraz z żoną Julią Hartwig na rocznicowe uroczystości, też raz musiał przerwać filipikę gospodarza, by powiedzieć, że w kraju nie wszystko takie czarne jak on maluje.

Na zjazdowym jubileuszowym wieczorze Prezes bardzo narzekał, tym razem na krnąbrnych członków, którzy rzekomo posunęli się do tego, że chcieli „rozbić” Związek, a gdy im się to nie udało, wystąpili z niego. Co było bez znaczenia dla Związku – ciągnął dalej – bo odeszły tylko same ciury.

Te „ciury”, które wtedy odeszły – to byli m.in. – Anna Frajlich, Henryk Grynberg, Wacław Iwaniuk, Stefania Kossowska, Józef Łobodowski. Wystąpili oni ze Związku w 1986 r. na znak protestu, gdy prezes Garliński, nie mając widocznie zaufania do związkowego sądu koleżeńkiego, wstąpił na angielską drogę prawną przeciwko członkini Związku, Maji E. Cybulskiej, która dopuściła się obrazy majestatu w recenzji z jego książki.

Prawda, że później była próba zamachu stanu, po którym

kilku innych członków opuściło Związek, gdy bunt skończył się na niczym, bo nie znalazł się amator na nowego prezesa, by rządzić tym pobożowiskiem.

Trzeba przyznać, że obecni członkowie na walnym zebraniu raz zdobyli się na odwagę na zasadzie „kupą mości panowie”, gdy w głosowaniu odrzucili niezrozumiałą w literackim gronie propozycję-ukaz Prezesa, że mają być lojalni wobec nowego prezydenta Polski, ktokolwiek nim zostanie.

Zgoda również zapanowała, gdy przyszło decydować, czy londyński Związek ma pozostać „na obczyźnie”, czy połączyć się z istniejącym w Polsce. Zebrani hurmem odmówili połączenia. No bo jak? Rozpłynąć się w morzu pisarzy krajowych? Nie być prezesem?

QUIDNUNC

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Kiedy niniejszy numer *Kultury* trafi do czytelników, wyniki wyborów parlamentarnych w Rosji będą już znane. Dziś, w ich przededniu, nikt nie wątpi, że większość w Dumie zdobędą komuniści i ich „bratnie partie” (agrarnicy, „Kobiety Rosji” i inne). Nie ma w tym niczego dziwnego. Przeciwnie, dziwny byłby rezultat odwrotny. Jeśli Polska wybrała na prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, to fakt, że Rosjanie będą głosować na kandydatów rodem z niedawnej przeszłości, wydaje się całkiem naturalny. W Polsce ustroj komunistyczny istniał przez lat czterdzieści, a w Rosji – przez trzy czwarte wieku.

Telefonowali do mnie z Moskwy przyjaciele, którzy obejrzeli w telewizji manifestacje we Francji – a Francja przeżyła pod rządami Mitterranda raptem czternaście lat. Ze zgrozą pytali: Czy naprawdę demonstranci śpiewają „Międzynarodówkę”? Biedni moi przyjaciele mieli nadzieje, że być może telewizja rosyjska kłamie. Niestety, musiałem potwierdzić. Francuzi rzeczywiście śpiewają: „Powstańcie, których dręczy głód. Myśl nowa blaski promiennymi dziś wiedzie nas na bój, na trud....”

Wiele się zmieniło w naszej części świata w ciągu ostatnich dziesięciu lat, ale zmiany te nie podważyły głównej zdobyczy komunizmu, mianowicie faktu, że udało mu się zmienić mentalność mieszkańców obozu socjalistycznego. Dziesięć lat temu wydałem książkę pt. „Maszyna i śrubki, czyli jak hartował się człowiek sowiecki”. Książkę ostro skrytykowano, zwłaszcza w Polsce. Moi przeciwnicy niezga-

dali się z moim przekonaniem, że wpływ władzy komunistycznej spowodował zmiany w świadomości ludzi. Polacy (niektórzy) z naciskiem podkreślali, że człowieka nie sposób przerobić, a już na pewno nie Polaka.

Dziś, pod koniec 1995 roku, stwierdzamy tyle: w Bułgarii neokomuniści wrócili do władzy w 1994 roku. W ubiegłym roku odzyskali władzę na Węgrzech i w Słowacji. W Rumunii – nigdy władzy nie utracili. W 1995 roku zwyciężyli w Polsce i Rosji. Co więcej, wybory do Dumy rosyjskiej należy uważać za pierwszą turę wyborów prezydenckich. Wiem, co się na to odpowiada: że komuniści się zmienili, że stali się porządnymi ludźmi i pokochali pieniądze. Że powrót dawnych czasów jest niemożliwy. Nie upieram się: przyszłość znają tylko jasnowidzowie.

Francuscy strajkowicze końca 1995 roku pozwalają lepiej zrozumieć, o co chodzi w sporze o „mentalność sowiecką”. Ich dwa główne zadania, pod którymi podpisuje się większość Francuzów, to: żadnych reform i państwo ma nam zapewnić wszystko. Na tym właśnie polega „mentalność sowiecka”. Dwie obietnice – że wszystko zostanie jak było i że państwo gwarantuje pracę i odpoczynek – pozwalają komunistom wrócić do władzy. Francuski dziennikarz pisze: „Kolejarze oraz ludzie, którzy nie strajkują, żywią te same nostalgie za zagrożonym komfortem”. Fakt, że komfort rosyjski nijak nie da się porównać z komfortem francuskim, za którym tęsknią rosyjscy wyborcy, jest bez znaczenia.

Komuniści, eks-komuniści i neo-komuniści obiecują szczęśliwe jutro, czyli powrót do wczoraj. Narody, które wychowali, im wierzą. Nikt nie chce pamiętać, czym naprawdę była przeszłość. Ukazała się niedawno we Francji książka Władimira Bukowskiego pt. „Proces moskiewski. Dysydent w kremlofskich archiwach”. Przypadek i niespodziewany zwrot w polityce Jelcyna otworzyły Bukowskiemu drzwi „jądra ciemności” i pozwoliły mu przeczytać i skopiować opatrzone pieczęcią najwyższej tajności dokumenty. Są to dokumenty ciekawe, choć nie wnoszą niczego fundamentalnie nowego; potwierdzają tylko wszystko, co mówili o ustroju sowieckim jego nieliczni prawdziwi przeciwnicy, którym nie wierzyli ich liczni rodacy. Władimir Bukowski nie chce się pogodzić z

faktem, że Zachód „nie rozumiał systemu sowieckiego”, nie chciał go rozumieć i że wszec sił go wspierał. Można na to słynnemu buntownikowi powiedzieć: nie tylko Zachód. Nikt nie chciał komunizmu zrozumieć, ani poza jego granicami, ani wewnątrz. Powody tego to oddzielny temat. Piszę o książce Bukowskiego, bo paryska *Russkaja mysl*, która drukuje „Proces moskiewski” w odcinkach (książka nie znalazła jeszcze rosyjskiego wydawcy) z okazji wyboru Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta Polski wydrukowała rozdział, poświęcony historii Solidarności w oczach sowieckiego Biura Politycznego.

Bukowski przytacza w tym rozdziale dokumenty, które odpowiadają na centralne pytanie: czy Moskwa zamierzała wprowadzić do Polski wojska? Członkowie Biura Politycznego KPZS wypowiadają się w tej kwestii jasno: należy wszelkimi siłami pomagać polskiemu towarzyszom, ale posyłać wojsko – nie. Te archiwalne materiały są ciekawe dlatego, że doskonale obrazują sposób myślenia przywódców sowieckich i charakter stosunków między Moskwą i polskimi komunistami. Breżniew, rzecz charakterystyczna, zwraca się do Jaruzelskiego per „Wojciechu” i na ty, natomiast Jaruzelski do Breżniewa mówi „wy” i okrasza to „wy” przymiotnikami: wielce szanowcy, drogi Leonidzie Iljiczu.

Wszystko to, wydawałoby się, wiemy. Dziś, kiedy wybrano najlepszego (najzręczniejszego) z następców Jaruzelskiego na prezydenta Polski, dobrze jednak odświeżyć pamięć.

Materiały archiwalne są rzecz jasna przydatne dla zrozumienia, dlaczego dzisiejsi przywódcy Rosji i innych byłych republik sowieckich, gdzie komuniści zostali u władzy, postępują tak jak postępują. W niemal każdej gazecie rosyjskiej można dziś znaleźć (co najmniej raz w tygodniu) „ściśle tajne dokumenty”. Wydrukowano na przykład stenogramy rozmów między Stalinem i Mao-Tse-tungiem, zapis posiedzenia Biura Politycznego 20 marca 1973 roku, na którym ważyła się kwestia „wyjazdu za granicę osób narodowości żydowskiej”. Rosyjscy przywódcy dyskutują o zagadnieniach państwowych z niezwykłą ostrożnością. Starają się zadośćuczynić wymogom ideologii, ale jak ognia boją się „awanturnictwa”. Z wyjątkiem licznych przypadków, kiedy nagle, jakby z podszeptu Marksa, podejmują decyzje irracjonalne.

Na przykład Stalin zgadza się na rozpętanie wojny w Korei. Albo Breżniew decyduje inwazję Afganistanu.

Rok temu zaczęła się wojna w Czeczenii. Do dziś nie wiadomo, dlaczego, po co i z czyjej decyzji. Wojna w Czeczenii jest najdziwniejszym przykładem „sowieckiego” postępowania przywódców rosyjskich. Ale czeczeński konflikt dowodzi też, że sposób rozwiązywania problemów się zmienił, w każdym razie w przypadku niektórych przywódców. Najważniejszą zmianą jest fakt, że kierownictwo przestało być monolitem.

Zachodni komentatorzy odkryli nagle, że w Rosji istnieje nowa siła, zwana Gazpromem. Odkrycia tego dokonali z okazji wyborów, dla których premier Czernomyrdin utworzył blok „Rosja naszym domem”. Wiktor Czernomyrdin przez wiele lat kierował przemysłem gazowym Związku Sowieckiego. Po rozpadzie ZSSR udało mu się dokonać czegoś, czemu nie sprostał żaden inny przywódca gospodarki sowieckiej: Wiktor Czernomyrdin uratował mianowicie jedność przemysłu gazowego, który zamienił w spółkę akcyjną pod nazwą Gazprom. Nafciarzom na przykład nic podobnego się nie udało. Przemysł naftowy Rosji składa się dziś z tuzina rozmaitej wielkości przedsiębiorstw naftowych. Gazprom – złoza gazu, zakłady przetwórcze, gazociągi – kontroluje 94% gazu rosyjskiego i około 40% światowych zapasów gazu. Amerykanie obliczyli, że w dziedzinie dochodów (po opłaceniu podatków) Gazprom zajmuje drugie miejsce w świecie, po firmie „Shell”. Pieniądze – cenna rzecz. Znaczenie Gazpromu nie sprowadza się jednak do dochodów. Kiedy znalazłem się w gabinecie prezesa Gazpromu Rema Wiachiriewa, aby przeprowadzić z nim wywiad, oeniłem siłę „spółki akcyjnej” na mapie, zajmującej całą ścianę. Była to mapa Związku Sowieckiego, na której widniały gazociągi i miejsca zasobów gazu. Linie jak naczynia krwionośne oplatają kraj i trzymają go w silnym uchwycie Gazpromu.

Przed wyborami narodził się dowcip. Zamiast „Naszym domem Rosja” mówi się „Nasz dom – Gazprom”. Rem Wiachiriew chętnie powtarza: „Co jest dobre dla Gazpromu, jest dobre dla Rosji”. Oskarża go się o egoizm. Tymczasem powtarza tylko słynną formułę prezydenta General Motors:

„Co jest dobre dla General Motors, jest dobre dla Ameryki”. Wiktor Czernomyrdin uchodzi za prawdziwego szefa Gazpromu. Rem Wiachiriew był jego zastępcą, większość kierowników dzisiejszego przemysłu gazowego została na stanowiskach po rozpadzie Związku Sowieckiego. Wiktor Czernomyrdin jest jednym z akcjonariuszy Gazpromu.

Gazprom słusznie krytykują za monopolistyczną władzę, za to, że płaci mniej podatków niż inni i że finansuje blok Czernomyrdina. Nie ulega kwestii, że finansuje też wiele innych partii i ruchów. Mimo że możliwości premiera są ogromne, mimo że ogromne są też środki, które wydaje na kampanię wyborczą, komentatorzy nie przewidują zwycięstwa bloku „Naszym domem Rosja”. Porażka w wyborach może Wiktora Czernomyrdina kosztować stanowisko premiera. Nie zmieni to jednak siły ani możliwości Gazpromu.

Rola kapitalistycznego koncernu w życiu kraju to w Rosji nowe zjawisko. Analogii szukać można w przedrewolucyjnej historii kraju. Tyle że przed 1917 rokiem nie było w Rosji równie potężnego przedsiębiorstwa. W Rosji (a dziś też na Zachodzie) zastanawiają się, czy to dobrze, czy źle dla kraju. Począwszy od XVIII wieku rosyjska historia szuka odpowiedzi na dwa pytania: „co robić?” i „kto winien?”. Gazprom stawia pytanie nieznane sowieckiej (i rosyjskiej) mentalności: za ile? Antykapitalistyczne nastroje są w Rosji tradycją. Dziś ich fala podnosi się – znowu – w Europie zachodniej. Tym należy tłumaczyć krytyczny z reguły stosunek do Gazpromu, który moim zdaniem wskazuje Rosji nowe drogi rozwoju.

Dnia 9 grudnia 1995 paryski *Le Monde* opublikował program wyborczy Aleksandra Lebiedia, który wysłała w świat agencja informacyjna „Nowosti”. Aleksander Lebied' kandyduje do Dumy i zostanie, co do tego nie ma wątpliwości, bez trudu wybrany. Jego program wyraża poglądy przyszłego kandydata na stanowisko prezydenta Rosji. Do wyborów zostało – o ile się odbędą – pół roku.

Program emerytowanego generała jest, jak przystało na żołnierza, prosty. Rosja znajduje się w niebezpieczeństwie, stwierdza Lebied'. Otaczają ją wrogowie: NATO, świat muzułmański, Chiny. Wrogowie szkodzą gospodarce rosyjskiej. Oni też winni są katastrofie ekologicznej. Należy więc

przede wszystkim zapewnić Rosji bezpieczeństwo. Przepis na wyjście z kryzysu jest szczególnie prosty. Przede wszystkim trzeba „skorygować” granicę z Estonią, przez którą wycieka bogactwo Rosji, mianowicie metale kolorowe. Następnie należy rozpocząć eksploatację dwunastu nowych złóż złota. Na koniec zaś należy zażądać od Szwajcarii zwrotu pięciu tysięcy miliardów dolarów (nie wiem, co ta cyfra oznacza, sygnalizuje jednak, że w sejfach szwajcarskich „śpi”, jak wyraża się Lebied', masa zdeponowanych tam w 1917 roku pieniędzy rosyjskich).

Zaletą konstruktywnej części programu generała Lebiedia polega na tym, że nie wymaga on od wyborców żadnego wysiłku. Reformy? Po co? Państwo zajmie się wszystkim. Złoty deszcz, który obiecuje Rosji Aleksander Lebied', neutralizuje agresywną część programu.

O Aleksandrze Lebiediu dużo się mówi i dużo nim straszy, przedstawiając go jako poważnego konkurenta Borysa Jelcyna. Warto zwrócić uwagę na ciekawe zjawisko. W drugiej połowie lat 80-tych, kiedy zaczęła się *pieriestrojka* i Michail Gorbaczow potrzebował współczucia Zachodu, na arenie politycznej nagle pojawiła się skrajnie nacjonalistyczna organizacja Pamiat'. Na początku lat 90-tych, kiedy zagrożony był Borys Jelcyn, wyskoczył na scenę Władimir Żyrynowski, który obiecywał żołnierzom rosyjskim, że będą buty myć w Oceanie Indyjskim. Dziś Borys Jelcyn znow jest w niebezpieczeństwie. Jego popularność spadła do tego stopnia, że można mówić o niepopularności. I oto pojawia się Aleksander Lebied'.

Jak mówi Szekspir, w tym szaleństwie jest metoda. Oczywista zbieżność programów Pamiati, Żyrynowskiego i Lebiedia świadczy o tym, że wyrażają oni uczucia rzeczywiście istniejące w społeczeństwie. Uczucia, które znajdują odzew. Równocześnie fakt, że pojawiają się niewygodne – dla przywódców kraju – zorganizowane formy wyrażania podświadomych uczuć i marzeń, wskazuje na rękę specjalistów. Innymi słowy: gdyby Lebiedia nie było, należałoby go wymyślić. Niewykluczone, że go wymyślono.

Między programami Jelcyna i Lebiedia istnieje zasadnicza

różnica. Ale program Lebedia nie jest ostatnim słowem, jakie ma do powiedzenia „prawica” (czy też „lewica”?). Prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenka w wywiadzie dla niemieckiej gazety *Handelsblatt* oświadczył, że „nie samo zło wiąże się w Niemczech ze słynnym Adolfem Hitlerem”. Główną zasługą Hitlera były, zdaniem Łukaszenki, „konsolidacja narodu i zaprowadzenie porządku”. U progu swej kariery politycznej Aleksander Lebed' wybrał sobie za model generała Pinocheta. Dziś wzoruje się na generale de Gaulle'u. Przywódcy Gazpromu wzorują się na amerykańskich królach naftowych, Rockefellerze i innych.

Jest to nowość. Pojawił się mianowicie wybór.

14.12.1995

Adam KRUCZEK

Ukraina – bilans roku

Miniony rok pod rządami prezydenta Leonida Kuczmy nie przyniósł radykalnych zmian na lepsze, ale i nie pogorszył sytuacji, borykającego się z ogromnymi trudnościami młodego państwa ukraińskiego z postkolonialną historią. Rok ten zakotwiczył silniej niż ubiegłe lata suwerenność Ukrainy, zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych. Zniknęły ze stron prasy światowej popularne do niedawna gadki o rzekomo bliskim pęknięciu tego wielkiego tworu państwowego o rozmiarach Francji na dwie części: wschodnią i zachodnią, i o rychłej secesji Krymu. Prognozy tego typu rodziły się zazwyczaj w Moskwie i były z ręcznie podsuwane ekspertom zachodnim, cierpiącym wciąż jeszcze na poważne trudności warsztatowe w analizach dotyczących spraw ukraińskich. Nie znając języka, są skazani na źródła rosyjskie, i dlatego historia Ukrainy znana im jest przeważnie w wypaczonej formie i

posługują się ponadto w dalszym ciągu dawnymi kontaktami z ośrodkami moskiewskimi. Bruździ też często emigracja rosyjska, której jeszcze trudniej pogodzić się z niepodległością dawnej kolonii, niż dzisiejszym władcom na Kremlu.

Rzeczywistość wykazała, że rządy Kuczmy, oparte zresztą przeważnie na politykach ze wschodnich połaci państwa, gwarantują bardziej przekonująco integralność państwową, niż to sobie wyobrażali domowi i zagraniczni obserwatorzy u progu nowej władzy. Dzięki liberalnej polityce mniejszościowej, pozwalającej na swobodny rozwój tożsamości kulturowej i językowej każdej grupie narodowościowej, państwu ukraińskiemu nie zagraża niebezpieczeństwo eksplozji konfliktów etnicznych, jak w byłej Jugosławii czy na Kaukazie lub nawet w pobliskiej Mołdawii. Inwazja rosyjska w Czeczenii, będąca pierwszą wojną kolonialną Rosji postkomunistycznej, ostudziła nastroje tych grup wśród ludności rosyjskiej na Ukrainie, które przed tym głośno manifestowały swe sympatie dla „matuszki Rosji”, szczególnie na półwyspie krymskim. Rosjanki ze zgrozą myślą o ewentualnym poborze ich synów do armii rosyjskiej. Zniweczyło to też poczynania ugrupowań szowinistycznych w Rosji, usiłujących utworzyć przyczółki ideologiczne wśród mniejszości rosyjskiej na Ukrainie. I chociaż Kijów wciąż jeszcze czeka na podpis Jelcyna pod układem międzypaństwowym regulującym stosunki rosyjsko-ukraińskie na przyszłość, bilans roku w tej dziedzinie wniósł raczej wzmocnienie stabilizacji niż niepewności. A pod koniec roku udało się znaleźć wyjście z długotrwałego impasu w kwestii podziału okrętów i baz wojskowych pomiędzy marynarkę wojenną rosyjską i ukraińską na Morzu Czarnym. Tylko w stosunkach z Rumunią pozostaje nadal wyłom, gdyż Bukareszt odmawia podpisania podobnych układów, jakie Ukraina zawarła uprzednio z Węgrami i Polską. Podobno prezydent rumuński Iliescu podczas pobytu w Polsce wdychał nostalgicznie za wspólną granicą!

W ciągu całego roku prezydent Kuczma kontynuował intensywną politykę zagraniczną ubezpieczania interesów państwowych na wschodzie i na zachodzie. Niejako symbolem takiego kursu były podróże dyplomatyczne Kuczmy pod koniec 1995 roku, odbyte w krótkich odstępach czasu, do Chin i do Wielkiej Brytanii. Ich uzupełnieniem na niższym

szczeblu premierów były nowe układy z Białorusią i Polską. Ukraina bowiem w przeciwieństwie do wielu innych krajów nie odpisała Mińska pod wodzą Łukaszenki na straty, lecz stara się jak może podtrzymywać jeśli nie suwerenne to przynajmniej autonomiczne prądy białoruskie.

Fiaskiem natomiast skończyły się ukraińskie kombinacje na temat własnej polityki w kotle jogosłowiańskim. Przy tym Kijów miał początkowo wiele atutów w rękach, aby odegrać bardziej samodzielną rolę. Zgubne okazały się zbyt duża ostrożność i niezdecydowanie w ośrodkach dyspozycyjnych. Bano się reakcji Serbów, ostudzono żywe początkowo koneksje z Chorwacją, nie poparto żądań bośniackich. W sumie wszystko pozostało przy dużych kontyngentach ukraińskich pod flagę ONZ i stosunkowo wielkich stratach, jak też i zupełnej nieudolności ochrony ludności pochodzenia ukraińskiego i wyznania unickiego w Bośni i Hercegowinie, potomków osadników werbowanych przez cesarzową Marię Teresę. I chociaż przewodniczący komisji polityki zagranicznej w parlamencie ukraińskim, poeta Borys Olijnyk, deklarował w wierszach przyjaźń z „prawosławnymi braćmi serbskimi”, owi „bracia” zapamiętale niszczyli wszelkie ślady kultury ukraińskiej na zdobytych terenach.

Ukraina i Polska

Polska ma dla Ukrainy centralne znaczenie, bo jest głównym szlakiem na zachód. Drogę tę należałoby wspólnymi wysiłkami wszechstronnie rozwijać. Stąd też na wiosnę minionego roku wypłynęła idea potrójnej współpracy na linii Ukraina-Polska-Niemcy. Była ona najpierw tematem konferencji naukowej w Rzeszowie, a potem została podjęta przez ukraińskiego ministra spraw zagranicznych Udowenkę podczas wizyty prezydenta Kuczmy w Niemczech. Potem sprawę zdaje się zaniedbano i wypłynęła znowu na dyskusji polsko-ukraińskiej jesienią w Warszawie. Miejmy nadzieję, że o niej nie zapomną politycy i dyplomaci w nowym roku.

Kwestia znaczenia stosunków polsko-ukraińskich i odzucia wagi tej sprawy w kompetentnych kołach i w naszych społeczeństwach – to jedna strona medalu. Druga, to nie-

zbędna aktywność celem urzeczywistnienia tego zagadnienia w praktyce, czyli współzależność między teoretyczną myślą a praktyczną działalnością. I tu niestety panuje rozdźwięk. Wiadomo wszystkim, że na początku roku w tych stosunkach istniała głucha cisza. Nowy minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski miał co prawda wielu ukraińskich przyjaciół, ale w dziedzinie wzajemnych stosunków zawodowo nie pracował. Przejęcie kierownictwa dyplomacji polskiej wymagało od niego trochę przemyśleń i przygotowania. Po kilku miesiącach stosunki te ocknęły się ze snu. Posypały się wizyty, uzgadnianie projektów, rozszerzanie płaszczyzn współpracy.

Nastąpiło ożywienie w dziedzinie stosunków gospodarczych. Jerzy Kozakiewicz, ambasador Rzeczypospolitej w Kijowie, przytoczył podczas konferencji poświęconej rocznicy sojuszu Piłsudskiego z Petlurą cyfry świadczące o rosnącej dynamice na tym polu. Obecnie działa już 600 wspólnych firm na terenie Ukrainy, rośnie szybko handel zagraniczny, zwłaszcza eksport polskiego węgla za Bug i San. Między Kijowem i Krakowem została zainstalowana nowoczesna linia telefoniczna, łącząca Ukrainę z zachodnią i południową Europą.

Nie najgorzej wygląda dział naukowych konferencji i dyskusji. 75-lecie sojuszu polsko-ukraińskiego doczekało się jesienią obchodów i prelekcji aż na dwóch uniwersytetach w Warszawie i Toruniu. Sesja warszawska była połączona z okrągłym stołem politycznych działaczy. Niestety nie pozostało czasu na dyskusję w tym gronie, ale mimo to samo wydarzenie jako takie i treść wypowiedzi kilku posłów i senatorów z rozmaitych ugrupowań od prawicy do lewicy były czymś nowym. Współpraca uczonych czyni postępy i dobrze, że nie ogranicza się do Warszawy. Lublin staje się coraz silniejszą ostoją polskiej orientacji wschodniej w nauce. Można się było o tym przekonać na jubileuszowym sympozjum w Rzymie, bo tam się odbyło przed laty pierwsze spotkanie w kręgu czterech krajów: Białorusi, Litwy, Polski, Ukrainy.

Na tym spotkaniu jak też na konferencji warszawskiej głowiliśmy się nad dwoma sprawami: przyśpieszeniem prac nad uzgadnianiem podręczników szkolnych historii, jak to było pomiędzy Polską i Niemcami, oraz kwestią popularyzacji

współpracy naszych krajów. Problem nadania obopólnym stosunkom szerokiej bazy społecznej przy udziale rozmaitych instytucji, środków masowego przekazu, wymiany fachowców i studentów stał się rzeczą podstawową. Bez takiego procesu zbliżenie pomiędzy obydwoma narodami pozostanie nie spełnionym postulatem. Sprawa jest tym bardziej paląca, że zmiana warty w Belwederze może spowodować komplikacje. Za Wałęsy, wbrew jego zapowiedziom, współpraca pozostawała w sferze planów i obietnic. Przyczyniała się do tego również strona ukraińska nie posiadająca po dziś dzień jasnej koncepcji i odpowiedniej kadry fachowców. Sprawy polskie nad Dnieprem są nie mniej, a może nawet jeszcze bardziej, zaniedbane jak nad Wisłą.

Kijów spoziera teraz z ciekawością i niepokojem w kierunku Warszawy, przemyślając jakie warianty będą możliwe przy nowym prezydencie Polski. Poglądów Kwaśniewskiego w tej materii nikt wśród Ukraińców nie zna, a kwestia polityki wschodniej w kampanii wyborczej odgrywała drugorzędną rolę, zaś stosunki z Ukrainą – żadnej. Mimo to politycy ukraińscy reprezentują umiarkowany optymizm. Opiera się o głównie na wypowiedzi Kwaśniewskiego udzielonej jeszcze przed wyborami dyplomacie ukraińskiemu Bohdanowi Sokółowskiemu podczas konferencji w socjaldemokratycznej niemieckiej fundacji imieniem Friedricha Eberta w Bonn. Wówczas to, jeszcze kandydat na urząd prezydencki, oświadczył, że stan stosunków polsko-ukraińskich jest niezadawalający i że winny one ulec wszechstronnej rozbudowie. Dodał, też, że niedawne wizyty działaczy polskich w Kijowie i ukraińskich w Warszawie nie wiele w tej kwestii zmieniły. Dodatkowym argumentem dla optymistycznych prognoz na przyszłość są deklaracje Aleksandra Kwaśniewskiego składane podczas kampanii wyborczej, że w razie jego zwycięstwa będzie się starał, aby integracja Polski z Zachodem nie spowodowała odcięcia Ukrainy, Białorusi i Rosji od Europy. Zadaniem zwolenników przyspieszenia i pogłębienia współpracy polsko-ukraińskiej w ramach istniejących organizacji politycznych i w opinii publicznej będzie przypomnianie nowemu prezydentowi wspomnianych poglądów.

Wewnątrz kraju – trudniej

Ukraina wciąż jeszcze nie posiada nowej konstytucji. Do niedawna posługiwała się przepisami z okresu Breżniewszczyzny, obwieszonymi tyłoma uzupełnieniami, że na dobre nikt się w tym gąszczu nie orientował. Krawczuk otrzymał od parlamentu rozległe upoważnienia, tak że system rządów zaczął się upodabniać coraz bardziej do prezydialnych. Kuczma przejął w schedzie po swym poprzedniku większość przywilejów. Pragnął na tej bazie do czasu uchwalenia nowej konstytucji wprowadzić wachlarz radykalnych reform gospodarczych i administracyjnych, aby wyciągnąć państwo z chaosu i marazmu. Zwolnił nieudolnego premiera Masoła i powołał na nowego szefa rządu energicznego Jewhena Marczuka, który przedtem stał na czele ukraińskiej Bezpieki. Między prezydentem i premierem panuje harmonia. Obydwaj są pragmatykami i wiedzą, że kraj można wyprowadzić z kryzysu tylko szlakiem likwidacji zmurszałego gmachu biurokratycznego socjalizmu. Rząd tam składa się w większości z technokratów i pragmatyków, przeważnie inżynierów, a więc nie zawodowych polityków. Jest to z jednej strony dobre, bo pozwala na wysuwanie koncepcji i pobieranie decyzji nie obciążonych względami doktrynalnymi, a złe, gdyż takiej administracji brakuje wrażliwości społecznej i często prowadzi do arogancji i braku więzi z opinią obywatelską. Nie jest to też rząd typu koalicyjnego, wyłoniony z układów partyjnych istniejących w parlamencie, lecz wciąż jeszcze dość dziwna emanacja nazywana w politycznym wokabularzu ukraińskim „partią władzy”, nie poddająca się kontroli i odpowiedzialności, wytworzonych i funkcjonujących w normalnych systemach demokracji parlamentarnej. Sprawa ta związana jest ze specyficzną strukturą parlamentu czyli Najwyższej Rady, liczącej nominalnie 450 posłów a faktycznie niewiele ponad czterystu, gdyż na skutek skomplikowanej ordynacji wyborczej i wielu dodatkowych elekcji nie można było osiągnąć pełnego składu w tym jednoizbowym zgromadzeniu. Ponieważ weszło doń wielu przedstawicieli bezpartyjnych, obranych nie z list partii politycznych, a z ramienia rozmaitych inicjatyw wyborczych, struktura jest bardzo pstra z lekką

przewagą obozu lewicowego, złożonego z przedstawicieli komunistycznych, socjalistycznych i kolektywistyczno-agrarnych. Obóz ten, chociaż niezupełnie zwarty wewnętrznie, od początku usiłuje zablokować reformy gospodarki rynkowej. Broni też do upadłego systemu gospodarki zespołowej na wsi, czyli władzy dyrektorów kołchozów, i przeciwstawia się powszechnej prywatyzacji przemysłu i handlu. Natomiast obóz demokratycznych deputowanych znajduje się w mniejszości i jest jeszcze mniej skonsolidowany niż lewica. Zresztą formujące się frakcje, oparte nie na jasnych programach, a raczej na dość luźnych aktach porozumiewawczych, znajdują się stale w stanie płynnym.

Nie daje to ani prezydentowi ani premierowi możliwości do oparcia swej polityki na większości w parlamencie i prowadzi w konsekwencji do permanentnych kontrowersji pomiędzy egzekutywą i legislatywą. W ukraińskiej odmianie „wojny na górze” doszło na wiosnę do ostrego przesilenia, gdyż prezydent Kuczma postanowił zadekretować bez zgody parlamentu, ale w oparciu o powszechny plebiscyt, Małą Konstytucję, opartą prawie dosłownie na polskich wzorach. Na to przewodniczący Rady Najwyższej, Ołeksander Moroz, zarazem przywódca lewicowych socjalistów, podniósł rękawicę i zagroził Kuczmie obaleniem za naruszenie przepisów obowiązującej Konstytucji. Zarysował się więc kapitalny konflikt pomiędzy dwoma filarami władzy, trudny do rozstrzygnięcia z powodu brakującego wciąż jeszcze Trybunału Konstytucyjnego.

Drogą zakulisowych pośrednictw i przetargów na początku czerwca udało się znaleźć kompromisowe rozwiązanie w postaci Układu Konstytucyjnego pomiędzy prezydentem i parlamentem. Zachowano w nim podstawowe przepisy Małej Konstytucji ale wprowadzono też postanowienia regulujące współuczestnictwo parlamentu. Odtąd porozumienie to stanowi fundament działalności wszystkich agend prezydenckich, rządowych i parlamentarnych, lecz brak w tym systemie nadrzędnego czynnika w postaci niezależnego sądownictwa. Napięte stosunki między władzą a zgromadzeniem poselskim uległy wyraźnej poprawie, ale pełnej normalizacji nie udało się osiągnąć. Podjęto natomiast na nowo prace nad projektem przyszłej konstytucji.

I choć partie lewicowe i ich związki zawodowe groziły

„gorącą jesienią” przeciwko reformom i zubożeniu społeczeństwa, do wybuchu protestów społecznych nie doszło. Leonid Kuczma korzysta jeszcze z kapitału względnej popularności i zaufania, nigdzie nie wyłonił się dotąd polityk, który byłby w stanie zaoferować społeczeństwu alternatywne rozwiązania. Osiągniętą w ten sposób względną równowagę polityczną na wewnątrz nadszczerbiły trochę dwie sprawy: konflikt władzy z częścią duchowieństwa i laikatu prawosławnego spod znaku Autokefalicznego Kościoła – Patriarchatu Kijowskiego, jednej z trzech odnóg rozszarzonej Cerkwi, i napięcie w stosunkach z inteligencją twórczą, która pod koniec roku wystąpiła z ważkimi oskarżeniami pod adresem władzy, iż ta rzekomo toleruje odejście od zapoczątkowanego procesu ukrajinizacji, a nawet przytakuje nowej fali re-rusyfikacji. I choć obydwie konflikty są rozmaitego autoramentu i kalibru, mają mimo to wspólny mianownik, bo odzwierciedlają niezadowolenie pewnych warstw społeczeństwa z powodu na wskroś neutralnego stosunku naczelnych władz państwowych do kwestii religijnych i patriotyczno-narodowych. Kijowska gałąź prawosławia tęskni do symbiozy z państwem a intelektualści zwłaszcza pisarze, poeci i artyści, nie ukrywają swojego pogardliwie. Ongiś prześladowani a jednocześnie hołubieni „inżynierowie dusz” nie mogą się pogodzić ze zmianą epoki. Z rzewnością wspominają opiekę ze strony bliskiego im prezydenta Krawczuka, bo byłego ideologa partii, i z odrazą obserwują obojętność wobec nich jego następcy Kuczmy, byłego producenta rakiet międzykontynentalnych. W konfliktach tych przejawia się też rozdźwięk dwóch cywilizacji: archaicznej, wiejskiej z jednej strony i nowoczesnej, miejskiej z drugiej. Jest to również nieporozumienie pomiędzy państwem świeckim i technokratycznym, a światem konfesjonalnym i przed-przemysłowym.

Ale te napięcia mają jeszcze głębsze podłoże. Dzisiejsza władza ukraińska cierpi na poważne delegiwości w sensie własnej identyfikacji historycznej. Jej genealogia jest niejasna. Nie przyznaje się ani do tradycji petlurowskiej, ukraińskiej Republiki Ludowej, ani do epoki odrodzenia podczas komunizmu narodowego w latach 20-tych; a najchętniej obchodzi jubileusze Kozaczyzny, co ma wątpliwy wpływ na współ-

czesne procesy demokratyzacji. Powoduje to wątpliwości i irytację. Ponadto rządy technokratyczne, złożone w większości z przedstawicieli zawodów, które siłą swych profesji miały powiązania ogólnosowieckie, a więc ponadnarodowe, nie widzą potrzeby nadmiernego akcentowania pierwiastków i postaw patriotycznych. W ich – zresztą jak najbardziej słusznym odczuciu – Ukraina jest państwem wielonarodowym a więc i multikulturowym, a nie mono-etycznym i jednojęzykowym. Są ukraińskimi państwowcami a jednocześnie internacjonalistami w dobrym tego słowa znaczeniu.

Bohdan OSADCZUK

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Kronika kulturalna

Dziedzictwo leftyzmu

Wiele półek bibliotecznych zapełnić można książkami pisanymi przez eks-komunistów, czy to pisarzy, intelektualistów i filozofów, jak Silone, Koestler, Souvarine, Lefèvre, Morin, Kriegel, Daix, Desanti, czy to niedysyjszych aparatczyków i przywódców partyjnych, jak Ruth Fischer, Marty, Tillon, Dżilas, Wolfgang Leonhard, by kilku tylko wymienić (na boku zostawiając liczne opowieści szpiegów). Niektóre z tych książek mają charakter autobiograficzny, inne są rozprawami analitycznymi lub historycznymi, ale we wszystkich autorzy usiłowali wyjaśnić i zrozumieć zjawisko komunizmu, a także zrozumieć i uporać się z własną swoją przeszłością i zaangażowaniem. Książki te są ważną częścią politycznego życia naszego stulecia. Często cytowana przepowiednia Ignazio Silone, wedle której o przyszłości zadecyduje w końcu walka między komunistami i eks-komunistami mogła być przesadna, było w niej jednakowoż ziarno prawdy: eks-komuniści odegrali wielką rolę w ruinie komunizmu.

Trudno byłoby jednak mówić o książkach tego rodzaju pisanych przez europejskich lub amerykańskich leftystów, czyli książkach, które by wyjaśniały i analizowały w kategoriach historycznych lub psychologicznych tychże leftystów własne źle pomieszczone zaangażowania, fałszywe wierzenia, znikąd wzięte nadzieje. Wydaje się, że ci ludzie z jednego kibicostwa przeskakiwali do drugiego bez wyjaśnień i bez zastanowienia nad przeszłością. Związek Sowiecki już niedobry? Ale mamy oto chwałę nowego socjalizmu, co się w Chinach buduje i nieśmiertelne myśli przewodniczącego Mao. Z Chinami też coś nie całkiem w porządku? Mamy

jednak Kubę, wielką nadzieję ludów walczących z imperialistycznym smokiem. Fidel też już niezupełnie bezgrzeszny? Szukajmy czego innego. Mało co innego wszelako można było znaleźć, przynajmniej w pozytywnym sensie; zdarzali się wśród intelektualistów-leftystów wielbicieli Pol-Pota i Chomeiniego – nie masz dna głupocie – ale, przyznać trzeba, tylko nieliczni. Tak to trwało nie kończące się poszukiwanie dobrej szlachetnej sprawy, a kiedy dobrą sprawę trzeba było z jakichkolwiek powodów porzucić, zapomnijmy o tym, nowa sprawa się znajdzie. Były, oczywiście, przez cały czas prawdziwe słuszne sprawy negatywne, ale, jakby się wydawało, coraz ich mniej: Hiszpania frankistowska (skreślić), Portugalia Salazara (skreślić), Chile Pinocheta (skreślić), *apartheid* w Afryce południowej (skreślić). Najgorsze tyranie afrykańskie bywały wspomniane tylko w tym stopniu, w jakim można było, jakkolwiek bezpodstawnie, zwać winę za ich istnienie na zachodnie demokracje.

I dlaczegoż to komuniści tak uporczywie starali się badać komunizm i własne swoje w nim uwikłanie, podczas gdy całkiem nie ma tego zwyczaju wśród leftystów? Komunizm był sprawą na serio, a komuniści oddani sprawie byli też ludźmi na serio wiedzieli o co chodzi, brali udział w realnej polityce władzy w światowej skali. Często oczywiście kłamali, ale zazwyczaj zachowywali w kłamaniu jasną głowę. Czuli się osobiście odpowiedzialni za bezosobową Wielką Sprawę; leftyści uprawiali zaangażowanie cerebralne bez odpowiedzialności. Przywódcy komunistyczni, jak się zdaje, nie darzyli swoich postępowych pomocników szczególnym respektem; schlebiali im i korzystali z nich, z pewnością, ale nie brali ich całkiem na serio i ze słusznych powodów. Komuniści to były jastrzębie, leftyści zaś raczej poirytowane motyle. To był, być może, powód, dla którego komuniści, gdy porzucali swoją wiarę i swoje partie, by przejść do szeregów socjal-demokratów czy liberałów albo politykę całkiem opuścić, rzadko tylko, lub na krótko, przyłączali się do leftystów.

Niemal każda sprawa, również słuszna sprawa, może dać świadectwo tej wygodnej nieodpowiedzialności leftystów. Były na pewno poważne polityczne, moralne i militarne powody, by Stany Zjednoczone wycofały swoje wojska z Wietnamu i mało kto dzisiaj nie uznaje okropnych „pomy-

łek” popełnionych w toku wojny: jednakże Wielki Powód, który najbardziej systematycznie i najbardziej hałaśliwie był przywoływany, nie istniał nigdy: była to mianowicie wiara, że gdy Wietnam Północny wygra, Południowy Wietnam zostanie „wyzwolony”. Jakkolwiek brutalny i skorumpowany mógł być reżym południowo-wietnamski, nie trzeba było być jasnowidzem, by wiedzieć, że jego następcy komunistyczni przyniosą ludowi wietnamskiemu nieporównanie gorsze nieszczęścia i cierpienia. Czy leftyści lat 1970-tych nie wiedzieli czym był stalinizm azjatycki? Większość zapewne w rzeczy samej nie wiedziała, nie była to jednak ignorancja wybaczalna; woleli nie widzieć. I gdzie są książki pisane przez leftystów lub byłych leftystów, gdzie te doświadczenia bez kłamstwa się analizuje? Nie mogę twierdzić z pewnością, że ich nie ma, ale nigdy nie zdarzyło mi się takiej analizy oglądać. Chiński „wielki skok” wyprodukował wiele milionów trupów, a „wielka rewolucja kulturalna” dodała nowe miliony; czy byli wielbicieli Wielkiego Przewodniczącego przedstawili własne badania okropności, których nie zauważali, czy też udawali, że nie zauważają? A cóż z entuzjastami wielkiego ciemieży z Kuby? Również w tych sprawach o żadnych takich analizach nie słyszałem, gotów jednak jestem przynąć się do błędu, jeśli się mylę. Postępowi ludzie, gdy ich się konfrontowało z dowodami pokazującymi, że popierają reżymy oparte na niewolnictwie, torturach i masowych mordach, zwykli na ogół odpowiadać „fabrykacja CIA!”; później zaś, gdy dowody były nawet dla nich zbyt przekonujące, zapominali po prostu o całej sprawie.

Pamiętamy czasy, nie całkiem niedawne, to prawda, ale też nie bardzo odległe, kiedy to, jeśli powiedziałeś, że są obozy koncentracyjne w Związku Sowieckim, usłyszałeś automatycznie „zwolennik zimnej wojny!” Skoro zaś zwolennik zimnej wojny z definicji nie miał racji, wynikało stąd logicznie, że nie ma obozów koncentracyjnych w Związku Sowieckim. Później gloria Związku Sowieckiego zbladła, nowe światła się pojawiły, a na każdym etapie widzieliśmy to samo: uwielbiaj despotów, a potem uciekaj i zapominaj.

Była jednak jedna Wielka Sprawa, która trwała niemal nietknięta przez wszystkie dziesięciolecia mentalności leftystycznej, a była to pogarda dla krajów demokratycznych.

Zaangażowania się zmieniały, ale jeśli było coś stałego w polityce leftystycznej to było to właśnie: kiedykolwiek dochodziło do konfliktu między krajem tyrańskim i demokratycznym, tyrani mieli rację a demokracja nie miała; USA przeciwko Związkowi Sowieckiemu, USA przeciwko Kubie, Izrael przeciwko Syrii, a nawet Argentyna pod dyktaturą wojskową przeciwko Wielkiej Brytanii. W tym celu nie trzeba było twierdzić, że ten lub ów tyrański reżym jest największą chwałą ludzkości; tak się po prostu zdarzyło, że w każdym konflikcie z demokracją tyrani mieli rację.

Jest to uwaga na marginesie książki Tony Judta *Past Imperfet. French Intellectuals 1944-1956* (University of California Press 1992). Zajmuje się ona okresem wcześniejszym niż ten, o którym właśnie była mowa, ale główne ramy są podobne. Jakoż Francja tych lat była najważniejszym źródłem gosyzmu, który miał później rozlać się po całym świecie zachodnim. Moja żona czytała tę książkę przede mną i powiedziała: „popatrz, musieliśmy pełno tych rzeczy czytać w latach 50-tych i wtedy nie wydawało się to niczym nadzwyczajnym. Kiedy się dziś to czyta, wierzyć się nie chce”.

Książka ma za główny przedmiot nie komunistów i nie liberałów czy konserwatystów, ale właśnie goszystów, a ma na celu nie po prostu opisanie masy dawno zapomnianych absurdów, ale zrozumienie ich i wyjaśnienia na tle historii francuskiej podczas drugiej wojny światowej i wcześniej. Francuskie reakcje na polityczne procesy pokazowe w Europie Wschodniej są szczególnie uważnie dyskutowane. Obok najważniejszych ludzi jak Sartre i, po stronie katolickiej, Mounier, mnóstwo mniej lub bardziej znanych pisarzy i intelektualistów występuje na stronach tej interesującej rozprawy.

Trzecia Republika, jej polityczni przywódcy i burżuazja byli, powiada Judt, przedmiotem ataku w latach 30-tych zarówno ze strony lewicy, jak prawicy maurrasowskiej, przy czym oba te ruchy miały niektóre bożyszczą przeszłości wspólne, jak Proudhon lub Péguy. Okropności pierwszej wojny światowej były jeszcze stosunkowo świeże i w pamięci i bezwarunkowy pacyfizm był silny, chociaż atrakcyjna siła komunizmu była skromna, przynajmniej w porównaniu z latami po drugiej wojnie. Trzecia Republika tak czy owak

uchodziła za coś, co się do naprawy nie nadaje i ani lewicowi, ani prawicowi krytycy nie żałowali jej zgonu. „Wystąpienie w tym wczesnym stadium przeciwko Pétainowi wymagało nie tylko znacznej zdolności przewidywania, nie mówiąc o odwadze; oznaczałoby także gotowość do obrony, chociaż w zmienionej nieco formie, tych właśnie wartości, z jakimi kojarzyła się uśmiercona Republika” (str. 25). Przez pewien czas nadzieja – którą później trudno było pojąć – odrodzenia narodowego na gruzach zdyskredytowanej demokracji była na lewicy pospolita. Złudzenia te długo nie żyły, a zastąpił je inny i jeszcze bardziej krótki miraż Francji, która po wojnie w duchu jedności społecznej pracować będzie dla postępu i sprawiedliwości. Gloria gigantycznego wysiłku wojennego Związku Sowieckiego przyczyniła się ogromnie, rzecz jasna, do znaczenia komunizmu francuskiego. W oczach niekomunistycznych leftystów jak Sartre „rewolucja” stała się, pisze Judt, „imperatywem kategoriycznym”, „wymogiem egzystencjalnym *a priori*”; był to jednakże pusty slogan, wyzuty z treści i nie podparty żadną analizą. Wyzwolenie rychło przyniosło gorzkie rozczarowanie, wojenny ruch oporu nieuchronnie przerósł w legendę, niebywale rozdęte historie bohaterskiej niedawnej przeszłości były, oczywiście, mile widziane; nikt nie był zainteresowany w tym, by mówić o masowej kolaboracji z nazistami. Wiele lat minęło zanim niektórzy ludzie ośmielili się wypowiedzieć prawdę, która zresztą znana była wszystkim, ale wygodnie zapomniana. Teraz antyamerykanizm ukazywał się jako naturalna kontynuacja antynazistowskiego ruchu oporu i wielu intelektualistów chroniło się z ochotą pod osłonę tego bezpiecznego i wygodnego heroizmu.

Mała dygresja jest tu może na miejscu. Ludzie, którzy – jak piszący niniejsze – przeżyli okupację niemiecką w Polsce, czytali potem francuskie pamiętniki z tych lat nieco jak bajki; tamci ludzie oglądali i dyskutowali spektakle teatralne, bez zahamowań publikowali książki i pisma cenzurowane przez Niemców, dawali sobie nagrody literackie; istniały szkoły średnie i uniwersytety; życie było z pewnością uboższe, ale ciągłość życia nie została zerwana.

Po wojnie ci, którzy byli pétainistami, przez czas krótszy zajęli się potępianiem wśród świętoszkowatej furii tych, co

marszałka porzucili nieco później; były też oczywiście przypadki prawdziwie obrzydliwej kolaboracji; ale nawet Brasillach, powiada Judt, w końcu skazany został na śmierć za swoje odrażające opinie.

Wszystko we francuskim życiu intelektualnym, zarówno podczas wojny jak później, roło się od dwuznaczności. Tak zapewne jest w bardzo wielu sytuacjach politycznych, nie zawsze jednak używa się tych dwuznaczności jako filozoficznego narzędzia, które ma uzasadniać szczególne wybory polityczne. Merleau-Ponty, który analizie dwuznaczności wiele uwagi poświęcił, uniknął przecież najgorszego, ci zaś, którzy wśród dwuznaczności zachowali jasność umysłu i przyzwoistość, jak Mauriac i Aron, byli do tego zdolni dlatego, że trzymali się zwykłego odróżnienia między dobrem a złem (nie zaś między tym, co politycznie „słuszne” albo „niesłuszne”). Sartre wiele uczynił, aby to odróżnienie pozbawić sensu. Przypadek grupy Mouniera i jej samoosłepienia był może bardziej niepokojący z racji jej chrześcijańskiego rodowodu. Oświadczała ona, że nie ma co potępiać „ekscesów” stalinizmu, bo demokracja też niewinna nie jest, albo wręcz aprobowali sądowe morderstwa polityczne w Europie Wschodniej jako nieuchronne koszty na drodze ku królestwu sprawiedliwości.

Inaczej niż komuniści, którzy po prostu przeczyli wszystkiemu, co było wiadome o okropnościach „realnie istniejącego socjalizmu” (ten termin jeszcze nie był w obiegu), kibice leftystyczni w niejaki stopniu przyjmowali do wiadomości fakty i usprawiedliwiali je przez odniesienie do historycznego sensu stalinizmu, łącznie z jego najgorszymi cechami; zapewniali swoich czytelników, że socjalizm rośnie mimo niejaki ekscesów. Jedni oczerniali ofiary pokazowych procesów, inni ze smutkiem wskazywali na szkody, jakie te procesy wyrządzają reputacji krajów socjalistycznych. Nawet ci, których ten pokaz okrucieństwa wprawiał w zakłopotanie wierzyli jednak, że żadna inna opcja nie istnieje, lecz trzeba popierać komunizm na Wschodzie i jego zachodnie forpocztę (antysemityzm, który tak się ujawnił w ostatnim okresie stalinizmu w Związku Sowieckim i Czechosłowacji, nie był w ogóle wspominany; Izrael natomiast był jadowicie atakowany jako narzędzie imperializmu). Cokolwiek czynili wo-

dzowie krajów komunistycznych, byli oni przecież na lewicy, a więc przyjaciółmi. Oburzenie moralne zastrzeżone było dla Hiszpanii albo dla skolonizowanego Algeru, to znaczy dla zbrodni popełnionych przez „kapitalizm” jako taki. W najlepszym wypadku niektórzy (lecz nieliczni) leftyści potępiali okrucieństwa komunizmu, ponieważ w ich oczach nie był to już komunizm, ale tenże kapitalizm odbudowany. Strategie defensywne były więc rozmaite, zawsze jednak był sposób, aby bronić i chwalić „kraj wielkiego kłamstwa” (tytuł książki Ciligi), jeśli była wola wiary. Komunizm okazał się nadzwyczaj sprawny w narzucaniu intelektualistom przekonania o konieczności globalnych i niepodzielnych wyborów: albo jesteś za sprawiedliwością i socjalizmem, wtedy zaś musisz wspierać Związek Sowiecki bezwarunkowo, albo jesteś po stronie kapitalistycznych wyzyskiwaczy i ciemniwców. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się trudne do uwierzenia, że ten prostacki i kłamliwy obraz świata mogli z taką łatwością przełykać ludzie, którzy chlubili się swoją głęboką edukacją filozoficzną i w rzeczy samej pobierali nauki w Ecole Normale lub na Sorbonie.

Nie ma co jednakże wydziwiać nad ludzkim zaślepieniem lub niegodziwością (którekolwiek z tych słów lepiej w jakimś wypadku pasuje). Historia intelektualistów schlebiających despotom była zjawiskiem dobrze znanym nim się komunizm pojawił, ale względnie masowe poparcie, jakie dali oni tyranii komunistycznej wymaga szczegółowszych wyjaśnień. Były oczywiście rozmaite czynniki charakteriologiczne i różne okoliczności kulturalne: nienawiść do burżuazyjnego środowiska, które w przypadku znacznej większości intelektualistów francuskich było ich własnym; utajona duma narodowa i zawiść wyrażane w wojującym antyamerykanizmie; przekonanie (nie całkiem irracjonalne) o rychłym zwycięstwie komunizmu w Europie i pragnienie, by znaleźć się po zwycięskiej stronie; wszystkie formy ideologiczne zaślepienia; podziw dla siły i przemocy, tak częsty wśród intelektualistów, którzy byli nieudanymi liderami politycznymi; prawdziwa wola, choć źle ulokowana, wspierania sprawy wyzyskiwanych. Zawsze jednak coś do wyjaśnienia pozostaje. Leftyzm lat 40-tych i 50-tych był dodatkiem, opakowanym w swoisty język kultury francuskiej (i wyrażającym może samobójczy impuls Zachod-

du) do światowego zjawiska komunizmu. Komunizm zaś nie da się wyjaśnić niegodziwymi intencjami jednostek. Mimo i wobec wszystkiego, co o nim wiemy, oczekuje on nadal wyjaśnienia w kategoriach historycznych. Rewolucja bolszewicka mogła być – i sędzę, że była istotnie – przypadkiem, ale fakt, że utrwałała się i jęła się rozprzestrzeniać jak rakowata tkanka, nadal jest intrygujący. Antologia wszystkich absurdów kiedykolwiek wypowiedzianych przez Sartre'a lub Mouniera wydaje się nieskończona i jest dzisiaj lekturą na pół przerażającą, na pół zabawną. Judt w ostatnich rozdziałach książki dobrze odtwarza szczególną francuską tradycję intelektualną na tle groteskowej frazeologii leftyzmu; jest mniej przekonujący, gdy podkreśla, że ta tradycja jest nadal całkiem żywotna, z marksizmem czy bez niego. Kierują nim najwidoczniej jakieś antyfrancuskie uprzedzenia. Nie można go ganić za to, że nie usiłuje wyjaśnić całego zjawiska komunizmu. Być może, że jest za wcześnie.

Leszek KOŁAKOWSKI

Artykułik nieniejszy był dawno temu zamówiony przez pismo amerykańskie *The New Republic*, które go jednak nigdy nie zamieściło. Ukazał się w końcu w piśmie *Balkan Forum* wydawanym w Skopje w Macedonii.

Stefan Kisielewski o „Stalińskim”

Porządkując niedawno stare szpargały natknąłem się na taśmę magnetofonową z nagraniem rozmowy ze Stefanem Kisielewskim w Paryżu 7 września 1985 r., o której to taśmie prawie już zapominałem. Nagranie to nie było „wywiadem” przeznaczonym do publikacji, tylko rodzajem notatek do referatu o pięciu jego powieściach wydanych pod pseudonimem

„Tomasz Staliński”, nad którym wówczas pracowałem i który następnie wygłosiłem na III Międzynarodowym Kongresie Badań nad Sowietami i Europą Wschodnią w Waszyngtonie, w listopadzie 1985. (Tekst tego referatu ukazał się później jako artykuł pt. „Literature and Politics: The Novels of Tomasz Staliński” w *The Modern Language Review*, 82.2 [1987], pp. 415-23; wspominam o nim dlatego, że jest to pierwsze – i jak dotąd zdaje się jedyne – obcojęzyczne opracowanie tego tematu i ta wzmianka bibliograficzna może się przydać komuś piszącemu o twórczości literackiej Kisielewskiego). Oczywiście zasadniczy materiał referatu stanowiły same teksty tych powieści wydanych przez Instytut Literacki w Paryżu (dla przypomnienia: „Widziane z góry”, 1967; „Cienie w pieczarze”, 1971; „Romans zimowy”, 1972; „Śledztwo”, 1974; „Ludzie w akwarium”, 1976), a nie komentarze ich autora, ale rozmowa z nim okazała się nader użyteczna. Poszedłem tu za radą Gombrowicza, który napisał gdzieś w „Dzienniku”, że krytycy zamiast łamać sobie głowę na temat „co autor miał na myśli” winni spytać go o to wprost (telefonicznie lub w kawiarni), o ile jest to fizycznie możliwe. W tym wypadku było to możliwe: pp. Kisielewscy byli właśnie w Paryżu, więc poprosiłem autora „Sprzysiężenia”, którego znałem jeszcze z lat 60-tych z Krakowa o udzielenie mi trochę czasu i pojechałem do Paryża z notesem i podręcznym magnetofonem. W ten sposób powstało nagranie, które tu publikuję – w dziesięć lat po rozmowie i cztery lata po śmierci Rozmówcy.

Tekst ten nie zawiera szczególnych rewelacji, zwłaszcza po licznych późniejszych wypowiedziach i publikacjach Kisielewskiego (podobny materiał anegdotyczny występuje w jego – wówczas jeszcze niewydanej – powieści „Wszystko inaczej” [Londyn, Puls 1986] i „Abecadłe Kisiela” [Warszawa, Oficyna Wydawnicza 1990]), ale wydaje się wart utrwalenia chociażby z uwagi na niepowtarzalny styl. Ponieważ nie mogę już niestety poddać tekstu autoryzacji, starałem się zachować jak najściślej każdą frazę i sformułowanie Kisielewskiego, włączając w to kolokwializmy i powtórzenia. Skróciłem natomiast i niekiedy uprościłem własne uwagi i pytania, ponieważ ich zadaniem było tylko podtrzymywanie i stymulowanie wypowiedzi nieodżałowanego „Stalińskiego”. I jeszcze dodatko-

wa informacja: wzmianki Kisielewskiego o moich recenzjach jego powieści dotyczą tekstów, jakie ukazywały się w *Kulturze* pod pseudonimem „Maciej Broński”.

Spisując rozmowę z taśmy, musiałem ją przesłuchać wielokrotnie, bo nagranie nie jest najlepsze. Słuchając jego głosu miałem chwilami wrażenie, że Stefan Kisielewski jest jeszcze wśród nas. Mam nadzieję, że podobne wrażenie będą też mieli ci czytelnicy, którzy go znali osobiście. Dla tych zaś, którzy go nie znali, niechaj tekst ten będzie przynajmniej jednym z dokumentów jakie zachowały się po tym niezwykłym człowieku.

Bruksela, lipiec 1995

W.S.

WOJCIECH SKALMOWSKI: – *Zacznijmy tę rozmowę od „Widzianego z góry” – pierwszej powieści „Stalińskiego”. Różne szczegóły w niej wskazują, że usytuowana jest w roku 1963.*

STEFAN KISIELEWSKI: – Tak, ale tak ogólnie w okresie gomułkowskim, w pewnym trwaniu... Myślę, że od początku lat 60.

W. S.: – *Ja sobie wyliczyłem, że to dokładnie rok 1963.*

S. K.: – Tak, ja zacząłem to pisać w 63-cim w Zakopanem, w styczniu bodaj... Poza tym dokładnie można sprawdzić kiedy [Artur] Starewicz [pierwotny bohater powieści, Borowicz] został sekretarzem KC [partii]*.

W. S.: – *Czy nie umieścilesz go wyżej, w Politbiurze?*

S. K.: – Nie, [napisałem], że zostaje sekretarzem KC. Obok Politbiura sekretariat jest najważniejszy.

* Starewicz został sekretarzem KC w 1963 r., informacja o zaczęciu pracy nad „Widzianym” jest więc nieścisła – Kisielewski zaczął tę powieść zapewne w styczniu 1964 r., albo w grudniu 1963.

W. S.: – *Czy akcja tej powieści jest wzięta z rzeczywistości, czy zmyślona?*

S. K.: – To, że on miał wylecieć, to fakt; i że był atakowany. Tam zresztą są takie aluzje do Moczara, do innych postaci... Ale akcja jest wymyślona raczej, na jego tle.

W. S.: – *Jaki był główny cel tej powieści – opis partyjnego środowiska?*

S. K.: – Rzeczywiście, chciałem je opisać. W ogóle ja mam taką manię, że chcę opisać komunizm. Bo z komunizmem to jest tak, że nikt się do niego nie przyznaje. Komuniści mówią, że to co jest w tej chwili, to jest przejściowy okres, nie należy o nim mówić prawdy, bo to nie o tę chodzi. A wrogowie, przeciwnicy, mówią, że też nie ma o czym mówić, bo to powinno zniknąć. A ja uważam, że to jest pewien etap rzeczywistości, który mało kto opisał właściwie, z różnych powodów... No, i jakoś postanowiłem to zrobić. Ja ci muszę powiedzieć szerzej... jako tło psychiczne... [że] właściwie ciągle mi się coś nie udawało. Przed wojną chciałem być kompozytorem [i] jednocześnie publicystą politycznym. W czasie okupacji straciłem kompozycję: po wojnie publicystyka polityczna się zaczęła, ale szybko cenzura to przekreśliła. potem zostałem felietonistą, to znowu właściwie się zawaliło...

W. S.: – *Jak to „zawaliło”? Byłeś słynnym Kisielem z Tygodnika Powszechnego...*

S. K.: – Tak, ale cenzura tak na to wpływała, że właściwie wypływało to samo [z sytuacji], nie tak jak chciałem. Wreszcie w 1963 r. powiedziałem sobie: wreszcie zrobię to co chcę, nie oglądając się na nic; spróbuję opisać komunizm, który mnie otacza, który jest ciekawy, i [który] widziałem w sejmie zwłaszcza, z takiego dobrego punktu obserwacyjnego.

W. S.: – *Czas, który opisujesz jest też późniejszy niż twoje „postowanie”. Czy nic się od tamtego okresu nie zmieniło?*

S. K.: – W „Widzianym” jest i późniejszy i wcześniejszy okres. Czy nic się nie zmieniło? No, więc myślę, że to co mnie ciekawi, tzn. komunizm jako jakiś taki zakon, jako taka

masoneria, to [on] jednak ciągle trwa, zmienia się tylko skład osobowy. Mnie uderzyło to w książce Torańskiej „Oni” – to są takie rozmowy z komunistami, [książka] wyjdzie lada dzień. Do mnie przysli młodzi ludzie, którzy to czytali [w maszynopisie] i powiedzieli zdziwieni: no, jak to – to wszyscy ci, te Bermany, Ochaby i tak dalej, po Stalinie, po wszystkim – oni dalej są komunistami?! Ja powiedziałem: tak, bo to jest taki zakon, taka masoneria, która [istnieje] mimo, że wszystko mija, [że] historia ma etapy. Ale ta rzecz trwa. I właśnie mnie to zaciekało, ta sprawa: ich psychika. I chyba ten Borowicz czyli Starewicz jest przykładem. Bo on widzi wszystkie szkody, wszystkie idiotyzmy – ale on wierzy, że to historia się w ten sposób tworzy i on w tym uczestniczy. Że powinien uczestniczyć... To jest maniak swego rodzaju, ale mnie to ciekawi.

W. S.: – „Widziane” było pierwszą powieścią wydaną po polsku „nielegalnie” – za granicą, bo w Polsce nie było wtedy „samizdatu”.

S. K.: – Ja też tak myślałem początkowo, ale przecież wyszedł [wcześniej] taki dramat Zagórskiego i Andrzejewskiego w Kulturze kiedyś. Następnie Swinarski chyba też wydał [tam] jakiś dramat, jeszcze będąc w Polsce.

W. S.: – Ale to była pierwsza powieść i to drastyczna.

S. K.: – Tak, to pierwszy wypadek chyba i też był bardzo... Dochodzenie prowadzono w tej sprawie.

W. S.: – Pamiętam, że w 1967 r. byłeś kiedyś w Krakowie; spotkał się w kilka osób – głównie z redakcji Tygodnika Powszechnego – w kawiarni Hotelu Francuskiego i była tam mowa o tej książce, która właśnie się ukazała. Miałeś nawet egzemplarz ze sobą. „Oficjalnie” oczywiście nikt z nas nie znał autora. Ty powiedziałeś, że podejrzewałeś o to Putramenta. To był naturalnie żart – bo każdy kto czytał twoje inne rzeczy chyba od razu poznał styl?

S. K.: – No, nawet mi ktoś wytknął, że to wyraźne, [że] w „Sprzysiężeniu” były analogiczne zdania nawet. Prowadzono

po prostu dochodzenie, ponieważ podejrzewali, że to napisał ktoś z partii, a wtedy to byłaby rzecz groźna. Groźny jest dysydent we własnych szeregach. No, toteż kiedy doszli do wniosku, że to ja, to właściwie przestano się tym zajmować. To trwało ze dwa lata, ale w końcu doszli.

W. S.: – Po 1970 r. musieli wiedzieć na pewno, bo sam kiedyś opowiadałeś, że Kliszko ciebie na na ten temat zaczepił na ulicy.

S. K.: – A tak. Kliszko mnie zaczepił, ale to było w 1976 r. Miałem rozmowę z Kliszką w Alejach Ujazdowskich i to w obecności Schaffa – to było śmieszne – który się bardzo przeraził, bośmy się zaczęli, z Kliszką głośno bardzo klócić.

W. S.: – On już był wtedy „wyleciany”?

S. K.: – Schaff? Kliszko tak, ale Schaff nie, do dzisiaj jest.

W. S.: – Chciałem przy okazji „Widzianego” poruszyć sprawę postaci kobiecych w twoich powieściach. Tam pojawia się taka pomyłona dziewczyna, Anna... U ciebie zawsze występują zwariowane kobiety.

S. K.: – Ty nawet gdzieś napisałeś [w recenzji], że jestem mizogynista.

W. S.: – Nie masz o kobietach wysokiego mniemania.

S. K.: – No, ja bym nie uogólniał. [Tam] to jest taka postać akurat. To jest taki przypadek.

W. S.: – W pięciu powieściach „przypadek”? Ja to sformułowałem tak: twoim typem kobiecym jest histeryczna idiotka albo pajęczyca.

S. K.: – Tak, pamiętam, podobało mi się to. To mi uświadomiło – bo ja jakoś nieświadomie... Ale w „Sprzysiężeniu” była jakaś przyjemniejsza [kobieta], nie?

W. S.: – Ta narzeczona Bronka? Jakaś taka wylizana, co to dobrze gra w siatkówkę i kocha dzieci. – Nie ma u ciebie

sympatycznych i równocześnie pociągających kobiet.

S. K.: – Nie ma? No, widocznie. Ale uświadomiłeś mi to, nie wiedziałem.

W. S.: – *Drugą powieścią „Stalińskiego” były „Cienie w pieczarze”. Wspomniałeś kiedyś, że miało się to nazywać „Cienie w jaskini”.*

S. K.: – Tak. Giedroyc przekreślił, nie wiem dlaczego – bo to jest przecież z Platona, bardzo znane.

W. S.: – *Znów się przyczepię do czasu akcji. To się musi dziać w 1967 r.: twój bohater, Roman, ma w powieści 56 lat, a w którymś miejscu powiada, że pół jego życia – 28 lat – upłynęło przed wojną. A więc urodził się w 1911 r. – tak jak ty...*

S. K.: – Tak, tam jest [to] nawet bardzo dokładnie podane. Ja zacząłem to pisać chyba w 1968 r.

W. S.: – *Co chciałeś tą powieścią wyrazić? Luźną refleksję, jakby rozbudowany twój felieton?*

S. K.: – Nie. Ja piszę właściwie historię polskiej inteligencji, paru pokoleń, i chciałem dać obraz faceta, który chce być wobec siebie szczery – no, a [który] jednak żyje w tym świecie. Nie spodziewał się, że będzie żył w takim dziwnym świecie, ale jakoś w nim żyje – bardzo długo – i jak to się [w nim] przełamuje. No, a poza tym pewien snobizm tutaj podzielał: chciałem napisać taką antypowieść.

W. S.: – *Już „Sprzysiężenie” było swoistą antypowieścią – nie ma w nim ani jednego dialogu.*

S. K.: – Tak, ale „Cienie” są już zupełnie bez akcji właściwie. I w czasie „poprzenoszone”. Muszę powiedzieć, że tutaj trochę Butora książka na mnie zrobiła wrażenie – tam są takie długie opisy miasta – pamiętasz tę książkę?

W. S.: – *Nie czytałem i na pewno nie przeczytałem.*

S. K.: – Jak się to nazywało? Nie „Odmiany czasu”. Takie z

długimi opisami... I teraz [u mnie] też jest taki długi opis, to molo w Sopocie.

W. S.: – *Pałac Kultury też opisałeś „długo”.*

S. K.: – [Opisałem nawet] jak jeszcze był w budowie, wstecznie.

W. S.: – *W „Cieniach” są dwie ważne postacie – „Biała bluzeczka” i „Kazik” – o których mówisz w pewnym miejscu, że się może bohaterowi tylko zwidziały. „Bluzeczka” mogłaby być czystym „typem literackim” – ale może ma też odpowiednik rzeczywisty?*

S. K.: – No, ma pewien odpowiednik...

W. S.: – *A ten „Kazik”? Ja myślałem, że to Koźniewski.*

S. K.: – Nie. „Kazik”? – To mógłby być Koźniewski, ale rzeczywiście jest to mój kolega z wojska, to znaczy młodszy kolega z 1939 r., którego później straciłem z oczu. Który potem [po wojnie] został rektorem, zastępcą członka KC, i tak dalej. Nie widywałem się [z nim] po wojnie, ale sobie wyobraziłem siedząc z daleka jego karierę, że on mógłby tak argumentować, gdyby ze mną rozmawiał. Ale nie miało to miejsca. To jest raczej stop różnych myśli. Ale Koźniewski, to jest jeden z takich ludzi.

W. S.: – *W „Cieniach” często wspomniany jest „krytyk R.”, czyli Irzykowski.*

S. K.: – A, Irzykowski jest bardzo ważny.

W. S.: – *Czy chciałbyś powiedzieć o nim więcej – coś, czego tam nie napisałeś?*

S. K.: – Właściwie muszę powiedzieć, że on na mnie ogromne wrażenie zrobił. Znałem go od dzieciństwa – swojego, naturalnie. Napisałem zresztą o nim osobno taki esej, „O klerku heroicznym”. To bardzo osobliwy był człowiek i który przeżywał – właściwie zupełnie samotniczo – jakieś przełomy intelektualne, dramaty wewnętrzne. Sprawy świata zewnętrznego

nego, sprawy literackie, sprawy innych ludzi – to były preteksty, a on ciągle przełamywał się ze sobą.

W. S.: – *Mnie on też zafascynował i dużo go czytałem.*

S. K.: – A czytałeś te jego zapiski takie?

W. S.: – *Rodzaj dziennika? Tak, ale to wydali strasznie okrojone!*

S. K.: – A ja niestety tutaj stanąłem nie na poziomie – miałem być redaktorem tego, bo córki [Irzykowskiego] mi to zleciły. A ja akurat wtedy właśnie zostałem posłem i miałem masę zajęć. I właściwie zbyt mało na to czasu, więc odstąpiłem to Doboszowi. On to zrobił w końcu. Ale ja się zniechęciłem między innymi dlatego, że redaktorki [wydawnictwa] mnie wyniszczały; bo broniły różnych ludzi, których [Irzykowski] tam zaatakował, na przykład Słonimskiego; obszarpał tam Iwaszkiewicza... One zastosowały cenzurę: zaczęły wymagać ode mnie, żebym skreślał. No i ja w rezultacie zrezygnowałem i zajął się tym Dobosz. Po barbarzyńsku się z tym obesli...

W. S.: – *Pół książki wycięto!*

S. K.: – ...i żałuję. Ale może takie też było przeznaczenie Irzykowskiego, który mówił, że nigdy jego książki nie będą w sprzedaży, bo „nie jestem widocznie do kupienia”, prawda? I że zawsze będzie nie w pełni wypowiedziany i nie w pełni poznany. Ta jego jakaś autolegenda bardzo mnie zasugerowała w swoim czasie. A zwłaszcza to, że jego jakoś szalenie brutalnie [zwalczano]. Na przykład Słonimski uważał go za idiotę, [za] jakiegoś prowincjonalnego galicyjskiego mędrka wychowanego na kulturze niemieckiej, staroświeckiej – i ja stale uważałem, że trzeba mu oddać sprawiedliwość, że to był właśnie prekursor. A to prekursorstwo mu się nigdy nie udało. Jak [Julien] Benda przyjechał [kiedyś] do Krakowa – wiesz autor „Zdrady klerków”, o którym Irzykowski tyle pisał i uważał się za jego ucznia – ja go o to zapytałem. A on nigdy o tym nie słyszał w ogóle, o żadnym Irzykowskim – i bardzo lekceważąco to potraktował. Pomyślałem sobie, że taki los był

tego człowieka. No i to, że jego rękopisy wiatr zabrał po Powstaniu i tylko część odzyskano. Jakiś symbolizm tego podzielał mi na wyobraźnię. Bo, prawdę mówiąc, intelektualnie ja już zapominałem dużo z tego, o czym on mówił. Pamiętam jego polemikę z Witkacym, tę „Walkę o treść”, „Pałubę”... Zresztą Wyka napisał, że kontynuacją „Pałuby” było „Sprzysiężenie” – jako pewien chwyt powieściowy.

W. S.: – *Ty rzeczywiście przeczytałeś „Pałubę” przed wojną? To była wtedy bardzo trudna do zdobycia książka. Potem właśnie Wyka opracował wznowienie.*

S. K.: – Trudno powiedzieć żebym ja to „przeczytał”, bo to było trudno przeczytać. To się z dwóch części składa. Pierwszą, „Sny Marii Dunin”, lepiej się czyta, a potem już się zaczyna...

W. S.: – *Osobiście uważam drugą część za ciekawszą. A zwłaszcza ten komentarz odautorski.*

S. K.: – Tak, a w ogóle sam pomysł takiego komentarza!

W. S.: – *Ale z tym wpływem „Pałuby” na „Sprzysiężenie” i niektóre inne twoje książki to chyba rzeczywiście tak jest – nie, żebyś chciał ją naśladować, ale żeby napisać coś na tym poziomie, żeby narzucił się format...*

S. K.: – No, trochę Proust chyba wpłynął. Z tym, że ja go przeczytałem po „Sprzysiężeniu” – mówię [teraz] o „Cieniach w pieczarze”.

W. S.: – *Więc to jest taka twoja „Pałuba”?*

S. K.: – To jest taka „Pałuba”

W. S.: – *Głównym wątkiem „Cieni” jest chyba poszukiwanie normalności. Ty czy też twój bohater ciągle się zastanawiacie: co jest właściwie normalne? Uważasz, że wszystko teraz to taki dom wariatów...*

S. K.: – Tak, bo ja mam jak najgłębsze przekonanie, że od 1 września 1939 r. Polska przestała być terenem normalnym.

Stała się terenem obłądnym. Były różne źródła tego: był Hitler, był Stalin, różni ludzie dookoła powariowali... Dla mnie normalna Polska była do 1 września 1939. Mogła być nieudana – prawda – niedorzeczna, nieudaczna, biedna, dopiero powstała po rozbiorach – ale to był... to byli normalni Polacy, to był kraj normalnych problemów. Ale cóż: historia czy jakby to nazwać przyniosła jakiś obłąkańczy wiatr na tę równinę, no i w tym wietrze znaleźli się inteligenci, których młodość upłynęła w Polsce przedwojennej. No i jak oni z tego wyszli... Tutaj, muszę powiedzieć, mój ojciec był tym, który doskonale wiedział co będzie jak w Polsce nastanie komunizm. Nawet mi opowiadał... Między innymi mówił, co zrobią niektórzy ludzie, na przykład Iwaszkiewicz doskonale przepowiedział – co będzie robił Iwaszkiewicz.

W. S.: – *Twój ojciec znał komunizm z Rosji?*

S. K.: – Ojciec znał komunizm przede wszystkim stąd, że był kolegą szkolnym Karola Radka. Potem w Szwajcarii [się spotykali] – jego rodzice się [z dziadkami] dobrze znali. [Więc] ojciec zawsze mi mówił: no, Radek opowiedział mi wszystko co będzie, nic mnie już nie zaskoczy!

W. S.: – *Przecież to było jeszcze zanim Radek został bolszewickim dygnitarzem?!*

S. K.: – Ale on zawsze był taki. On był taki jak ten „Tygrys” [= Kroński] u Miłosza, pamiętasz „Tygrysa”?! Radek mojemu ojcu opowiadał takie rzeczy: że przyjdzie Historia, że to wszystko diabli wezmą, prawda, tę waszą Polskę, i zacznie się dopiero...

W. S.: – *Więc on miał raczej ponurą wizję przyszłości?*

S. K.: – Tak, ale on się tym pysznił, tą ponurością. Że on to wie wszystko, że tak będzie, tak musi być...

W. S.: – *Główny motyw przyciągający ludzi do komunizmu, nie?*

S. K.: – Tak [śmiech]. „I zobaczycie...! Wam się wydaje że nie – a właśnie tak!” Bo ja myślę, że to jest filozofia pewna,

że Stalin był rzeczywistym marksistą, który wyciąga absolutne wnioski z marksizmu: trzeba wykorzenić resztki dawnego życia, żeby móc budować nowe życie. Trzeba wykorzenić alienację starą, prawda? Wykorzenić... już tak dosłownie.

W. S.: – *Jak w Kambodży – wszystkich, którzy coś tam pamiętają, umieją?*

S. K.: – No tak. Ale jeśli czytałeś broszurę Engelsa „O pochodzeniu rodziny”, to on właśnie tam to pisze: że wszystkie te przesady dawne trzeba wykorzenić, [usunąć] razem z korzeniem.

W. S.: – *Sądziysz, że oni rzeczywiście biorą coś z Engelsa czy z Marksa? To raczej chyba taki impuls niszczenia, który rodzi się wciąż na nowo?!*

S. K.: – Nie, ja myślę, że biorą. I że do klasyków marksizmu należy i Lenin, i Stalin.

W. S.: – *To znaczy, że Marks też w tym partycypował?*

S. K.: – Nie, on sobie nie wyobrażał tego tak dosłownie. Ale Engels już sobie wyobrażał. Engels już poszedł dalej. Kołakowski zresztą też pisze o tym: że w Engelsie jest już zarodek stalinizmu.

W. S.: – *Nie jestem pewien, czy Kołakowski nie chce w ten sposób trochę wybielić Marksa.*

S. K.: – [Śmiech] A może...

W. S.: – *Przejdźmy teraz do „Romansu zimowego”. To jest powieść, o której mówiłeś kilkakrotnie, że została niedoceniona przez czytelników.*

S. K.: – Tak, właśnie tak. Niespodziewanie ją docenił Michnik, któremu się podobał opis mieszkania tego [eks-] dyplomaty. Jak on tam nazbierał te różne historyjki z Wietnamu... Że on takie mieszkania widział w Warszawie, u partyjnych, że bardzo mu to [się spodobało].

W. S.: – *Ale ta egzotyka jest też typowa dla twoich powieści: zawsze umieszczasz jakąś niespodziewaną barwną plamę na tle tej szarzysty.*

S. K.: – Ja znam takie mieszkania...

W. S.: – *Chodzi mi o to, że takie „barwne plamy” występują też w innych twoich powieściach: np. w „Przygodzie w Warszawie” jest taki niesamowity Ormianin...*

S. K.: – Tak, ale ja chciałem ci zwrócić uwagę – jeżeli jesteśmy przy „Przygodzie w Warszawie” – że ja przewidziałem, że narkotyki będą przewożone przez Warszawę. Bo wtedy jeszcze wcale nie były, to była rzadkość wówczas, i dopiero z czasem... Według danych Interpolu dziś Warszawa jest rzeczywiście takim punktem – ale ja to przewidziałem wiele lat wcześniej. I drugą rzecz tam przewidziałem: że będą ludzi zamykać do domów wariatów. Przecież jeszcze nie było tego wtedy, to był rok 1958. No więc proszę – tu się chwalę, że jestem prorokiem... niedostrzeżonym.

W. S.: – *W „Romansie zimowym” są dwa wątki: powieści produkcyjnej i właśnie tego romansu, który chyba ma pełnić jakąś funkcję, ale nie jest ona wyraźna. Ten romans się tak jakoś dziwnie kręci, dziwnie rozłazi – jakoś niepotrzebnie się to wszystko dzieje, nie?*

S. K.: – Tak, ale to jest... Prawdziwy wypadek opisałem – na to nie mam wpływu, choć wydaje się dziwny. [Śmiech]. Natomiast ta główna postać – ten inżynier – to już jest normalna postać, choć ciągle go spychają na bok.

W. S.: – *Ale ta trochę pomyłona kobieta to raczej typowa bohaterka twoich powieści.*

S. K.: – A, bo to są takie kobiety... Przeczytaj sobie o córce Stalina – ona była jakąś redaktorką w Moskwie, w jakimś wydawnictwie – to też coś takiego było. No, ale ja jestem dumny, że to jest powieść produkcyjna. Tyś coś napisał – to mi się nie podobało w twojej recenzji – że to jest taki bohater, który śpiewa „Hej ho, do pracy by się szło...”. [Przecież]

każdy człowiek chce pracować – tylko nie może, bo nie zaw-
sze [są po temu warunki].

W. S.: – *Ale ten jest jakoś szczególnie naiwny.*

S. K.: – Nie. Wielu ludzi uwierzyło w ten mit produkcyjny, w rozwój przemysłu... Nie można temu zaprzeczyć.

W. S.: – *Czy pisząc tę powieść – już trzecią w cyklu „Stalińskiego” – myślałeś o stworzeniu kontrastu wobec poprzednich, już istniejących? Bo np. w „Widzianym w Warszawie” głównym tematem jest władza – a tutaj „władzy” zupełnie nie widać...*

S. K.: – W „Romansie zimowym”? Nie widać władzy?!

W. S.: – *Nie. Czuje się ją – ale wszystko co dzieje się na zapleczu odbierane jest na zasadzie: nie wiadomo kto, o co chodzi... Marzec 1968 ukazany jest tylko jako migawka uliczna. Mnie się to zresztą podobało, bo w normalnym życiu ludzie są zazwyczaj zdezorientowani i dopiero później układa się to w całość.*

S. K.: – Więc ja ci powiem, że ja byłem pod wpływem – bo ja lubię pisać „pod coś” – pod wpływem powieści produkcyjnych amerykańskich. Przeczytałem kilka...

W. S.: – *Takich jak Upton Sinclair?*

S. K.: – Nie, zupełnie nieznanych autorów. Przeczytałem taką powieść „Antykwariat”, gdzie są wplecione szczegóły jak się pracuje w antykwariacie, jak się zbiera obrazy, jak się konserwuje, itd. I sobie pomyślałem, że w normalnym kraju „powieść produkcyjna” to nie jest nic takiego strasznego. Dlaczego u nas powstał z tego taki krwawy problem? No dlatego, że życie produkcyjne jest nienormalne, bo sterowane ideologią, w dużym stopniu. No i tu był temat narzucający się [sam przez się].

W. S.: – *Skąd wzięłeś realia do tej powieści o fabryce traktorów?*

S. K.: – To bardzo śmieszne. Ja jeździłem [z Warszawy] do Ursusa na rowerze. Tam rozmawiałem z ludźmi. Ale tam jest [też] muzeum, gdzie są podane cyfry. To muzeum ma być – teoretycznie – otwarte codziennie parę godzin. Ale ono zawsze było zamknięte; nigdy mi się nie zdarzyło, żeby było otwarte. Ale przedśmionek tylko na łańcuch był zamknięty, więc odciągałem łańcuch, wstawiałem tam głowę i spisywałem te cyfry.

W. S.: – *Nie balesz się, że cię wezmą za szpiega?*

S. K.: – Bałem się... Ktoś mnie nawet oskarżył, że to są cyfry takie właśnie „szpiegowskie” – ale one tam są w tym muzeum! Tylko nikt tego nie ogląda nigdy, bo tam nigdy żywego ducha nie ma. I dlatego też nie jest otwarte w ogóle. To jest niezwykła fabryka, Ursus, ponieważ [jest] blisko Warszawy, ale to są tylko ludzie tam zamieszkaali, którym wybudowano nowe domy. No [więc] ten [powieściowy] inżynier, który dojeżdża z Warszawy, to raczej rzadkość – bo Ursus to jest taka mała społeczność.

W. S.: – *Następną powieścią „Stalińskiego” było „Śledztwo” – o wypadkach na Wybrzeżu, w grudniu 1970.*

S. K.: – No, „Śledztwo” to jest pewien samograj... W swoim rodaju.

W. S.: – *Ale zdaje się, że ktoś – czy nie Kuśmierek? – zarzucił ci, że ta książka została napisana na podstawie jego materiału. Ty coś napisałeś potem na ten temat w Tygodniku Powszechnym, w okresie „Solidarności”, ale nie pamiętam dokładnie kiedy.*

S. K.: – Kuśmierek? – a nie, już wiem: to nie Kuśmierek! [To] Robert Jarocki – brat reżysera; oni są z Krakowa... – partyjny przez długie lata dziennikarz. Bardzo oryginalny chłopak, bo partyjny od samego początku, ale zbuntowany od samego początku. Już w 1947 napisał takie nowele o ZMP, wyśmiewające to trochę. I cenzura puściła – takie na pół...

W. S.: – *W 1947 jeszcze nie było ZMP.*

S. K.: – ZWM, przepraszam, też pięknie. On był działaczem, takim najwcześniejszym. Jego ojciec był zresztą w Stronnictwie Ludowym, antymikołajczykowskim. Takie ciekawe pochodzenie polityczne tej rodziny, prawda. I kiedy on [= Robert Jarocki] zaczął się całkiem buntować, ale ciągle jeszcze był w partii, rozpisano konkurs na powieść o wypadkach poznańskich [1956 r.]. Jakies wydawnictwo poznańskie to rozpisało. Nawet to nie było tak sformułowane, że [ściśle] o wypadkach poznańskich, tylko [temat miał być] „związany z historią proletariatu poznańskiego”. I on dostał pierwszą nagrodę, ale mu tego nie wydano. On mi to pokazał – to było na początku lat 70-tych. Powieść mi się bardzo podobała i podobała mi się ta [jego] docieklivość: był reporterem partyjnym, ale starał się dotrzeć [do tego], jak to naprawdę [było]. I on tam opisał młodego robotnika-żołnierza, który siedział w czołgu i tłumił te [poznańskie] rozruchy, a potem został majstrem w Gdańsku i w 1970 był już jednym z przywódców strajku, sekretarzem komitetu strajkowego. W tej powieści [Jarockiego] całe jego życie jest opisane. No i ja po prostu wziąłem to jako wątek.

W. S.: – *Jak się ta powieść nazywa? I czy w ogóle wyszła?*

S. K.: – Nie, do dzisiaj nie wyszła. Ona się chyba nie nazywa w ogóle.

W. S.: – *I to Jarocki miał do ciebie jakieś pretensje?*

S. K.: – Nie, nie. Ja napisałem [Śledztwo] i jego jako bohatera wziąłem – bo ta postać dziennikarza [tam] to jest on, [Jarocki]. Ja mu [zresztą] o tym wspominałem. On mi nigdy nie postawił żadnego zarzutu, natomiast ja napisałem pierwszy: felieton [o tym], że tak postąpiłem. I wtedy on też zareagował jakoś, ale bez kłótni żadnej.

W. S.: – *To ja coś pokręciłem. bo to było dość dawno temu.*

S. K.: – Mogę ci powiedzieć dokładnie: To się ukazało jak już byłem w Paryżu, na wiosnę 1981 r.

W. S.: – *Ja wziąłem twój felieton za rodzaj odpowiedzi...*

S. K.: – Nie. On nie zgłaszał pretensji, natomiast potem jakoś pokwitował to. To zresztą mój przyjaciel.

W. S.: – *Ja zrozumiałem, że miałeś do dyspozycji surowy materiał, który ktoś zebrał na Wybrzeżu.*

S. K.: – To właśnie ta jego powieść. Tam jest dalszy ciąg, bo to jest rozciągnięte w czasie: poznaje się [bohatera] jako tego żołnierza w czołgu. [Bo] on wspomina, że zwalczał wypadki poznańskie, a teraz jest majstrem [w Gdańsku]. I powiem ci, że po tej powieści ten majster, który był sekretarzem komitetu strajkowego w 1970 r. przysłał mi te listy [Jarockiego?] w prezencie!

W. S.: – *Więc to jest też autentyczna postać?*

S. K.: – Autentyczna. Natomiast Jarocki wystąpił z partii w stanie wojennym. [To] jest mądry chłopak, chociaż moja żona twierdzi, że on jest podejrzanym. No, ale [śmiech] może nie.

W. S.: – *Natknąłem się w „Śledztwie” na drobny błąd rzeczowy: piszesz, że ten dziennikarz „już w 1951 r. wyrażał zastrzeżenia na temat afery lekarzy-Żydów”.*

W. S.: – S. K.: – W 53-cim oczywiście. Ale tam jest [też] wzmianka, że jego brat „który jest reżyserem teatralnym i aktorem” się z niego wyśmiewa. Nie, nie, to wszystko jest prawdziwe. Między innymi jest [tam] – to była bardzo duża przykrość [dla niego], ale w ostatniej książce [„Wszystko inaczej”] to naprawiłem – Adam Mauersberger. [W Śledztwie] to taki, co tak dużo mówi, taki żartowniś, pamiętasz? Ma też niemieckie nazwisko i jest też sugestia, że jest na usługach UB. I [Mauersberger] się na mnie śmiertelnie obraził...

W. S.: – *Trudno mu się dziwić.*

S. K.: – ... i dopiero Michnik nas pogodził – twój „przyjaciel”. A[le] ja nie chciałem napisać, że on jest [szpiclem], tylko ta postać mi pasowała.

W. S.: – *No, ale większość twoich postaci jest rozszyfrowywalna.*

S. K.: – W tej książce tak.

W. S.: – *Nie tylko w tej. Ale zatrzymajmy się jeszcze przy „Śledztwie”, które zamyka epokę gomułkowską. Czy myśląc teraz o tym okresie uważasz, że dobrze go opisałeś?*

S. K.: – Ja ci powiem: ja właściwie dobrze go opisałem. Nie czytałeś jeszcze tej książki [Torańskiej] „Oni”. Otóż, wiesz co z tej książki wynika? Rzecz, którą ja dopiero w sejmie zrozumiałem: że jak Chruszczow przyjechał [w październiku 1956 r.] do Warszawy, to błyskawicznie się zorientował, że Gomułka będzie dobrym batem na tych wszystkich rewizjonistów, trockistów, „Żydów”, opozycjonistów... Z punktu zwąchali! I że właśnie Gomułka był kimś innym, niż społeczeństwo długo sądziło. Ale to chyba widać w „Widzianym z góry”!

W. S.: – *Jak długo byłeś w sejmie?*

S. K.: – Od 1957 do 1965. Dwie kadencje. [Potem] zrezygnowałem z kandydowania – dobrowolnie.

W. S.: – *A do jakich komisji sejmowych należałeś?*

S. K.: – W pierwszym sejmie byłem w dwóch komisjach: Planu i Budżetu i Finansów – nie spodziewali się wszyscy, że tam wejść – i Kultury i Sztuki, a w drugim sejmie byłem w Komisji Spraw Wewnętrznych, no i [też] Kultury i Sztuki.

W. S.: – *„Sprawy wewnętrzne” to brzmi trochę... ponuro, nie?*

S. K.: – No, więc właściwie Stomma mnie do tego namówił, bo myślał, że to będzie komisja od spraw... „wewnętrznych”. Tymczasem to była komisja, która się zajmowała takimi sprawami jak straż ogniowa, jak ubezpieczenia, jak zmiana nazwisk, jak dowody osobiste. I tam przeważali autochtoni, szalenie lojalni, i jedynym co w tej komisji było ciekawego to [to], że cenzura tam była rozpatrywana. Tylko, że tam byłem jedynym, który w ogóle się sprawą cenzury zajmował i

protestował. Ci posłowie-autochtoni mnie rugali, że ja czas zajmuję, że „kogo to obchodzi”, Im do głowy nie przychodziło, że można chcieć pisać coś innego niż wolno. Tak, że to była komisja, na której się zawiodłem. Ale – ja tam odegrałem pewną rolę.

W. S.: – *Dzięki temu miałeś sposobność poznać pierwotne postaci do „Widzianego z góry”.*

S. K.: – Tych „na górze”, tak.

W. S.: – *Ten tytuł znaczy chyba, że opisujesz ludzi, którzy patrzą na społeczeństwo z góry – a nie, że ty jako autor tak patrzysz?*

S. K.: – Nie, nie. Mnie powiedział kiedyś Bieńkowski, że jak się wejdzie do „Białego Domu” [= gmachu KC] to się widzi zupełnie co innego niż normalny człowiek w normalnym życiu; tam są inne sprawy. No i to mi poddało [myśl], że „widziane z góry” wygląda inaczej.

W. S.: – *Ostatnią powieścią z cyklu „Stalińskiego” są „Ludzie w akwarium”. Znów – skąd ten tytuł?*

S. K.: – No, jakiś tytuł musi być, nie?

W. S.: – *A może ma głębszy sens? Tam, w drugim rozdziale, jest scena, w której Izabella spogląda na tego swojego niby-ukochanego, reżymowego dziennikarza...*

S. K.: – Karola Małcużyńskiego; Karol Małcużyński tam występuje; wszystkie cytaty są z jego artykułów.

W. S.: – *Więc te próbki nowomowy są naprawdę autentyczne?*

S. K.: – No, jak to – w trzech czwartych [to] cytaty z jego artykułów! Karol Małcużyński – ja zresztą z tą rodziną jestem zaprzyjaźniony od pokoleń niemal – powiedział [mi potem] tak: no, ja to z tobą muszę się rozprawić! Ale jemu chodziło o romans, nie o artykuły.

W. S.: – *Czyli, że ten romans w powieści to też „z życia”?*

S. K.: – Też, też.

W. S.: – *No, więc – wracając do sprawy tytułu – Izabella patrzy na niego, a narrator powiada, że wszystko było po nim widać, gdyż był „jak ta przezroczysta ryba w akwarium”...*

S. K.: – Wszystko widać. Od razu.

W. S.: – *Czy po innych też tak widać?*

S. K.: – Widać. No, tam jest bardzo wyraźnie pułkownik Rzepecki ukazany.

W. S.: – *Ten „stary Józio”?*

S. K.: – Oczywiście!

W. S.: – *Z autentycznych zdarzeń jest tam też sprawa braci Kowalczyków...*

S. K.: – Tak. Zresztą bardzo się tu Kuroń obruszył, na temat rozmowy tych „marcowców”: że oni wcale tak ze sobą nie rozmawiali! Powiedziałem mu: no, może wyście tak nie rozmawiali, ale do historii tak przejdziecie, bo ja was tak opisałem. No, i tam jeszcze jest Kasman – ten [powieściowy] redaktor, którego wyrzucają. [To był] redaktor *Trybuny Ludu*. I później jest też Mojkowski, taki endek, który został [po nim] redaktorem *Trybuny Ludu*.

W. S.: – *Gdy książka się zaczyna, to jeszcze jest Kasman?*

S. K.: – Nie, to jest Mojkowski. A potem jest [ex post wyjaśnione] jak do tego doszło, że Mojkowski został redaktorem.

W. S.: – *Więc zdarzenia też są „z życia”, nie tylko cytaty?*

S. K.: – Cytaty w trzech czwartych to jest Karol Małcużyński. A jedna czwarta... Taki był dziennikarz w *Trybunie Ludu*, jak on się nazywał? Nie Wojciechowski, tylko... no, takie znane nazwisko... jego żoną była taka pani, która z przeproszeniem

w *Kulturze* czasem pisuje obecnie. Była redaktorką w *Życiu Warszawy*.

W. S.: – *Chylińska?*

S. K.: – Nie. To mogłaby być Chylińska, ale nie, jeszcze jedna... Taka... pisywała o regulacji urodzeń stale... A on się nazywał – nie Lipiński... to był znany dziennikarz, no, wszystko jedno! Więc to prawdziwe postacie. Choć trochę podstylizowane. Z tym, że Rzepecki absolutnie jest dosłowny, znaczy: taki jaki powinien być...

W. S.: – *Akcja „Ludzi” usytuowana jest w połowie 1974 r. i książka napisana jest jakby jakaś sprawa – ważna zmiana polityczna, coś w tym rodzaju – już wisiała w powietrzu. Czy rzeczywiście w „historycznym powietrzu” w Polsce wisiała wtedy jakaś taka sprawa?*

S. K.: – Był przecież ten facet, co się [wtedy] podpalił na stadionie w Warszawie; znam nawet jego syna, z Przemyśla... Więc to był prawdziwy wypadek. I ci Kowalczykowie, sprawa „Ruchu” – wiesz, to już było takie... [to już] była bardzo zagęszczona atmosfera.

W. S.: – *„Ludzie w akwariu” wydają mi się typową dla ciebie książką w tym też sensie, że tam wszyscy zdają się mieć rację: zupełna równowaga sądów o rzeczywistości...*

W. S.: – S. K.: – Tak? Acha. Choć ja muszę powiedzieć, że książką, która mi to [podejście] nasunęła była taka krótka powieść Miłosza „Objęcie władzy”, gdzie wszyscy mają rację. Mnie to uderzyło [u niego] i napisałem wtedy: że to jest książka, gdzie wszyscy mają swoją rację. I to mnie nawiedza – ta myśl, ta idea.

W. S.: – *U ciebie jest dużo wpływu Miłosza.*

S. K.: – Miłosz na mnie wpłynął. Kryminalne rzeczy...

W. S.: – *Nawet mu zadedykowałeś „Zbrodnię w Dzielnicy Północnej”.*

S. K.: – Tak. Następnie: „Kultura masowa” – pamiętasz, że on wydał w *Kulturze* taki zbiór na ten temat. On już w czasie okupacji o tym mówił, że już kończy się powieść dawnego typu, a powieść kryminalna – zwłaszcza anglosaska – będzie jakimś wzorem. I tak dalej. No, akurat anglosaska [powieść] się [tym] nie okazała – raczej Simenon, [on] jest doskonały – ale w ogóle [Miłosz] był sugestywny dla mnie.

W. S.: – *W którymś z felietonów napisałeś, że bardzo lubisz powieści Simenona. Więc sądziłem, że to jest główny wpływ na książki „Stalińskiego”.*

S. K.: – O tak, na pewno! Tylko, że on ma większy talent, to znaczy: jemu to [łatwo] wychodzi. A ja muszę się namęczyć.

W. S.: – *Którą z powieści „Stalińskiego” uważasz za najbardziej udaną?*

S. K.: – No, chyba „Cienie w pieczarze”.

W. S.: – *A za najmniej docenioną?*

S. K.: – „Romans zimowy”.

W. S.: – *Co uważasz za swoją główną fortę, tzn. co jest mocną stroną tych powieści?*

S. K.: – No, o tym mi trudno wyrokować. Ale mogę powiedzieć co było moim zadaniem: utrwalenie obrazu komunizmu tak, jak go widzi normalny człowiek – nie komunista, ale który tu żyje i się do tego dostosował jakoś. I że to jest punkt widzenia, z którego właściwie nikt nie pisał – przynajmniej w kraju nikt. Jeżeli ktoś z kraju wysyłał na emigrację jakąś książkę, to to była „bomba” – a to nie są bomby. To są – fotografie, jak mi powiedział pan Widy-Wirski. On mi powiedział, że właśnie do niego się zwrócono – bo to taki rzadki inteligent w partii – [o opinii] kto to mógł napisać „Widziane z góry”. I on mi mówi: no, wiecie, ja się tak wymigiwałem, a [na to] mi powiedział „może Kisielewski”? A ja na to: ale skąd – Kisielewski by napisał z furją, z jadem, a to – to taka fotografia. I to mi się bardzo spodobało, że to „fotografia”, bo to coś dla ludzi.

W. S.: – *Widy-Wirski to przedwojenny lekarz z Poznania.*

S. K.: – [A potem] nasz sąsiad [w Warszawie] – on pod nami mieszkał. Przed wojną należał do „Zadruży”, to [była] taka neopogańska organizacja. I najśmieszniejsze, że z tej „Zadruży” po wojnie odkomenderowali go do Stronnictwa Pracy, żeby je rozkładał – to Popielowskie stronnictwo. Za działacza katolickiego [wtedy] biegał! Potem go zaaresztowali, [bo] był przyjacielem Gomułki [i] chcieli zrobić z niego świadka przeciw Gomułce. Trzy lata siedział. Jak wrócił Gomułka, to był wiceministrem i tak dalej.

W. S.: – *Po wojnie był pierwszym wojewodą poznańskim.*

S. K.: – Tak. A ja go w tej mojej powieści najnowszej [„Wszystko inaczej”] opisuję po nazwisku. [Bo] mnie [tym] uderzył, że taki przedwojenny inteligent, taki typowy, [a] się w tym komunizmie czuł [jak w domu]. On do mnie kiedyś powiedział: co oni tu piszą, że „fałszywe wybory [zorganizowano]”?! Dlaczego się do mnie nie zwróca? To ja fałszowałem wybory!

W. S.: – *Dlaczego w powieściach „Stalińskiego” stosujesz ten kamuflaż nazwowy? „Degdańsk” zamiast Gdańska...*

S. K.: – No, bo to jednak przecież jest fantazja.

W. S.: – *Ale nazwy miast i instytucji?*

S. K.: – No, nie może być „AK” na przykład – jest „KA” – bo to [w końcu] nie jest historyczne, faktograficzne [sprawozdanie], tylko to jest fantazja jednak. Muszę mieć swój luz przecież, margines swobody w zmyślaniu. To samo miasta – tu zresztą nie ma konsekwencji: niektóre mają prawdziwe nazwy. Ale to doceniła pani Szpakowska w tej swojej recenzji – jej się to [spodobało].

W. S.: – *W okresie „Solidarności” 1980-81 już się rozniósło, że to ty jesteś „Stalińskim” i wtedy też pozbyłeś się pseudonimu. Nawet ogłosiłeś to publicznie w Tygodniku.*

S. K.: – Tak. I niektórzy mieli mi [to] za złe – mówili, że

[choć] wiadomo [kto], ale niech będzie taki „Staliński”. No, ale [zrobiłem to] ze względów najróżniejszych. Było już niemożliwe, żeby to ciągnąć dalej. No i w ten sposób ta „Podróż w czasie” [Instytut Literacki, 1982] jest już [pod nazwiskiem] „Kisielewski”, choć to jest dalszy ciąg tego cyklu. Bo to już się z tego zrobił taki cykl: „Dzieje Polski Ludowej”.

W. S.: – *To nie moja sprawa, ale może powinieneś był to wydać pod podwójnym nazwiskiem: Kisielewski-„Staliński”? Bo „Staliński” to już było pewne ustalone pojęcie.*

S. K.: – Tak. Tak też już napisał Szaruga – [w eseju] „Pisarz nieistniejący” – że to jest koncepcja pewna.

W. S.: – *Jak oceniasz utwory „Stalińskiego” na tle innych swoich książek: czy są mniej czy bardziej ważne od tamtych? Czy to jeden poziom?*

S. K.: – Ja uważam za trzy [moje] najlepsze książki „Sprzysiężenie”, „Cienie w pieczarze” i tę ostatnią – nazywa się „wszystko inaczej”. Taki roboczy tytuł...

W. S.: – *Słyszałem, że z jej wydaniem w Kulturze są jakieś problemy. Ale mam nadzieję, że to mimo wszystko wyjdzie?*

S. K.: – No, to musi wyjść – tylko nie wiem gdzie. Może ty to wydasz?! [Śmiech].

Paryż, 7 września 1985 r.

Rozmawiał Wojciech SKALMOWSKI

O Cioranie

W związku z niedawną śmiercią E.M. Ciorana przypomnieliśmy sobie że Kultura była chyba pierwszym pismem, które na niego zwróciło uwagę.

Zamieszczamy poniżej fragment z „Dziennika” Witolda Gombrowicza z 1953 roku oraz esej Pawła Hostowca „Rubis d’orient” z Kultury Nr 5/79 z 1954 roku.

Piątek

Giedroyc chciał żebym odpowiedział Cioranowi (pisarz rumuński) na jego artykuł „Dogodności i niedogodności wygnania”. Zawarłem w tej odpowiedzi mój pogląd na rolę literatury wygnanej.

Słowa Ciorana zięją piwnicznym chłodem i stęchlizną grobu, ale zanadto są małostkowe. O kim tu mowa? Kogóż należy rozumieć pod określeniem „pisarz na wygnaniu”? Adam Mickiewicz pisał książki i książki pisze pan X.? owszem, wcale poprawne a także poczytne, obaj są „pisarzami” i, nota bene, pisarzami na wygnaniu... ale na tym kończy się wszelkie między nimi podobieństwo.

Rimbaud? Norwid? Kafka? Słowacki?... (rozmaite bywają wygnania). Sądzę, że żaden z nich nie przeraziłby się zbytnio tym właśnie gatunkiem piekła. Przykrą jest rzeczą nie mieć czytelników – bardzo nieprzyjemnie nie móc wydawać swoich utworów – wcale nie jest słodkie być nieznanym – wysoce niemiłe jest widzieć się pozbawionym pomocy tego mechanizmu, który wypycha na wierzch, robi propagandę i organizuje sławę... ale sztuka naładowana jest pierwiastkami samotności i samowystarczalności, znajduje ona swoje zadowolenie i swoją rację bytu w sobie samej. Ojczyzna? Przecież każdy z wybitnych, wskutek po prostu wybitności

swojej, był cudzoziemcem nawet u siebie w domu. Czytelnicy? Przecież nigdy nie pisali oni „dla” czytelników, zawsze „przeciw” czytelnikom. Honory, powodzenie, rezonans, sława – przecież stali się sławni właśnie dlatego, że więcej cenili samych siebie niż swe powodzenie.

I to co w każdym, nawet mniejszego kalibru literacie jest z Kafki lub z Conrada albo z Mickiewicza, to co jest istotnym talentem i istotną wyższością lub istotną dojrzałością – żadną miarą nie zmieści się w cioranowskiej piwnicy. Chciałbym też przypomnieć Cioranowi, że nie tylko sztuka emigrancka lecz wszelka w ogóle sztuka pozostaje w najściślejszym związku z rozkładem, rodzi się z dekadencji, że jest przetworzeniem choroby na zdrowie. I wszelka w ogóle sztuka ociera się o śmieszność, klęskę, poniżenie. Czyż istnieje artysta, który by nie był, jak mówił Cioran, „istotą ambitną, agresywną w swoim upadku, zgorzkniałcem, podszytym zdobywcą”? Czy widział kiedykolwiek Cioran artystę, pisarza, który nie był, nie musiał być, megalomanem? I sztuka, jak słusznie kiedyś powiedział Boy, jest cmentarzyskiem: na tysiąc ludzi, którzy nie zdołali się urzeczywistnić, pozostając w sferze bolesnej niedostateczności, jeden lub dwóch zaledwie zdoła naprawdę „zaistnieć”. Ten więc brud, te jady niezaspokojonych ambicji, to szamotanie się w próżni, ta katastrofa niewiele mają wspólnego z emigracją, a wiele ze sztuką – stanowią one cechę każdej literackiej kawiarni i zaiste jest dosyć obojętne w jakim miejscu świata męczą się pisarze, którzy nie są dość pisarzami, aby być naprawdę pisarzami.

I może zdrowsze jest że zostali oni pozbawieni zapomóg, poklasku, tych drobnych karesów jakimi darzyło ich za dobrych czasów państwo i społeczeństwo w imię „popierania rodzimej twórczości”. Swojska zabawa w wielkość i wybitność – sympatyczny szum wytwarzany ongiś przez pobłażliwie uśmiechniętą prasę i niedowarzoną, pozbawioną poczucia skali zjawisk, krytykę – ów proces, sztucznego wydymania kandydatów na „pisarza narodowego”... czyż wszystko to nie zalaływało tandetą? Rezultat? Narody, które stać było w najlepszym razie na kilku autentycznych artystów hodowały w tej wylęgarni całe zastępy znakomitości, a w familijnym ciepłku, będącym mieszaniną ciotczynej dobrotliwości i cynicznego lekceważenia wartości, roztopiała się wszelka hierarchia.

Cóż dziwnego, że cieplarnie twory pielęgnowane na łonie narodu, więdną poza łonem? Cioran opowiada, jak ginie pisarz oderwany od swego społeczeństwa. Lecz pisarz ten nigdy naprawdę nie istniał: to embriion pisarza.

Mnie raczej wydaje się że – teoretycznie biorąc i pomijając trudności materialne – to zanurzenie się w świecie, jakim jest emigracja, powinno stanowić niesłychaną podniechęć dla literatury.

Oto elita kraju zostaje wyrzucona za granicę. Może ona myśleć, czuć, pisać z zewnątrz. Uzyskuje *dystans*. Uzyskuje niesłychaną swobodę duchową. Pękają wszystkie więzy. Można być bardziej sobą. W powszechnym zamęciu rozluźniają się dotychczasowe formy, można w sposób bardziej bezwzględny dążyć do przyszłości.

Wyjątkowa sposobność! Wymarzona chwila! Zdawałoby się więc, że silniejsze indywidualności, bogatsze jednostki, powinny zaryzykować jak lwy. Dlaczegoż nie ryczą? Dlaczego głos tych ludzi osłabł za granicą?

Nie ryczą, bo... bo, przede wszystkim, są zanadto wolni. Sztuka wymaga stylu, porządku, dyscypliny. Słusznie podkreśla Cioran niebezpieczeństwo zbytniego oderwania, nadmiernej wolności. Wszystko z czym byli oni związani i co ich wiązało – ojczyzna, ideologia, polityka, grupa, program, wiara, środowisko – wszystko zaniknęło w wirze historii, a na powierzchni ukazała się nicością wypełniona bańka... i wyrzuceni ze swojego światka znaleźli się w obliczu świata, świata bezmiernego i wskutek tego niemożliwego do opanowania. Tylko kultura uniwersalna może sprostać światu, nigdy – kultury lokalne, nigdy ci co żyją tylko fragmentami egzystencji. Utrata ojczyzny nie wtrąci w anarchię tylko tego, kto umie sięgnąć głębiej, poza ojczyznę, dla kogo ojczyzna jest tylko jednym z objawień wiecznego i uniwersalnego życia. Utrata ojczyzny nie zakłóci wewnętrznego porządku jedynie tych, których ojczyzną jest świat. Historia współczesna okazała się zbyt gwałtowna i bezgraniczna dla literatur zbyt narodowych i partykularnych.

I ten nadmiar wolności właśnie najbardziej krępuje pisarza. Zagrożeni ogromem świata i ostatecznością jego spraw, kurczowo czepiają się przeszłości; czepiają się samych siebie; pragną pozostać takimi jak byli; lękają się najmniejszej

choćby zmiany w sobie, z obawy, że wówczas wszystko się rozleci; i, na koniec, czepiają się kurczowo jedynej nadziei, jaka im pozostała, to jest nadziei na odzyskanie ojczyzny. Lecz odzyskanie ojczyzny nie może nastąpić bez walki, walka zaś wymaga siły, siła zaś zbiorowa powstać może tylko na drodze rezygnacji z własnego ja. Aby ją wytworzyć pisarz musi narzucić sobie i rodakom ślepą wiarę oraz wiele innych ślepot, a luksus bezinteresownego i swobodnego myślenia staje się najcięższym z grzechów. Tak więc, nie umie być pisarzem bez ojczyzny – lecz, aby odzyskać ojczyznę, musi przestać być pisarzem, pisarzem na serio.

Być może jednak, istnieje inna przyczyna tego paraliżu duchowego, przynajmniej, gdy idzie nie o intelektualistów, lecz o ludzi sztuki. Mam na myśli samą koncepcję sztuki i artysty, tak jak ona urobiła się na zachodzie Europy. Nie wydaje mi się, aby nasze współczesne wierzenia odnośnie do istoty sztuki, roli artysty, stosunku artysty do społeczeństwa pokrywały się z rzeczywistością. Filozofia artystyczna Zachodu wytworzyła się wśród elity, w społeczeństwach skryzalizowanych, gdzie nic nie zakłóca umówionego języka – nie na wiele jednak może się przydać człowiekowi wyrzuconemu poza nawias konwenansu. A koncepcja sztuki wykuwana po tamtej stronie kurtyny przez zwycięską biurokrację proletariatu jest bardziej jeszcze elitarna... i bardziej naiwna. Lecz artysta na emigracji, zmuszony istnieć nie tylko poza narodem, ale i poza elitą, konfrontuje się o wiele bardziej bezpośrednio ze sferą duchowo i intelektualnie niższą, nic nie izoluje go od tej styczności, musi osobiście wytrzymać napór brutalnego i niedojrzałego życia. Jest on jak zbankrutowany hrabia, który widzi, że salonowe maniery tracą wartość, gdy nie ma salonu. To jednych pcha w „demokratyczną” płaskość, w dobroduszną pospolitość lub w ordynarny „realizm”... innych zaś skazuje na odosobnienie. Musimy znaleźć jakiś sposób na to, aby znowu poczuć się arystokracją (w głębszym tego słowa znaczeniu).

Jeżeli więc mowa o rozkładzie i dekadencji literatur emigracyjnych, to bardziej trafiałoby mi do przekonania takie ujęcie sprawy... gdyż tu przynajmniej wyzwalamy się na moment z zakłętego koła drobiazgów, a dotykamy trudności zdolnych rozłożyć autentycznych pisarzy. I wcale nie przeczę,

że przezwyciężenie ich wymaga wielkiej stanowczości i śmiałości ducha. Nie łatwo być pisarzem na miarę emigracji, gdyż jest to miara zupełnej prawie samotności. Cóż dziwnego zatem, że, przerażeni własną słabością i ogromem zadań, chowamy głowę w piasek i, organizując sobie parodie przeszłości, uciekamy od Świata w święatek?...

A jednak prędzej czy później myśl nasza musi wyprawać sobie drogi wyjścia z impasu. Problemy nasze znajdują swoich ludzi. W danej chwili idzie nie o twórczość samą, lecz o odzyskanie możliwości tworzenia. Musimy wytworzyć tę porcję swobody, śmiałości i bezwzględności, a nawet powiedziałbym – nieodpowiedzialności, bez której twórczość jest niemożliwa. Trzeba nam po prostu oswoić się z nową skalą naszego istnienia. Będziemy musieli potraktować z zimną krwią i bezceremonialnie najdroższe nam uczucia, aby dojść do nowych wartości. Z chwilą, gdy zabierzemy się do kształtowania świata, z tego miejsca w jakim się znajdujemy i tymi środkami, jakimi dysponujemy, ogrom się zmniejszy, bezmiar nabierze formy i poczną opadać wzburzone wody chaosu.

„Dziennik” 1953 r.

Witold GOMBROWICZ

Rubis d'Orient

1.

Nazwę tę noszą w handlu rubiny pochodzenia azjatyckiego, ciemno-czerwone, nieco mętne, podobne do kropel krwi i ropy zastygłych na brzegach ran. Aluzja do zranionego ciała jest w nich podniesiona do godności jednego z najdroższych kamieni, szlifowanych najstaranniej i oprawnych

najczęściej w złoto. Na rubin taki można patrzeć godzinami. Skupiona w nich wartość rynkowa i symboliczna jest wynikiem długiej historii ludów, religii i obyczajów. Wiele rubinów pojawiających się na rynku ma nadto własną historię. W różnych oprawach przechodziły z pokolenia w pokolenie, z rąk do rąk, zanim przyniosły nieszczęście ostatniemu posiadaczowi, zmuszając go do sprzedaży biżuterii.

W starych powieściach drogie kamienie grają rolę talizmanów. Z najgorszych przygód wychodzono cało wyjmując z kieszeni jeden z tych bezcennych kamieni, które można było wszędzie zamienić na konia, bezpieczne ukrycie, gościń, wikt i opierunek. W okresach niepewności życia i posiadania kamienie były najbardziej poszukiwaną formą inwestycji kapitału. Łatwe do ukrycia, ważyły niewiele. W tej postaci można było wynieść wielki majątek uciekając wpław przez rzekę.

Zależność cen kamieni i złota od niepewności posiadania widoczna jest i w naszych czasach. Podczas wojen, rewolucji i masakrów złota moneta jest często warta życia, i żadna cena nie odręcza jej nabywców. Najwyższy kurs złotego dolara notowano w Szanghaju przed zajęciem go przez wojska komunistyczne.

Podobnym potrzebom odpowiadały modlitewniki zdobione ręcznymi rysunkami Dürera lub Holbeina, miniatury i miniaturowe rzeźby koreańskie pozwalające mieć całe muzeum w jednej kieszeni. Pewne właściwości tego rodzaju dzieł sztuki zachowały w naszych czasach *livres d'arts*.

Jeżeli drogie kamienie utraciły z czasem większą część swego prestiżu, stało się to nie dzięki zwiększonemu bezpieczeństwu życia i posiadania, lecz dzięki konkurencji innych talizmanów jak *lettres de change*, akredytywy, depozyty bankowe upłynniające się za wymówieniem tajnego hasła itd. O ile się nie mylę, Casanova był pierwszym z wielkich awanturników posługujących się systematycznie przekazem bankowym. Ostatnim ciosem zadany drogim kamieniom były wielkie wahania cen rynkowych, które po pierwszej wojnie światowej pozbawiły brylanty 80% uprzedniej wartości. Sprzedaż wartościowego kamienia stała się operacją delikatną, wymagającą czasu i znajomości rzeczy.

Podczas ostatniej wojny wielu posiadaczy takich preciosów przypłaciło życiem próby ich spieniężenia.

Wiele pięknych i osobliwych kamieni, wyróżniających się spośród tysięcy innych, można dziś nabyć po przystępnych cenach. Do skondensowanej w nich historii ludów, religii i obyczajów przybył rozdział nowy obwieszczający niepewność talizmanów.

2.

Stałość i ciągłość warunków, niezbędna do tego aby *lettres de change* mogły zastąpić rubiny i szmaragdy, jest bardzo nierówno rozłożona. Kraje góryste, gdzie każdego przejścia broniły warowne zamki sprzyjały ciągłości i pewności posiadania. Kraje płaskie, otwarte ze wszystkich stron nie miały po temu warunków. Obyczaje, jakie się w nich ustaliły, były na miarę panującej w nich niepewności.

W młodości zwiedzałem Besarabię, zaczynając od Chocimia, z którym łączyły mnie pewne wspomnienia rodzinne. Jeden z moich przodków był mianowicie komendantem garnizonu granicznego w leżącym na drugim brzegu Dniestru Żwańcu i z komendantem tureckiego Chocimia wymieniał uprzejme listy i drobne upominki, z których kilka zachowało się u mojego dziada. Brzegi Dniestru w tej mało uczęszczanej okolicy przewoźnicy nazywali wciąż jeszcze «Łaczczyzna» i «Tureczczyzna», mimo że od przeszło stu lat granice Polski i Turcji cofnęły się daleko od tych brzegów. Stojący na wzgórzu w bezludnym jarze zamek chocimski był wówczas ruiną dobrze zachowaną i imponującą swym rozmiarem. Kilku metrów grubości mury, wysokie jak zamek św. Anioła w Rzymie, otaczały kołem pełne schodów i rusztowań podwórze i wznoszący się w nim barokowy pałac zbudowany przez sprzymierzonych z Wysoką Portą Genuńczyków. Nieco dalej stał opuszczony minaret. Chocim był jednym z punktów, w którym stykały się trzy wielkie cywilizacje powstałe na ruinach świata antycznego.

Leżące o parę kilometrów dalej miasteczko miało pozory trwającej przez wieki tymczasowości, właściwe miasteczkom tej części Europy. Jednopiętrowe, ubogie domy drewniane

stały wzdłuż paru sumarycznie zabrukowanych ulic. Na rynku odbywał się tego dnia jarmark, na którym uderzyła mnie budowa straganów, pozwalająca jednym rzutem oka ogarnąć wszystkie znajdujące się w nich towary i pewien szczególnie wygląd kupców. Jak się dowiedziałem, byli oni w większości synami, wnukami i prawnukami kupców zamieszkających od dawna w Chocimiu i pamiętających liczne okupacje i zmiany reżimów. *Business* ich miał więc cechy ciągłości i trwałości odpornej na zmiany losu. Mimo to wyglądali tak, jak gdyby na umówiony gwizdek gotowi byli w każdej chwili zniknąć razem z towarami w zaroślach.

Dalej na południe, w swej części mołdawskiej, kraj stawał się coraz bardziej płaski i bezleśny. Domy opalano w ziemie słomą złożoną na strychu i ściaganą do środkowej ubikacji, na którą wychodziły paleniska wszystkich pieców. Zajęty tym przez większą część dnia kalefktor wypychał osobliwymi widłami słomę do żarzących się pieców.

Dookoła zabudowań mieszkalnych zwracała uwagę rzadkość drzew. Kalkulacje mieszkańców były widocznie tak krótkoterminowe, że żaden z nich nie liczył się z możliwością korzystania z dobroczynnego cienia posadzonych przez siebie drzew. Najczęściej sadzono szybko rosnące lecz mało użyteczne akacje, których liście w tamtejszym klimacie zamykają się w najupalniejsze dni. W miasteczkach sklepy i stragany miały wszędzie charakter równie lekki i tymczasowy jak w Chocimiu.

Krótkość przewidywań ludności stanowiła kontrast z długością historii i dawnością tradycji kraju, w którym dni tygodnia nosiły nazwy planet, nie zaś, jak w krajach sąsiednich, liczby porządkowe kalendarza kościelnego. Na wybrzeżu czarnomorskim wznosiły się niegdyś mury miast greckich. Przez środek kraju biegły widoczne dotąd mury Trajana. Miejscowi kupcy sprzedawali niegdyś zboże i skóry Grekom, koszule żołnierzom rzymskim i tytoń tureckim. Od czasów późnego imperium rzymskiego do okupacji rosyjskich nikt jednak nie płacił żołdu stojącym tu wojskom, które co pewien czas brały się do ogólnego rabunku. Taka była tradycja odnawiającego się tam przez tysiące lat handlu i życia. Złote monety i błyszczące kamienie zaszyte w fałdach kaftanów lub zakopane w ziemi były niezbędnym warunkiem

odradzania się splądrowanych miasteczek jak Feniks z popiołów.

Zdolność stałego podnoszenia się z klęsk wymaga nie tylko przechowywania kosztownych błyskotek, lecz także posiadania innych talizmanów, przede wszystkim gotowych formuł bezbłędnego zachowania się w obliczu nagich szabel, gotowych do strzału rusznic i władców dyktujących z konia nowe prawa, a wreszcie szkolonej zdolności otrząsania się w jednej chwili z wszystkich sentymentów, z wszystkiego co mówią stare pieśni i ciemne oczy kobiet, i oceniania szybkim spojrzeniem znikomych szans słabszego w grze czystej przemocy. Rolnicy przeciwstawiali tej ostatniej antyczny brak potrzeb i umiejętność uprawiania roli i tkania płócien przy pomocy najprymitywniejszych narzędzi.

Fragmety tego doświadczenia, widoczne są w folklorze, w pieśniach stroficznych opiewających z epickim spokojem niesprawiedliwy los i w opowiadaniach ludowych – na jarmarkach widziałem jeszcze lirników i opowiadaczy historii – mówiących z cierpkim humorem o sprzedajności sędziów, o kaprysach i zaślepieniu władców.

Z pamięci ludowej wyłaniają się czasami fragmenty imponujących tradycji. Na drugim końcu Rumunii, w górach na wołoskiej granicy stary przemytnik, opowiadając mi o różnych przypadkach swego długiego życia, rzekł sentencjonalnie: „Zły to interes chcieć żyć za wszelką cenę; trzeba zawsze pytać ile kosztuje”. Przyjrzawszy się uważnie tym słowom można rozpoznać w nich ludowe streszczenie nauki L.A. Seneki, który w czasach bezwzględного despotyzmu na tej właśnie kruchej podstawie usiłował oprzeć godność człowieka. Za życie płacić trzeba nieraz bardzo drogo, ale należy zachować pozory, że w każdym wypadku istnieje granica, poza którą wybiera się śmierć.

Rumunia posiadała wszystkie dane, aby być jednym z najbogatszych krajów Europy, i Bukareszt miał nawet pewne zadatki nowego Chicago. Brakło jej tylko bezpieczeństwa i ciągłości. Jak w wielu innych krajach tej części świata, praca nie prowadziła tam do powodzenia, i lud w swej bezprzykładnej cierpliwości musiał kontentować się okrucami mądrości wieków. „Straszną cenę płacę za bezużyteczną mądrość”, mógłby powiedzieć z emigracyjnym poetą.

3.

Drogie kamienie dostarczały poetom niezliczonych metafor, ale ich związek ze słowem nie kończy się na tym. Słowo bezcenne, mieniające się barwami tęczy było odwiecznym ideałem piszących. Wyrażenie „szlifować wiersze” datuje się z starożytności klasycznej. Przedstawiając czytelnikom nową księgę epigramatów, Martialis mówi, że są one oszlifowane na nowo: *lima rasa recenti*. Czemu szlifuję z uporem moje wiersze? pyta Owidiusz. Niektórzy próbują rywalizować wręcz z samym kamieniem, jak Claudius Calaudianus w *de crystallo cui aqua inerat*, gdzie w pięciu wariantach łacińskich i greckich opisuje kryształ z zamkniętą w nim kroplą wody, w słowach naśladujących przejrzystość i błyskotliwość swego wzoru.

Między szlifowanym słowem i drogim kamieniem istnieje nadto głębokie powinowactwo funkcjonalne. Zmuszony do spędzenia zimowych miesięcy 1939-1940 samotnie w nieoświetlonym budynku, spostrzegłem wkrótce, że z dwóch porzuconych bibliotek i życia spędzonego na czytaniu pozostało mi właściwie tylko to co zachowało się w mojej zawodnej, splukanej różnymi kataklizmami pamięci. W zimowe wieczory, oświetlone tylko żarzącym się w uchylonych drzwiczkach pieca drzewem, usiłowałem zrobić inwentarz rzeczy pamiętanych. Przez długi czas słyszałem tylko fragmenty muzyki. Potem dopiero w tej płynnej materii zaczęły się ukazywać słowa. Zrazu były to same fragmenty wierszy lub napisów lapidarnych. O porządku ich ukazywania się z niepamięci decydował nie bliższy lub dalszy język, ale oszlifowanie słów, ich kadencja lub przeznaczenie do wiecznego trwania na kamiennych płytach. Te pierwsze lśniące w nocy słowa były jak drogie kamienie, które w razie klęski można zamienić na konia lub bezpieczne ukrycie. Stało się wówczas dla mnie jasne, że w nich leży moja jedyna szansa życia i odnowienia się z popiołu przeszłości.

Nawet w swych formach prymitywnych, w naiwnej twórczości ludowej słowo zbliża się do funkcji drogiego kamienia. Przysłowia są próbą przekazania w najbardziej skondensowanej i doskonałej mnemotechnicznie formie

dorobku myślowego powstałego z gorzkiego najczęściej doświadczenia pokoleń. Temu samemu celowi służą sentencje umieszczane na miskach przez garncarzy i przez cieśli nad drzwiami domów.

4.

Wszystkie te wspomnienia i refleksje przychodzą mi na myśl, kiedy przeglądam dwa tomiki rumuńskiego pisarza E.M. Ciorana wydane przez Gallimarda. Pierwszy z nich, z 1949, nosi tytuł *Précis de décomposition*, drugi, z 1952, *Syllogismes de l'amertume*. Jeden w formie rozprawy, drugi w luźniejszej formie aforyzmów są refleksjami emigranta patrzącego na rozpadanie się świata, od którego nie szuka żadnej ucieczki.

E.M. Cioran jest niezrównanym mistrzem słowa. Od dawna nie widziano prozy tak zwartej i lotnej zarazem. O wirtuozerii autora mogą dać pojęcie tylko cytaty, które wyjmujemy z tomiku aforyzmów:

C'est en vain que l'Occident se cherche une forme d'agonie digne de son passé.

Quelle tristesse de voir des grandes nations mendier un supplément d'avenir!

L'Orient s'est penché sur les fleurs et le renoncement. Nous lui opposons les machines et l'effort, et cette mélancolie galopante – dernier sursaut de l'Occident.

Pendant trois siècles, l'Espagne a gardé jalousement le secret de l'Inefficacité; ce secret, l'Occident tout entier le possède aujourd'hui...

Les grands peuples, ayant l'initiative de leurs misères, peuvent les varier à volonté: les petits sont réduits à celles qu'on leur impose.

L'ambition de chacun de nous est de sonder le Pire, d'être le prophète parfait...

Si la foi, la politique ou la bestialité entament le désespoir, tout laisse intacte la mélancolie: elle ne saurait cesser qu'avec notre sang.

W tych krótkich zdaniach znajdujemy wiele bliskich nam myśli. Są to krople ropy i krwi zastygłe na naszych ranach emigrantów. Nowością natomiast jest ich forma deklasująca najślawniejszych stylistów naszych czasów. E.M. Cioran został wyróżniony przez *Prix Rivarol*, nagrodą przeznaczoną dla cudzoziemców piszących po francusku. Nagroda ta była udziałem różnych sławnych pisarzy, lecz po raz pierwszy zapewne przyznano ją autorowi, którego forma słowna miałaby podobną wagę, otwierając perspektywę na wielką próbę jaka stoi przed światem zachodnim, zanim myśl jego pogrąży się w mroku dialektycznego materializmu czy innego prymitywizmu utylitarne. Bliskie kataklizmy mogą zmyć w jednej chwili sterty drukowanego słowa, wszystkie *romans fleuves*, wszystkich *cymini sectores*, producentów nic nie znaczących więcej finezji, i manierystów, których bagout straci od razu swą rangę literacką, kiedy dawne stolice spadną do rzędu zaścianków. Literatura współczesna, opłacająca swą autonomię brakiem aktualności pozaliterackiej, wydaje się zupełnie nieprzystosowana do takich ewentualności.

Rzymianie patrzyli przez kilka wieków na zbliżający się koniec. Mury Aureliana, otaczające dziś jeszcze Rzym, wzniesiono na kilka pokoleń przed pierwszym oblężeniem miasta przez barbarzyńców. W długim okresie oczekiwania dokonano ostatniej selekcji klasyków, którzy w tym wyborze zachowali się do naszych czasów. Podjęte wówczas próby znalezienia form artystycznych odpowiadających perspektywie historycznej nie były dotąd nigdy na serio badane. Znajdujący się znów w obliczu podobnych przewidywań świat zachodni nie odczuwał dotąd potrzeby tworzenia form mogących przetrwać wielką próbę w naszej własnej pamięci, nie mówiąc o pamięci następnych pokoleń.

W zamęcie myśli będących jak gdyby prefiguracją zmroku, proza Ciorana jest jednym z najaktualniejszych

wzorów literackich. Posiada zarazem lekkomyślność antycypującą obyczaje przyszłych podróżnych bez bagaży i odwieczny upór szlifierzy przerabiających słowa na talizmany.

We wspianiałej szacie francuskiej Cioran przekazuje Zachodowi coś z tradycyjnej mądrości swego kraju. W jego prozie jest coś z gorzkich jak chinina czereśni, z których nad Morzem Czarnym smażyono najwykwintniejsze konfitury. Szaleństwa ludów oraz przesunięcia się granic i ośrodków władzy sprawiły, że byłe mocarstwa Europy zachodniej znalazły się dziś w położeniu dawnej Rumunii. Czas więc, aby ich czytelnicy zapoznali się z cierpką mądrością tego kraju i z sztuką przyrządzania z niej najwybredniejszych łakoci.

Paweł HOSTOWIEC

Dialogi poetyckie

Bez wątpienia jednym ze zjawisk, na które warto zwrócić uwagę jest nasilająca się ilość spotkań pisarzy polskich i niemieckich. Znana jest powszechnie inicjatywa przewodniczącego Związku Pisarzy Niemieckich Ericha Loesta, który w roku 1993 zapoczątkował akcję 50 spotkań polskich pisarzy z publicznością niemiecką – ten cykl wieczorów ma być uwieńczony antologią literatury polskiej. Odpowiadając jakby na tę inicjatywę środowisko pisarzy polskich – w akcję tę zaangażował się specjalnie Andrzej Szczypiorski – postanowiło także, w miarę możliwości finansowych i organizacyjnych, zapraszać do Polski koleżanki i kolegów z Niemiec.

Zastrzeżenie dotyczące możliwości finansowych, a zwłaszcza organizacyjnych jest tu niezbędne. Świadczy o tym wypadek, jaki zdarzył się berlińskiej *Akademie der Künste*, której oddział literacki, po miesiącach ustaleń i wymiany korespondencji, podjął się zorganizowania spotkania z pisarzami nie-

mieckimi w Słubicach. Rzecz działa się pod koniec czerwca. Zaproszeni autorzy – nie wszyscy należący do najmłodszych – pojechali do Frankfurtu nad Odrą, przekroczyli graniczny most i udali się do klubu, w którym spotkanie miało się odbyć. Na zewnątrz wisiał plakat zawiadamiający o spotkaniu. Wewnątrz, w dość obskurnym baraku, kilka osób spokojnie grało w bilard, kilka popijało piwo, z telewizora sączył się dziennik. Na pisarzy nie czekał nikt, włączając w to umówionego z nimi kierownika obiektu.

Nie jest to pierwszy wypadek podobnych osiągnięć organizacyjnych strony polskiej. Przykre to o tyle, że przecież... wcale nie trzeba było się tego podejmować. Rzecz jest całkowicie dobrowolna, nie podporządkowana żadnym oficjalnym zaleceniom. Po cóż więc się na to porywać, gdy brak chęci? I choć okoliczności towarzyszące zapowiadанemu spotkaniu rzeczywiście nie były sprzyjające – akurat w przeddzień spotkania policja niemiecka urządziła uwieczne sukcesem polowanie na podejmujących we Frankfurcie pracę „na czarno” Polaków – to wypadłoby chociaż by kierownik czy dyrektor owej placówki kulturalnej w Słubicach był łaskaw na spotkanie się pofatygować.

Inne spotkania organizowane przez Akademię udały się prawdopodobnie jedynie dlatego, iż jej partnerem był – zarówno w Krakowie i w Warszawie w 1994 roku Instytut Goethego. Nie ulega jednak wątpliwości, że w tego rodzaju kontaktach między polskimi i niemieckimi środowiskami literackimi obserwować możemy wciąż asymetrię dla Polski niekorzystną. Proporcje poprawia nieco stosunkowo duża ilość publikacji autorów niemieckich w polskiej prasie kulturalnej. Tu niewątpliwie najwięcej czyni olsztyńska „Borussia” i skupione wokół niej środowisko (organizujące zresztą, na ogół we współpracy z instytucjami niemieckimi, coraz bardziej interesujące spotkania dotyczące przeszłości stosunków polsko-niemieckich). Ale też i w pozostałych pismach pojawia się coraz więcej tłumaczeń z niemieckiego, w tym autorów niemal w Polsce nieznanych – przykładem „niemiecki” numer *Literatury na Świecie*, ale także bydgoskie *Kwartalnik Artystyczny* i *Metafora* czy szczecińskie *Pogranicza*. W Szczecinie też – w tym roku już po raz trzeci – odbywają się spotkania z poetami niemieckimi, na które znalazły się pie-

niądze we władzach miasta, a którym patronuje szczeciński oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Podobnie dzieje się we Wrocławiu. To środowisko od kilku lat utrzymuje kontakty z pisarzami z Saksonii. Spotkania odbywają się w Dreźnie oraz we Wrocławiu. Ostatnie, które odbyło się w 1994 roku w Polsce, przyniosło w efekcie małą antologię zatytułowaną „Zielona granica”^{*} prezentującą wiersze poetów saksońskich i wrocławskich. Tego rodzaju spotkania są czymś więcej niż tylko poetyckim dialogiem. Jak píše w posłowie do antologii niemiecki poeta Peter Gahrish, spotkania te prowadzą też do refleksji nad wspólnotą historycznych doświadczeń. „Niedawno byłem z poetą Wojciechem Izaakiem Strugałą na pewnym śląskim cmentarzysku, pośród porzbijanych, niemieckich grobowców. Nam się zdało, że mówią do nas kamienie. Staliśmy obok siebie w milczeniu, przyglądaliśmy się sobie bez uprzedzeń. Rozmýślaliśmy – jeden z nas o Polsce, drugi o Niemczech, a także obaj o tym samym – miałem wrażenie, że się wzajemnie rozumiemy. Udało nam się złamać szyfry przeszłości nas otaczające”. Brzmi to, rzecz jasna, nieco sentymentalnie i sztucznie, ale tak też zapewne – po latach dystansu i przemilczeń – brzmić musi.

Ważne wydaje się co innego. Ważne wydają się przede wszystkim nawiązywane między oboma środowiskami kontakty – wciąż jeszcze mające w tle doświadczenia historii i polityczne odniesienia, lecz powoli skupiające się na tym, co ważniejsze – na poezji właśnie. Widać to choćby w tym tomie, w którym poeci wzajemnie przekładają swe utwory – często bez znajomości języka oryginału, na podstawie tzw. „rybki”, podkreślając, iż jest to „przekład poetycki”. Każdy jednak przekład – choćby pośredni – jest tym, co Johannes Bobrowski nazywał „odwieczną drogą do domu sąsiada” (ten właśnie wers niemieckiego poety wybrany został zarówno na motto spotkania w Dreźnie i wydanej we Wrocławiu antologii). Ten poetycki dialog, wciąż jeszcze niepełny i ostrożny, zaczyna jednak stawać się coraz głośniejszy. I choć nie ma

^{*} „Zielona granica”. Polsko-saksońska antologia poetycka/*Die grüne Grenze. Polish-Sächsishe Anthologie (Gedichte)*. Wybór i opracowanie Ernest Dyczek. Wyd. „OKIS”, Wrocław 1995, s. 122.

obaw, iż zagłuszy – co byłoby często wskazane – paplaninę i referatowe dukanie polityków, jest częścią procesu tych przemian w naszej kulturze, które oczyszczają ją z resentymentów i kierują ku przyszłości.

Leszek SZARUGA

KOMUNIKAT TOWARZYSTWA OPIEKI NAD ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

W 1996 roku przypada 50-ta rocznica powołania do życia Instytutu Literackiego w Paryżu. Na dotychczasowy dorobek edytorski Instytutu składa się pięćdziesiąt roczników *Kultury* i blisko pięćset tomów „Biblioteki Kultury”, w tym ponad sto numerów *Zeszytów Historycznych*. Zasadą Instytutu jest nie tylko działalność wydawnicza znacząca publikacjami dzieł wybitnych, lecz także skupienie wokół pisma czołowych intelektualistów emigracyjnych jak Witold Gombrowicz, Czesław Miłosz, Jerzy Stempowski, Andrzej Bobkowski, Konstanty A. Jeleński oraz niepokornych twórców krajowych ze Stefanem Kisielskim na czele.

Od pół wieku Instytutem Literackim w Paryżu kieruje nieprzerwanie Redaktor Jerzy Giedroyc. Przy współpracy ludzi związanych z Maisons-Laffitte: Józefa Czapskiego, Zofii i Zygmunta Hertzów, Juliusza Mieroszewskiego i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego zdołał on stworzyć ośrodek, którego wpływ na nasze dziedzictwo kulturowe jest niepodważalny.

Jednym z przejawów działalności Instytutu jest gromadzenie korespondencji i powiększanie zasobów archiwalnych. Powstało ogromne archiwum z rocznikami pism emigracyjnych, polskich i krajów wschodnioeuropejskich, zbiorami ukraińskimi, rosyjskimi i litewskimi. Biblioteka obejmuje kilkadziesiąt tysięcy tomów z dziedziny kulturalnej, politycz-

nej, historycznej i pamiętnikarskiej, polskiej, francuskiej, angielskiej i wschodnioeuropejskiej.

Ponadto od dziesiątków lat zespół Instytutu wspiera materialnie i duchowo niezależne środowiska polityczne oraz kulturalne w kraju.

Pół wieku aktywności i poświęcenia dla idei niepodległej Polski dopinguje do podjęcia pracy badawczej nad fenomenem Instytutu Literackiego w Paryżu. Jest to moralny i intelektualny obowiązek współczesnego pokolenia Polaków wobec środowiska emigracyjnego.

Dlatego 23 maja 1995 roku powstało Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu. W dniu 20 lipca 1995 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie VII Wydział Cywilny i Rejestrowy zarejestrował je pod numerem RST 2591.

Towarzystwo pragnie przyczynić się do uporządkowania i skatalogowania zbiorów, udostępnienia ich szerokiemu gronu odbiorców, ufundowania stypendiów badawczych a także publikowania ważniejszych materiałów. Swoją działalność Towarzystwo opierać będzie na funduszach gromadzonych ze składek członkowskich oraz z dotacji krajowych i zagranicznych.

APEL

Apelujemy do wszystkich czytelników *Kultury* w kraju i za granicą o wsparcie naszych działań. Każdy z Was może zostać członkiem Towarzystwa deklarując wysokość rocznej składki członkowskiej i przekazując odpowiednie kwoty na nasze konto:

Bank Zachodni SA II Oddział Warszawa
380014-7520-136-300

Wpłaty z zagranicy prosimy przysyłać bezpośrednio na Fundusz *Kultury* w Instytucie Literackim w Paryżu.

Deklaracje prosimy kierować listownie na adres naszego biura lub na adres Instytutu Literackiego. Wszystkie wpłaty zostaną potwierdzone przesłaniem legitymacji *członka wspierającego Towarzystwo*. Darowizny te, zgodnie z obowiązującymi w Polsce ustawami o podatku dochodowym od osób prawnych i fizycznych, podlegają odliczeniu do wysokości

15% dochodu przed opodatkowaniem. Jednocześnie informujemy, że od początku listopada 1995 biuro Towarzystwa mieści się pod adresem:

00-950 Warszawa, ul. Nowogrodzka 22 p. 124,
tel. 621 67 51, fax. 621 87 50

Biuro czynne jest od poniedziałku do piątku w godzinach 11.00-15.00.

Warszawa, grudzień 1995

Prezes Zarządu Marek Krawczyk

KSIAŻKI POLSKIE ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Notatki Redaktora

Niepotrzebne *faux pas* prezydenta elekta. Aleksander Kwaśniewski przesłał do rosyjskich socjaldemokratów życzenia, które zostały przez nich wykorzystane w akcji wyborczej do Dumy. Jest to pierwszy tego rodzaju incydent, że prezydent jednego państwa reklamuje blok wyborczy innego państwa i to w telewizji... tegoż państwa. Nie poprawi to naszych stosunków z Rosją, ani – w każdym razie – z reprezentantami innych rosyjskich partii politycznych z prezydentem Jelcynem na czele. Tym bardziej, że rosyjscy socjaldemokraci haniebnie przegrali.

Tak samo niepotrzebne było spotkanie z premierem Hiszpanii Gonzalesem jako reprezentantem hiszpańskiej socjaldemokracji. Ten partyjny akcent nie bardzo jest zgodny z oświadczeniami pana Kwaśniewskiego, że będzie prezydentem wszystkich Polaków.

Lech Wałęsa, na skutek zaległych podatków znalazł się w poważnych kłopotach finansowych, a p. Krzaklewski ogłosił, że ma zamiar zorganizować zbiórkę w ZZ Solidarność, by przyjść mu z pomocą. Pomijając że Wałęsa ustępując z prezydentury otrzymuje bardzo okragłą odprawę, to trzeba mu przypomnieć, że zalega on nie tylko z zapłatą podatków, ale również z rozliczeniami z pieniędzy, które otrzymywał z całego świata w okresie kiedy był przewodniczącym Solidarności. *Kultura* na ten temat wielokrotnie pisała domagając się rozliczeń. Najbardziej kompetentnie na ten temat może poinformować p. Jerzy Milewski, który był wtedy kierownikiem brukselskiego biura Solidarności, przez które przechodziły wszystkie pieniądze z Zachodu. Biuro brukselskie było również informowane o pieniądzach przekazywanych Lechowi Wałęsie bezpośrednio.

Oskarżenie premiera Oleksego, że był agentem obcego wywiadu będzie musiało być wyjaśnione przez władze sądowe. Minister Sprawiedliwości i Prokurator Generalny Jaskiernia nie daje żadnej gwarancji bezstronności po zaangażowaniu się w ostatniej akcji wyborczej. Minister Jaskiernia nie przejawiał zresztą bezstronności także i poprzednio.

Wydaje się, że najpilniejszym posunięciem nowego prezydenta będzie mianowanie ministra sprawiedliwości – osobę nie zaangażowaną politycznie o dużym autorytecie moralnym i prawniczym. Premier zaś powinien udać się na urlop powierzając swoje obowiązki jednemu z wicepremierów do czasu wyjaśnienia całej afery.

Prezydent Kwaśniewski jest niewątpliwie w niezmiennie trudnej sytuacji gdyż znaczna część społeczeństwa odnosi się do niego z nieufnością. Jeżeli jego pierwsze posunięcia nie będą jasne i zdecydowanie świadczące, że rzeczywiście chce być prezydentem wszystkich Polaków, a nie tylko koalicji postkomunistycznej to wejdziemy w kryzys, który zagrozi państwu.

Ostatnie chwile swojego urzędowania Lech Wałęsa wykorzystał dla nominacji generalskich, które są wyraźnym premiowaniem ludzi, którzy przygotowywali materiały oskarżające premiera Oleksego. Jest to próba uwiarygodnienia oskarżeń przed ich wyjaśnieniem przez władze sądowe. Nominacje te powinny być natychmiast anulowane.

Jednocześnie prezydent Wałęsa nadał dziesiątki odznaczeń przyznawanych prawie wyłącznie pod kątem widzenia interesów ustępującego prezydenta, a nie rzeczywistych zasług. Powoduje to kompletną deprecjację najwyższych orderów państwowych.

Szereg synagog w Izraelu wprowadziło nową wersję modlitwy za państwo: **BOŻE WSZECHMOGĄCY BRON PAŃSTWO IZRAEL PRZED JEGO PRZYWÓDCAMI...**

Jest to modlitwa, którą możnaby zastosować i u nas.

REDAKTOR

Nagrody „Kultury” za 1995 rok

NAGRODA LITERACKA
IM. ZYGMUNTA HERTZA:
TYMON TERLECKI

Życie Tymona Terleckiego wypełnia niemal cały nasz wiek – urodził się w 1905 r.; jego świat to kultura, z którą szedł przez wszystkie etapy historii.

Przed wojną, po skończeniu studiów we Lwowie z tytułem doktora filozofii, pierwszą jego pasją był teatr. „Pasja” nie jest tu słowem użytym przypadkowo, bo we wszystkich jego poczynaniach była ona nigdy niewyczerpanym motorem jego działania.

Jako teatrolog wykładał w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej (PIST), był członkiem literackiego kierownictwa teatrów warszawskich, redaktorem miesięcznika *Teatr*, kwartalnika *Scena polska* i serii książkowej „Wiedza o teatrze”. I znalazł czas na wydanie kilku studiów, m.in. „Funkcja społeczna teatru”.

W 1939 r. wstąpił do wojska we Francji i w obozie w Coëtquidan rozpoczął wydawanie pisma *Polska walcząca*, na doskonałym poziomie literackim, które przeniesione z Francji do Londynu, ukazywało się przez 10 lat do 1949 r.

Na emigracji w Anglii należał do „niezłomnych, nieprzejednanych”, nie uznających politycznych kompromisów.

Dużo pisał, był stałym współpracownikiem *Wiadomości* i odszedłszy – praktycznie, choć nie sercem – od teatru, przystał najbliżej do literatury.

Opracował zaraz po wojnie i wydał zbiór publicystyki Mickiewicza, ostatnie utwory Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i zbiór własnych wspomnień o bliskich sobie przed

wojną ludziach teatru i literatury. W książce pt. „Ludzie, książki i kulisy” znaleźli się wśród innych Leśmian i Lechoń, Schiller i Osterwa.

Okresem największej działalności Tymona była druga połowa lat 50-tych, gdy był prezesem emigracyjnego Związku Pisarzy. Zrobił wtedy z niego najżywszą instytucję kulturalną polskiego Londynu. Do dwudziestu wieczorów literackich rocznie, na których publiczność, nauczona przychodzić i słuchać, dowiadywała się nie tylko o polskich pisarzach z kraju i emigracji, ale i o Homerze i Eliocie, o Jimenezie i Dylanie Thomasie; niezliczona ilość zebrań towarzyskich w Domu Pisarza dla gości londyńskich i spoza Anglii, w tym także z kraju; zbiorowe wydawnictwa w serii „Żywych” (Mickiewicz, Conrad, Wyspiański i inni); pomnażanie nagród literackich, popularne „Obiady literackie” – oto w zarysach działalność Związku Pisarzy, gdy kierował nim Terlecki.

Nie było to łatwe zadanie, bo trzeba było z ludzi dobywać wszystko co mogło się przydać polskiemu słowu, polskiej literaturze. Tymon dusił, gniewał się, miotał groźby, przypierał do muru, nie popuszczał i zmuszał nawet najoporniejszych, by występowali, przychodzili, przemawiali, pisali. Wymyślano mu w oczy i poza oczami, że nieznosny, uparty, autokrata. Wszystko prawda – ale były to komplementy. Bo dzięki tym wysiłkom, popartym nieznosnością i uporem, Związek był wszędzie, pisarze zabierali głos w ważnych sprawach i literatura emigracyjna stała się pojęciem obecnym.

Nowy, spokojniejszy okres życia Terleckiego odbył się poza Londynem, gdy w 1964 r. wyjechał na parę lat do Chicago, by wykładać polską literaturę na tamtejszym uniwersytecie.

Po powrocie do Londynu powtórzył się podobny tryb życia co przedtem, tylko w zmniejszonym natężeniu. Znowu stała współpraca z Radiem Wolna Europa, dla którego – poza własnymi wystąpieniami – organizował zbiorowe audycje z udziałem pisarzy; jury różnych nagród i więcej czasu na własne pisanie.

O Terleckim – instytucji świadczy także różnorodność jego twórczości. Półkę z jego książkami można by rozdzielić między kilka działów bibliotecznych. Szkice filozoficzne („Krytyka personalistyczna”, „Egzystencjalizm chrześcijań-

ski”); szkice literackie, publicystyka („Szukanie równowagi”); opracowania krytyczne; teatr; literatura w bogatych odmianach, od pewnego rodzaju prozy poetyckiej („Paryż-Londyn”) do *vie romancée* Modrzejewskiej („Pani Helena”); przekłady (znakomity „Under the Milk Wood” Dylana Thomasa); liczne redakcje zbiorowych wydawnictw z pierwszą poważną pracą o literaturze emigracyjnej („Literatura polska na Obczyźnie 1940-1960”).

Przez 50 lat Tymon Terlecki był nieobecny w Polsce. Dziś już ukazały się w kraju dwa pierwsze tomy jego pism zebranych i powoli przechodzi z literatury emigracyjnej, której był jednym z najważniejszych przedstawicieli do pełnej literatury polskiej.

Stefania KOSSOWSKA

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: ANDRZEJ PACZKOWSKI

Andrzej Paczkowski ur. 1938, absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego (1960). Przez wiele lat znany przede wszystkim jako historyk prasy polskiej, szczególnie okresu międzywojennego. Najważniejszym efektem tych badań jest wielka synteza „Prasa polska w latach 1918-1939” (1980). Badał też prasę ruchu ludowego, której poświęcił swój doktorat, obroniony w 1966 r. oraz prasę i życie społeczności polskiej we Francji, z czego habilitował się w 1975 r.

W 1968 r. opisał na gorąco rewolucję studentów francuskich. W 1974 r. we francuskim czasopiśmie naukowym ogłosił recenzję z książki lorda Bethella o Gomułce, za co usunięto go z Instytutu Badań Literackich PAN i „zesłano” do Biblioteki Narodowej. Habilitował się wprawdzie, choć nie bez trudności, ale tytuł docenta otrzymał dopiero w 1981 r. W tym też czasie powrócił do PAN-u, ale już nie do IBL-u, a do Instytutu Historii.

Od końca lat 70-tych coraz bardziej przesuwał swoje zainteresowania naukowe ku historii PRL. W ten sposób pow-

stała książka „Gomułka i inni. Dokumenty z Archiwum KC PZPR”, którą Paczkowski złożył i opublikował w 1986 r. w podziemiu i w londyńskim *Aneksie*. Najważniejszym jego dokonaniem lat 80 było jednak stworzenie „Archiwum Solidarności”, które zaczęło gromadzić dokumenty zdelegalizowanego związku. Wydano 24 tomy dokumentów i monografii. Oczywiście, Archiwum było dziełem większej liczby osób, wśród których trzeba wymienić Grzegorza Bogutę, Wojciecha Adamieckiego, Janinę Jankowską i Marka Owsieńskiego, ale Paczkowski pełnił w tym zespole funkcję szefa i z tego tytułu znalazł się w podziemnym Społecznym Komitecie Nauki.

Rok 1989 dla historyków PRL otworzył zupełnie nowe możliwości badawcze. Paczkowski podjął wtedy rozległe badania w archiwum MSW z myślą o napisaniu historii Bezpieki w pierwszym powojennym dziesięcioleciu. Wynikiem tych badań są dwa tomy zawierające zbiory dokumentów: „Referendum z 30 czerwca 1946 r.” oraz „Aparat bezpieczeństwa w latach 1944-1956”. Obie wydał Instytut Studiów Politycznych PAN. Od 1990 r. Paczkowski kieruje pracownią badania Najnowszej Historii Politycznej w tymże Instytucie, od 1991 r. jest profesorem, a od 1994 r. zastępcą dyrektora ISP PAN.

Andrzej Paczkowski jest niewątpliwie obok Krystyny Kersten najwybitniejszym znawcą dziejów PRL. Świadczy o tym m.in. wydana ostatnio synteza „Pół wieku dziejów Polski 1939-1989”.

Spośród polityków polskich kończącego się stulecia na szczególną uwagę Paczkowskiego zasłużył sobie Stanisław Mikołajczyk, któremu poświęcił najpierw większy szkic w podziemnej *Krytyce*, a potem dwie książki biograficzne wydane w 1991 i 1994 r.

Zarys sylwetki Andrzeja Paczkowskiego byłby niepełny, gdyby zapomnieć o jego „drugiej skórze” alpinisty. Przemierzał nie tylko rodzime Tatry, ale także Alpy, Dolomity, Pamiir, góry Kaukazu. Był członkiem Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego, a od 1974 r. do dnia dzisiejszego jest prezesem Polskiego Związku Alpinistów. Opracował także przewodnik po Zakopanem i okolicach oraz jest współautorem albumów „Himalaje”, „Mount Everest”, „Karakorum”.

Andrzej FRISZKE

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY: JACEK KRAWCZYK

Współpracuje z nami już chyba ponad 10 lat jako bibliotekarz i archiwista, ale praktycznie zajmuje się wszystkim. Ma wspaniałą pamięć i odnajduje natychmiast wszystko, co jest nam potrzebne. Jak to robi trudno sobie wytłumaczyć, bo nie jest wzorem organizatora pracy, i jak go nie ma, nikt niczego nie potrafi znaleźć. Ale jak go nie ma, to natychmiast zdarzają się różne katastrofy z rozmaitych dziedzin życia codziennego, z czym zupełnie nie możemy sobie poradzić. A to nawali fax, a to zepsuje się elektryczność, nie mówiąc o powodzi – u nas wszystko się zdarza i to przeważnie w sobotę czy niedzielę, kiedy nikogo nie można wezwać do pomocy. Jacek potrafi pomóc nawet przez telefon, a pracy ma naprawdę dużo. Najważniejsze jest to, że ten stały wysiłek jest w atmosferze przyjaźni i bezinteresowności. Mogę to sama najlepiej ocenić, kiedy już nie jestem ani tak silna, ani tak zdrowa jak dawniej.

Zofia HERTZ

WYJAŚNIENIA Z PRZESZŁOŚCI

W okresie PRL-u przyznano nagrody kilku osobom z kraju, posługującym się pseudonimami ze względów bezpieczeństwa. Były to:
 Rok 1977 – Nagroda za książki „Ewolucja czy rewolucja” i „Krótkie spieście” wydane w Bibliotece „Kultury” przyznana Markowi Tarniewskiemu = Jakubowi KAPIŃSKIEMU.
 Rok 1981 – Nagrodę publicystyczną im. Juliusza Mieroszewskiego otrzymał SOCJUSZ = Zdzisław NAJDER.
 Rok 1983 – Nagrodę publicystyczną im. Juliusza Mieroszewskiego otrzymał Józef Szrett = Tadeusz CHRZANOWSKI.
 Rok 1986 – Nagrodę publicystyczną im. Juliusza Mieroszewskiego otrzymał Paweł Morga = Andrzej OSEKA.
 Rok 1988 – Nagroda Przyjaźni i Współpracy została przyznana bezimiennie. Była to Maria PODHORSKA z Londynu, która przez szereg lat była naszym „Kurierem” do Polski.

Ci, co odeszli

Mniej dostrzegani

Polscy emigranci z Chicago i ich potomkowie jakoś zawsze mniej się liczyli niż na przykład paryscy, czy londyńscy. Mniej o nich wiedziano, mówiono i pamiętano.

Tymczasem nigdy nie brakowało tu ludzi nie tylko ofiarnych w zwykłym tego słowa znaczeniu, ale takich, których dosłownie całe życie było służbą krajowi. Służbą skuteczną i przynoszącą istotne korzyści. Wybitni działacze społeczni żegnani krótszymi lub dłuższymi wzmiankami jedynie w gazetach miejscowych. W ten sposób odszedł Kazimierz Łukomski. Feliksa Konarskiego, o którym z racji autorstwa „Czerwonych maków” trudno było nie wiedzieć, przedstawiono w kraju, gdy zmarł, nader konwencjonalnie.

Podobne doświadczenia stały się udziałem również najnowszej fali emigracji politycznej w Chicago, której całkiem spore dokonania nie doczekały się żadnego echa.

Zapewne chicagowska specyfika sprawiła, że Polska opozycja w sumie nie doceniała działalności szczególnie zasłużonego Komitetu Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce, na czele którego przez 18 lat stał niestrudzony tandem: Bonawentura Migała i pułkownik Jan Jurewicz. W wypadku Bonawentury Migały niczego nie da się już naprawić – 22 sierpnia odszedł przeżywszy 88 lat wypełnionych służbą życia.

Bonawentura Migała to postać dobrze znana i Lechowi Wałęsie i Tadeuszowi Mazowieckiemu, i wielu politykom,

działaczom społecznym, pisarzom, artystom, którzy mają za sobą przeszłość opozycyjną w PRL, i którym chicagowski Komitet posyłał paczki i pieniądze nie robiąc różnicy między prawicą i lewicą: opozycją, która sama siebie nazywała „niepodległościową”, i biorącą się za konkretne sprawy grupą „korowską”. Pieniądze szły do określonych osób za pośrednictwem *Kultury*, która miała przetarte kontakty z krajem. Procedury nie zmieniono ani na jotę, nawet gdy pojawiło się brukselskie biuro „Solidarności”.

Nazwiska Migąła i Jurewicz były znane nie tylko w kręgu polskiej opozycji i w redakcji *Kultury* w Maisons-Laffitte. Miały je w swoich kartotekach: MSW, Służba Bezpieczeństwa i ośrodki propagandowe w PRL-u, a swoistą nobilitacją mało znanej ogółowi Polaków działalności Komitetu były niewybredne napaście Jerzego Urbana.

Niestety, gdy Chicago odwiedził pierwszy niekomunistyczny premier, jego publiczne wystąpienie zaadresowane „do tych, z którymi się nie spotkał” zawierało jedynie ogólne podziękowania „za pomoc dla demokratycznej opozycji w Polsce, a potem dla Solidarności”. Z Migąłą, który w tym czasie był dość poważnie chory osobiście się nie spotkał.

Trudno wyrokować, czym kierował się Tadeusz Mazowiecki, nie wymieniając w swoim wystąpieniu symbolicznych nazwisk Migąły i Jurewicza. Zabrzmiało to dla wielu osób sztucznie i przykro: pan Bonawentura, wieczny buntownik, nie był w tym czasie dobrze widziany we władzach czołowych organizacji polonijnych.

Owszem, niedługo potem dostali order. Jan Jurewicz Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, a nie mający polskiego obywatelstwa Bonawentura Migąła – Złotą Odznakę Orderu Zasługi RP. Ordery płyną teraz z Polski szeroką rzeką. A że bardzo wiele osób rzeczywiście na nie zasłużyło – płyną dalej i znaczą coraz mniej. Dla panów Migąły i Jurewicza większe znaczenie miałby artykuł w krajowej prasie, ale – o ile mi wiadomo – nikt (poza Surdykowskim) nie poświęcił twórcom zasłużonego Komitetu większej uwagi.

Obszerniejsza praca na ten temat, autorstwa Andrzeja Czumy, ukazała się jedynie w Chicago na łamach *Dziennika Związkowego*. Można tam było przeczytać, że Bonawentura Migąła urodził się 13 lipca 1907 roku w Chicago. Przyszły

wieloletni dyrektor Związku Narodowego Polskiego, Kongresu Polonii Amerykańskiej i przewodniczący Komitetu Pomocy dla Opozycji w Polsce pracował – po skończeniu studiów aż do emerytury – jako szef biura szacowania nieruchomości w administracji miasta, a następnie obejmującego Chicago, powiatu Cook.

W sierpniu 1990 roku, podjęłam się sporteretowania pana Bonawentury dla *Dziennika Związkowego*. Tytuł, zacerpnięty z wypowiedzi mojego rozmówcy brzmiał „To było w naszym życiu najważniejsze”. Przypomniałam wówczas, że „ktokolwiek z kręgów szeroko pojętej opozycji – od Solidarności Walczącej po niezależne inicjatywy artystyczne – zjawił się w Chicago, każdy starał się spotkać z panem Migąłą”. Nie była to w pełni prawda. Chciałam po prostu zrobić mu przyjemność. Wiele osób faktycznie starało się o spotkanie, byli tacy, którym wystarczyło o nim przypomnieć, ale zdarzali się i tacy, co nie znajdowali na to czasu. Spotkania te ogromnie go cieszyły. Zawsze najważniejsze były dla niego dowody pamięci pojedynczych osób. Tych „których nazwiska znał z różnych raportów i podań”: listy, kartki, telefony, żywe reakcje na dźwięk jego nazwiska.

W jednej z rozmów zwierzył się, że przykro mu „tylko z jednego powodu”: nie poznał osobiście wielu z tych znanych sobie tak specyficznie ludzi. „10-lecie Solidarności było dobrą ku temu okazją. Niestety, nie zostałem zaproszony”, dodał z nutką gorczy. Jednak, kiedy zapytałam innym razem, które z licznych odznaczeń ceni sobie najwyżej, odpowiedział: „pani nie uwierzy, ale – tę złotą spinkę Solidarności”.

Tak to nasz spontanicznie wymyślony przez grono najnowszych emigrantów sposób wyróżnienia przedstawicieli Polonii, z różnych powodów nam najbliższych, naprawił choć w maleńkiej części brak wyobraźni legendarnej organizacji krajowej.

Wyznanie pana Bonawentury nie było częścią kurtuazją. Był on człowiekiem, który nie znosił fałszu nawet w stosunkach błahych, nawet jeśli wyrabianie prawdy w oczy wydawało się innym, z najróżniejszych względów, niestosowne. A nie był przy tym ani fanatykiem, ani zgryźliwcem, przeciwnie – należał do ludzi otwartych i pełnych uroku. Jednak nie cofał się przed niczym, gdy uznał, że trzeba powiedzieć, co się myśli.

A mówił pięknie. Jego polszczyzna, nieskażona amerykańskimi, była bogata i żywa. Potrafił precyzyjnie określić swoje stanowisko językiem intelektualisty, w którym triumfalnie brzmiało pachnące zaorany polem „jezdem”..

Pana Bonawenturę poznałam w 86 roku, kiedy przyniosłam się do Chicago. Pomoc dla podziemnej „Solidarności” trwała w najlepsze. Fundusze zbierano również z pomocą organizacji „Freedom for Poland” rekrutującej się z najnowszej emigracji. Choć „solidarnościowcy” robili to dość gorliwie, ich opiekun jeszcze ich popędzał w miarę jak z kraju przychodziły sygnały o potrzebie pomocy.

Być może rozczarowanie, jakie przeżył obserwując – początkowo z szaloną nadzieją, a następnie z rosnącą irytacją – poczynania wielu ludzi, których nazwiska były dobrze znane jego Komitetowi, sprawiły, że pod koniec życia zbliżył się do polonijnej grupy radykałów politycznych. Było to forum, gdzie mógł się dalej swobodnie wypowiadać, przyczynił się więc do tego raczej niestępną temperamencie, niż pokrewieństwo duchowe. Pan Bonawentura do końca pozostał człowiekiem nieskazitelnie prawym. Jego życiorys był czysty jak łąka, życzliwość wypróbowana, a uczciwość i prawdopodobność nie do zakwestionowania.

Ewa SUŁKOWSKA-BIEREZIN

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Książki

Na przełęcz światów*

Zacznę od stwierdzenia banalnego, choć dziś – wydaje się – wymagającego jednak przypomnienia: ukraiński folklor urzeka swoim bogactwem i pięknem, a jego przenikanie do kultury polskiej trwa od wieków. Znamienne, że pierwsze, dokonane w szesnastym wieku, zapisy ukraińskich pieśni ludowych pochodzą nie ze źródeł rodzimych, lecz polskich i czeskich. Niektóre pieśni na tyle zdomowiły się w tradycyjnym polskim repertuarze, że przeciętny człowiek nie od czuwa ich obcego pochodzenia. Wręcz przeciwnie, stały się one, jak np. melodie pieśni „Marsz, marsz Polonia”, „Wszystko co nasze Polsce oddamy” (hymn harcerstwa), „Czerwony pas”, „Gdybym miał gitarę”, nieodłącznym elementem polskiego patriotycznego i biesiadnego repertuaru.

Przenikanie ukraińskiego folkloru do literatury polskiej zaobserwować można już w twórczości renesansowych i barokowych pisarzy lwowskich (Gawatowic, Szymonowic, bracia Zimorowicowie, Sęp-Szarzyński). Jednak prawdziwa kariera ukraińskiej pieśni w literaturze polskiej zaczęła się w okresie romantyzmu, wraz z nobilitacją ludowości i uczynieniem z tej ludowości elementu programowego literatury. Ukraina stała się dla romantyków „słowiańską nową Szkocją” – pieśni ludowe miały odegrać rolę podobną od tej, którą odegrały *Pieśni Osjana* Macphersona. Romantycy polscy (a także rosyjscy) zachwycali się ukraińskimi pieśniami i

* „Na przełęcz światów. 150 ukraińskich baśni, gadek, humoresek i podań ludowych.” Wybrał, przełożył i opracował Jan Mirosław Kasjan, Toruń 1994, s. 438.

dumami. Dumka – gatunek powstały pod wpływem ukraińskiej dumy i pieśni historycznej, jak również ballada, bezpośrednio nawiązywały do ukraińskiego folkloru.

Wtedy też – na początku XIX wieku – zaczęto systematyczne zbieranie i publikowanie pieśni ludu ukraińskiego. Wśród założeń dla początków polskiej i ukraińskiej folklorystyki byli nie tylko uczeni, ale i wybitni pisarze; poprzestanę tu na wymienieniu dwóch – Józefa Ignacego Kraszewskiego i Pantelejmona Kulisza.

Epickie gatunki prozatorskie, w szczególności baśnie, bajki i podania ludowe, stosunkowo długo pozostawały poza kręgiem zainteresowań pisarzy i badaczy. Dopiero druga połowa XIX wieku przyniosła prace badawcze zakrojone na szerszą skalę¹. Prowadzono je na znacznej części terytorium dzisiejszej Ukrainy – od Charkowa do Wołynia, od Czernihowszczyzny do Karpat. W Polsce ukazywały się one początkowo w pracach przedstawiających folklor ziem należących przed rozbiorami do Rzeczypospolitej (np. „Klechdy” Wójcickiego). Pod koniec XIX wieku zaczęły pojawiać się publikacje poświęcone poszczególnym regionom, zarówno o charakterze monograficznym (jak np. „Pokucie” Oskara Kolberga), jak też przyczynkarskim (np. „Garść podań zebranych w powiecie dolińskim i kałuskim” J. Schnaidera). Te ostatnie drukowano w pismach poświęconych etnografii oraz w pismach popularno-naukowych.

Po pierwszej wojnie światowej tego rodzaju publikacje należały już do rzadkości, zaś po II wojnie prawie całkowicie ustały. Do wyjątków należało wydanie przekładów ukraińskich dum „Na ciche wody” (1972) przez Jana Mirosława Kasjana oraz obszernego wyboru bajek „Zakłęte barwy stepu”

1. Prowadzili je badacze ukraińscy (m.in. P. Kulisz, „Zapiski o jużnoj Rusi”, t. 1-2, Petersburg 1856-57; I. Rudczenko, P. Myrnyj, „Narodnyje jużnorusskije skazki”, Kijów 1869-1870, w. 1-2; M. Drahomanow, „Małorusskije narodnyje priedanija i rasskazy”, Kijów 1876; P. Czubyński, „Trudy etnograficzno-statystycznej ekspedycji w Zapadno-Russkij kraj”, Petersburg 1878; I. Manżura, „Skazki, posłowicy [...] zapisannyje w Jekatierinosławskiej i Char’kowskiej guberniach”, Charków 1890; I. Franko, „Iz ust naroda”, *Żytje i slovo*, 1895, t. 3-4) i polscy (K. Wójcicki, „Klechdy, podania starożytne ludu polskiego i Rusi”, t. 1-2, Warszawa 1837; Marcinkowski, A., „Lud ukraiński...”, t. 1-2, Wilno 1857; O. Kolberg, „Pokucie”, Kraków 1889).

(1987) Aleksandra Barszczewskiego. Ta ostatnia książka, mimo sporego, bo czterdziestotysięcznego nakładu nie miała jednak szerszego rozgłosu, ani w świecie naukowym, ani też na rynku wydawniczym – bo nie czas był po temu. Warto tu dodać, że ukazujące się tak licznie w ciągu okresu po przełomie 1989 r. serie wydawnicze, prezentujące młodemu czytelnikowi baśnie różnych regionów świata, miały jakoś teksty z tego regionu Europy. Baśnie narodów bałtyckich – tak, ale baśnie ukraińskie?! Wydaje się, że to, co niegdyś uchodziło za niesłychanie atrakcyjne, dziś w powszechnym przekonaniu jest rzeczą marginalną i nie zasługującą na uwagę. Trudno więc, by wydawcy nastawieni na komercyjny sukces podejmowali ryzyko finansowe i próbowali sprzedać atrakcyjny towar z etykietką nie wzbudzającą entuzjazmu potencjalnego klienta. Zresztą nie jest to tylko kwestia panującego stereotypu, ale generalnego zorientowania kultury polskiej – zachodnie trendy zawsze były w modzie, moda na Orient zdecydowanie rzadziej. Kultura sąsiadów, jeśli już była obiegowo postrzegana, to jedynie jako obiekt polskich wpływów.

Stąd wydanie wyboru baśni i podań „Na przełęcz światów” niewątpliwie jest ważnym wydarzeniem, wskazującym na ponowny wzrost zainteresowania ukraińskim folklorem, przynajmniej w świecie naukowym (książkę opublikowało wydawnictwo uniwersyteckie w niewielkim nakładzie tysiąca egzemplarzy, a jej obieg jest ograniczony do księgarni akademickich). Autor wyboru, przekładu i opracowania, Jan Mirosław Kasjan, postanowił zaprezentować polskiemu czytelnikowi folklor ukraiński od strony mniej znanej, a mianowicie od strony prozy. Jego ambicją było możliwie szerokie przedstawienie ukraińskiej prozy ludowej. I rzeczywiście, w książce odnajdujemy prawie wszystkie najbardziej znane baśnie i bajki. Zamieszczono również wiele mało znanych, regionalnych tekstów. Autor, układając zbiór, nie ograniczył się jedynie do bajek i baśni; postanowił zaprezentować prozę ludową w różnorodnych gatunkach, włączył więc podania, legendy apokryficzne, opowiadki o stworzeniu świata i opowiadki demonologiczne, nowele i anegdoty. Umieszczenie w zbiorze legend i opowiadań stanowi istotne novum; w ukraińskich wydaniach doby sowieckiej gatunków tych nie przedsta-

wiano, tak jak gdyby wcale nie istniały, choć teksty te są dokonałym źródłem dla historyków kultury i etnologów. Przyczyna była prosta – przeczyły one propagandowej tezie sowieckiej folklorystyki o materialistycznym światopoglądzie ludu pracującego, więc ich nie publikowano w myśl zasady, że jeśli fakty (w tym przypadku teksty przekazów) przeczą teorii, to tym gorzej dla faktów. A rzeczywistość? Z tą bywało różnie. Ostatnio we Lwowie natknęłam się na zapis z Huculszczyzny rodem. Historia zdarzyła się w latach sześćdziesiątych, kiedy władza sowiecka już umocniła tam swoje pozycje i skolektywizowała gospodarkę. Działacze niższego szczebla i dyrektorzy kołchozów byli jednak miejscowi. Otóż na posiedzeniu wiejskiej rady oskarżono pewną kobiecinę o to, że jest wiedźmą i odbiera krowom mleko, zmniejszając w ten sposób kołchozowy udój. W wyborze Kasjana nie spotykamy co prawda wiedźm, działających na szkodę ludziom, a tym bardziej sabotujących władzę ludową, dowiemy się za to, że prawdą jest, że kradną one gwiazdy z nieba. Dowiemy się także, kim był dawniej dzięcioł oraz jak Pan Bóg stworzył szlachtę: „ulepił szlachtę z ciasta, a Rusina z gliny”.

W sowieckich wydaniach baśni brakowało nie tylko legend i demonologicznych opowiadań, ale także utworów związanych z chrześcijańską tradycją. Dopiero niedawno, zaledwie trzy lata temu, zaczęły one ukazywać się drukiem. Jedno z tych wydań miało charakterystyczną nazwę „Baśnie zza krat” – wydania utworów uznanych za społecznie szkodliwe niszczone, pozostawiając pojedyncze egzemplarze w tzw. specfondach (zbiorach specjalnych) kilku bibliotek.

J.M. Kasjan umieszcza w swoim zbiorze baśnie i podania o chrześcijańskich korzeniach („O świętych krzakach”, „Pastuszek świętego Mikołaja”). Przyznam jednak, że jeśli chodzi o te utwory, odczuwałam pewien niedosyt, bo książka nie zawiera ich zbyt wiele. Wśród baśni brakowało mi zwłaszcza „Powietrznego okrętu” (*Łetiuczij korabel*), „O muzykancie i czartach”, „O Marusi-Kozaczce” oraz występującej w różnorodnych wariantach baśni o człowieku, który nieświadomie zapisał duszę swojego dziecka diabłu. Zabrakło także popularnych baśni „Rajskie jajko” (*Jajce-rajce*), „Toczygroszka” (*Kotyhoroszko*), „Kulawej Kaczuszki” (*Kryweńka kaczeczka*). Lekki zawód poczułam także przy lekturze

bajek zwierzęcych, gdy zauważyłam, że nie ma wśród nich klasycznych bajek o kocie, koguciku i lisicy czy też o kumie lisicze. Sprzeciw budziły we mnie tłumaczenia niektórych tytułów tych bajek, np. „Pan Koćkyj” u Kasjana brzmi „Pan Kocicki” (nazwisko kociego bohatera utworzono od kocicy, nie od zaś kota, ale, prawdę powiedziawszy, tłumaczenie Aleksandra Barszczewskiego w „Zaklętych barwach stepu” – „Pan Kotecki” też niezbyt mi się podoba). Niezręczności w tłumaczeniu – zaznaczam, że jest ich niewiele, jak na tak obszerny zbiór – nie ograniczają się jedynie do tytułów bajek, np. zwrócenie się do króla czy cara powinno brzmieć nie „Wasza Wielkość” (s. 74), lecz „Wasza Wysokość”, a woda, która wskrzesza umarłego bohatera, to nie „woda uzdrawiająca” (s. 388), lecz „woda życia”. Zastrzeżenia budzi także zamieszczony na końcu zbioru słowniczek. Wyjaśnia się w nim słowa, które, zważywszy na adresata książki – studenta czy pracownika naukowego, wyjaśnień raczej nie potrzebują, gdyż figurują w najnowszym „Słowniku języka polskiego” pod redakcją M. Szymczaka (m.in. ataman, cetnar, chomąto, diak, kureń, niwa, połonina, wiorsta, sobót itp.). W słowniczku objaśniono także nazwy własne – Czeremosz i Prut, ale tylko te dwie, innych należy już szukać w przypisach (Kosmacz, Jasień, Czornohora i in.). co jest pewną niekonsekwencją.

Książka Jana Mirosława Kasjana nie należy do popularnych serii; zawiera 150 niezwykle starannie dobranych tekstów, zaopatrzonych w odpowiedni aparat naukowy – posłowie objaśniające zamysł autora, przypisy, charakteryzujące źródło tekstu i odnoszące tekst do katalogu bajek, listę wykorzystanych zbiorów oraz wspomniany już słowniczek. Znaczącym uzupełnieniem, przypominającym historię tych ziem, jest wykaz polskich odpowiedników ważniejszych ukraińskich miejscowości. Wszystko to stanowi o wartości naukowej tomu, zwłaszcza zaś skatalogowanie publikowanych tekstów w oparciu o systematykę europejską i polską Thompsona i Krzyżanowskiego.

Autor wyboru opierał się na różnych wydaniach – starych, z przełomu wieków; i stosunkowo niedawnych; prezentujących baśnie z różnych regionów (choć niewątpliwie regionem uprzywilejowanym w tym wyborze są Karpaty) i

zawierających bajki z jednej wsi. Wykorzystał także prawie nieznane polskie zapisy z przełomu wieków, co stanowi znaczące przypomnienie publikacji Józefy Moszyńskiej, Zofii Rokossowskiej, Edwarda Rulikowskiego i Stanisława Zdziarskiego. Dzięki temu, że autor czerpał z tak różnorodnych źródeł, otrzymaliśmy książkę interesującą, świeżą, nie powtarzającą znanych ukraińskich wydań, przedstawiając wszystkie ukraińskie gatunki prozy ludowej, także te przez lata zapomniane. Szkoda tylko, że jej obieg jest ograniczony do akademickich kręgów – naturalnym adresatem wyboru baśni powinno być najmłodsze pokolenie, wolne jeszcze od uprzedzeń dorosłych. Tylko czy ktoś się tego podejmie?

Ola HNATIUK

Zrozumieć swój los

Każdy poeta jest wędrowcem, w dodatku, jak to genialnie określił Johannes Bobrowski, droga, po której podąża jest „wieczną drogą do domu sąsiada”. Ojczyzną poety jest język, lecz nie jest to język zastany, lecz język przekraczający własne granice. Poeta to dziwny emigrant, który opuszczając granice swej ojczyzny zarazem je poszerza. Prawdziwa poezja to język dialogu, rozmowy i porozumienia.

Taką właśnie poezję uprawia Kazimierz Brakoniecki. Lecz warto w wypadku tej liryki wyjść poza abstrakcyjne sformułowania i osadzić ją w konkretnym pejzażu. Jest nim ten sam pejzaż, który tak często odnajdujemy w liryce Bobrowskiego – pejzaż tworzący obszar dawnych Prus Wschodnich, dzisiaj w Polsce ograniczony przede wszystkim do Warmii i Mazur, lecz wychylony przecież także w kierunku Królewca. To obszar o skomplikowanej, wielonarodowej i wieloreligijnej tradycji, przekształcony w efekcie gwałtownych wstrząsów historycznych tak dalece, iż przeszłość okazuje się zatopionym kontynentem – jakąś Atlantydą, w tym wypadku Atlantydą Północy, której rekonstrukcji poświęci poeta nie tylko swe

wiersze, lecz także sugestywną w swej wymowie wystawę fotograficzną. Można powiedzieć, że nie tylko to, co było historią Prus Wschodnich tworzy teraźniejszość tej poezji, lecz także, że ta poezja tworzy historię tej ziemi. Przy czym bardziej niż o realia pejzażu – choć te, oczywiście, odgrywają tu niepoślednią rolę – i bardziej niż o pomniki kultury chodzi tu o kształt świadomości, o budowę tego, co można nazwać mentalnym podłożem egzystencji. Historia, która raniła ludzi ma ich teraz, zreinterpretowana, uleczyć.

Od początku świadomego życia odczuwał Brakoniecki jednocześnie swojskość i obcość świata, w którym przyszło mu żyć. Swojskość wynikała z faktu wyrastania w jego obszarze. Obcość pojawiać się poczęła w momencie rozpoznawania jego tradycji.

Ten proces narastał. Specyficzna dialektyka tego co własne i cudze kształtować poczęła filozofię młodego poety – filozofię języka i filozofię egzystencji wpisana w te wiersze. I być może właśnie na takich obszarach nastąpić musi spotkanie sfery realiów ze sferą symboli, przenikanie się tych dwóch sfer już na poziomie najbardziej bezpośredniego doświadczenia życiowego. Nadanie sensu owemu doświadczeniu staje się jednym z podstawowych zadań intelektualnych dla każdego, kto w takim obszarze pragnie określić swą tożsamość.

W świecie nasyconym nacjonalizmami określenie własnej tożsamości w przestrzeni o wielokulturowej tradycji musi siłą rzeczy zwrócić się przeciw wszelkiej ksenofobii i zamknięciu, musi przekroczyć ograniczenia jednogłosowości. Być może zresztą nie byłoby to tak oczywiste, gdyby nie fakt, że własna tradycja rodzinna także wyrastała z wielokulturowości. Te dwie tradycje – ziemi opuszczonej (w tym wypadku wileńskiej, z której pochodzi matka poety – lecz chodzi tu o coś więcej niż tylko tradycje rodzinne: chodzi o zbiorowe doświadczenie współczesnych mieszkańców Warmii i Mazur) i ziemi osiedlenia – weszły w proces dynamicznego dialogu. Tym bardziej, że zarówno wygnanie z dawnej ojczyzny, jak i odnajdywanie się w nowej były wynikiem tego samego doświadczenia historycznego: nacjonalistycznego paroksyzmu.

Ale ocalenie pamięci wielogłosowości tworzy nową wielogłosowość. Jest przede wszystkim podstawą refleksji ogólniejszej, wykraczającej poza doraźne i historyczne doświadczenia – skierowanej ku przyszłości nie tylko własnego obszaru życia. To co przeszłe zaczyna, gdy jest kultywowane, żyć dla przyszłości. Zaczyna się nowe życie, które – zakorzeniając się w

dawnym – wydobywa z historii nowe tony, nowe zadania. Żywioł historii można opanować jedynie poprzez próbę nadania mu sensu. Tym sensem na pewno nie jest polityka, nie jest nim ideologia. To, co się wydarzyło i nadal dzieje, zyskuje sens wtedy, gdy przestaje funkcjonować w wymiarze partykularnym. Stąd w poezji Brakonieckiego nie tylko przywiązanie do sfery realiów – z próbą dotarcia do prawdy historii – lecz także dążenie do umieszczenia ich w przestrzeni uniwersalnych doświadczeń człowieka. Dlatego też miejsca postojów jego podróży są zarazem miejscami medytacji, namysłu, refleksji, które pozwalają klasztor w Chełmie czy katedrę olsztyńską uczynić ośrodkiem swojskiej ekumenicznej modlitwy, której treść najpełniej oddaje tytułowy wiersz najnowszy tego poety – „Misterium”:

*Najpotężniejsze religie to ludzkie zwłoki błagalne
w trzinowych hełmach bagiennych pokrowców skalnych łupinach
najstarsze religie to poćwiartowane zwłoki ofiarnego Boga
poprute palcami kamiennymi nożami
które potem lśnić wędrują do łupieżczych worków historii
najpotężniejsze religie to brzuchy matek sklepione krwią
pępowinami miłości i bulgotem niebios i sięjącego deszczu*.*

To wszystko dzieje się ponad czasem i w każdej przestrzeni. Stąd w tych wierszach nie tylko zapisy przeszłości i teraźniejszości, lecz także próba pochwylenia dialektyki różności. Jest w tym też dążenie do ocalenia niewinnej naiwności dziecka, które ludzi widzi takimi samymi, nie rozumie – i może nawet nie chce rozumieć – co sprawia, że stają się wrogami. To jakby sprzeciw wobec historii, która przestała być na ludzką miarę i została, jak chce Stempowski, spuszczone z łańcucha. To tęsknota za harmonią życia i współżycia.

Język tej poezji to przede wszystkim język dialogu, język – by przywołać termin socjologiczny – „plemienia otwartego”, w którym ważniejsze od wartości narodowych stają się wartości ludzkie. „My” – pojmowane nie doraźnie, lecz ponadhistorycznie – to główna kategoria tej liryki. To „my” obejmuje przepędzonych i wypędzonych, dawnych i przyszłych mieszkańców tego świata. Prusów i Jaćwingów, Niemców i Polaków, Litwinów i Ukraińców, Warmiaków i Mazurów, także Rosjan, a także Żydów.

Lecz powiedzmy od razu, że jest to tęsknota za harmonią

* Kazimierz Brakoniecki, „Misterium”, Decora, Olsztyn, 1995, ss. 65.

inną, niż ta, którą oferuje tradycja klasyczna, śródziemnomorska. Znajdziemy zatem w tej poezji – powołującej do życia i zarazem kontynuującej mit mrocznej Północy jako przeciwstawny słonecznym klimatom Południa – elementy polemiki z łaodem kultury żywiącej się samą sobą. To poezja nastawiona przeciw estetycznemu porządkowi, przeciw zastęglą i powtarzalnym formom. Wyrasta z życia, z materii wciąż zmiennej i tajemniczej, z potęgi żywiołów nie opanowanych, z natury. W kształtowaniu takiej postawy decydującą rolę odgrywa zapewne zarówno oddziaływanie pejzażu Warmii i Mazur oraz pamięć wstrząsów historii tej ziemi. Ważne jest jednak także odnajdywanie samego siebie w surowej przestrzeni natury jeszcze nie „ucywilizowanej”, a przez to mrocznej – nie pochwyconej w sieć symboli kultury tak, jak nie pochwyconej jeszcze w sieć melioracyjnych kanałów i autostrad. Natury, która nigdy nie jest instytucją, zawsze zaś nieopanowanym żywiołem.

Bliżej tego, co „pierwotne”, niż tego, co „wykształcone”, bliżej instynktów niż racjonalnemu pojmowaniu – bliżej tego, co ludzkie, niż tego, co partykularne. W tej przestrzeni mieszają się wszystkie głosy, tutejsze i dochodzące z zewnątrz. Tu odbywa się „rowerowanie”, które jest podróżą przekraczającą granice państw, czasów i kultur.

*Rowerowanie w warmińskim słońcu które jest asyryjskie
żydowskie rowerowanie z Egiptu do Emaus i Olsztyna
azteckie rowerowanie wokół jeziora Klebark i Księżyca
celtyckie rowerowanie wzdłuż pruskich megalitów
więc tutaj jestem w skąpym całunie turyńskim powietrza
czujny na kształt człowieka i sylwetkę wybijającą rzeczy
i pochylony w siodle życia uczyć się delikatności umierania
(„Rowerowanie”)*

„Tutaj” jest „wszędzie”, „teraz” jest „zawsze”, zaś „całun turyński powietrza” odwzorowuje twarze wszystkich ludzi – tych, którzy byli, są i będą gdziekolwiek: twarz Człowieka.

W poezji tej króluje konkret który – zanurzony w przemijaniu – nabiera powagi symbolu. Być u siebie to tyle, co być gdzieś za chwilę i przez przypadek:

*Czyja to ziemia to powietrze to nieszczęście
kto ożywił kto stworzył kto poróżnił
te wszystkie narody niedole przestrzenie*

(Wiatr od morza)

Pytania poezji Brakonieckiego są pytaniami pierwszymi, naiwnymi zapewne, lecz niezbywalnymi, nie dającymi się zagłuszyć w jazgocie „racji historycznych”. Są pytaniami o sens bytowania i znaczenie dokonywanych wyborów, o tajemnicę istnienia i oczywistość egzystencji, która każdemu jest dana po to, by potwierdzał swe człowieczeństwo. Być sobą to próbować zrozumieć swój człowieczy los, traktować życie jako zadanie, zaś innego człowieka jak księgę.

Leszek SZARUGA

Przemyśl bez Przemyśla

„Przemyśl w oczach pisarzy” tytuł sugeruje książkę bardziej literacką, zapowiada większą przemyskość treści. Wielka szkoda, że to anons bez pokrycia. Właśnie Przemyśl – z jego uderzającą urodą architektoniczną i krajobrazową, z jego bogatą specyfiką miasta, niegdyś bardzo żywego intelektualnie, dysponującego szeregiem towarzystw naukowych, własnymi gazetami, wreszcie i najstarszym spośród działających w Europie teatrem amatorskim, „Fredreum”, pierwszej scenie takich znakomitości jak Barbara Kostrzewska, bracia Kondratowie, Kazimierz Opalinski – otóż ten Przemyśl, przez dziesięciolecia słusznie nazywany małym Lwowem, zasługiwałby na takie wyróżnienie. Niestety: w dużej aż 350-stronicowej księdze nie wiedzieć czemu zaopatrzonej w podtytuł „Antologia XX wieku”, który zapowiada akurat to, czego w tomie nie znajdziemy, brakuje (bagatela) portretu miasta. Jego galicyjskiej, małopolskiej typowości – i niepowtarzalności. Tytuł myli. Nie pokazano nam Przemyśla w oczach pisarzy. Autor wyboru prezentuje miasto tylko jako miejsce – jedno z wielu miejsce – wydarzeń o charakterze przede wszystkim politycznym, skądinąd zresztą istotnych dla narodu, społeczeństwa, państwa.

Swoją drogą żal bierze, iż prezentację Przemyśla zostawiono w antologii Feliksowi Mantłowi („Miasto ma piękną przyrodę, bardzo zieloną górę zamkową i dziwne naświetle-

nie”) czy Helenie Deutsch („Jest to miłe miasto nad rzeką San, u stóp romantycznych pozostałości zamku pochodzącego od wspaniałych czasów *Sobieskich* (podk. moje – A.S.) i ich zwycięstw nad Turkami. Nawet te ruiny były wykorzystane w ostatnich latach”). Otóż zamek przemyski stawiano nie za „Sobieskich” tylko ciut wcześniej, za Kazimierza Wielkiego, a fortyfikacje z czasów austriackich całkiem gdzie indziej były ulokowane. Takich nieścisłości jest niestety, w książce sporo, autor wyboru zostawia je bez komentarza, nie ingeruje również w drażniące niechłujstwa językowe, jak u teżej Heleny Deutsch „Znam wiele osób z Przemyśla, którzy woleli (podk. moje – A.S.) urodzić się gdzie indziej”.

Zajmujące są wspomnienia Hermana Liebermana z jego działalności politycznej wśród robotników przemyskich, ale nie inaczej wyglądałoby to we Lwowie, Tarnowie, Krakowie, gdziekolwiek w Małopolsce. Kiedy Jerzy Rawicz pisze o sporze generała Latinika z Piłsudskim, to Przemyśla, właśnie: Przemyśla, nie ma tutaj wcale, bo doprawdy nic nie wynika z faktu, że Latinik przez pewien czas był dowódcą oddziałów wojskowych w Przemyślu. Miasto w tej sprawie nie z winy Rawicza pozostaje za oknem gabinetu, i to za przysłoniętym oknem. Relacja Stanisława Dąbrowy-Kostki o komórkach Armii Krajowej w Przemyślu zawiera więcej informacji ogólnokrajowych niż lokalnych. Przemyśl u Przemysława Bystrzyckiego – pisarza urodzonego tu i wychowanego – wyępuje we fragmentach „Wiatru Kuszmurunu” i w drugiej z cytowanych książek, w „Płynie Rzeka, płynie...” choć posprzeczałabym się z Bystrzyckim o szczegóły. Małe miasto? Otóż nie. Podług przedwojennej miary – nie małe, średnie. Warto sprawdzić na przykład w encyklopedii Trzaski i Everta, w tomie „Polska”, ilu też mieszkańców miewały te ówczesne – duże...

Określając dokonany przez Stanisława Wiatera dobór fragmentów wspomnień, w żadnym razie nie mówiłabym o Przemyślu w oczach pisarzy, tylko o przypomnieniu, i to dosyć jednak naskórkowym, jak historia Polski XX wieku załamywała się w Przemyślu. Książka została skonstruowana z pamiętnikarskiego, historycznego czy publicystycznego, ale nie literackiego tworzywa. Autor wyboru przyczynił się do dokumentacji ogólnopolskich, że tak powiem, głównie wojennych i politycznych przeżyć naszego społeczeństwa. Dlatego ta dosyć niezrozumiale nazwana „Antologia XX wieku”, abstrahując już od faktu, że bombastyczny a mało

zrozumiały podtytuł sugerowałby jednak większą „kompletność” wyboru, pozostaje książką z pewnością cenną jako zbiór pewnych informacji historycznych, jako świadectwo obecności miasta w dramatycznych narodowych dziejach XX wieku. Publicystyka też bywa rodzajem literatury, ale nie w tym wypadku. „Przemyśl w oczach pisarzy” z treściami literackimi ma najmniej wspólnego.

Anna STROŃSKA

„Przemyśl w oczach pisarzy. Antologia XX wieku”. Redakcja Stanisław Józef Wiater. Przemysław Wiater. Współpraca redakcyjna Joanna Fox. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1994.

Zofia Ilińska: dwujęzyczna poetka

„Radzę, niech mi się Państwo dobrze przypatrzą: jestem okazem zagrożonego gatunku” – zażartowała Zofia Ilińska, z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru, na ostatnim zgromadzeniu towarzyskim, w którym przyszło jej uczestniczyć. Okazją była promocja książki młodego, ale już nagrodzonego (za poprzednią publikację) pisarza brytyjskiego, Philipa Marsdena. Osnowę fabularną tej powieści (zatyłowanej: „The Bronski House: A Return to the Borderlands”, Harper Collins, 1995) stanowią losy jej rodziny, a w szczególności jej matki, Heleny, i jej własna odyseja *à la recherche du temps perdu* latem 1992 w poszukiwaniu śladów gniazda rodzinnego w Moryniu nad Niemnem na terenach należących obecnie do Białorusi (dom, niestety, zrównany z ziemią; jedna z wielu w długiej litanii tragicznych strat, jakimi wypunktowane było życie Zofii Ilińskiej).

Bo też historia życia Zofii mogłaby dostarczyć materiału na niejedną powieść i pozwala zadumać się nad tym, jak to życie (a już szczególnie tego pokolenia, a już specjalnie na tym obszarze Europy) idzie w zawody z fikcją. Zofia Brochocka urodziła się w rodzinie ziemiańskiej na Kresach

(dawne województwo nowogródzkie) u progu międzywojennego dwudziestolecia. Poprzez matkę spokrewniona była z irlandzką rodziną O'Rurke. Jej przodkowie, po rozgromieniu katolików przez Wojska Wilhelma II-go w sławnej bitwie nad rzeką Boyne w 1690 r. zmuszeni byli wyemigrować z Irlandii. Jedna gałąź rodziny zaciągnęła się do rosyjskiej służby imperialnej, wydając długą linię generałów; druga, bardziej wiadc przywiązana do tradycji katolickiej, osiadła w stronach, które stanowiły wówczas zachodnie tereny Imperium rosyjskiego, żeniąc się z Polkami. Z niej wywodzą się przodkowie Zofii; wśród nich też wielu zasłużonych w służbie Kościoła; ostatni z nich, Edward O'Rurke, biskup najpierw Rygi a potem, od 1920 r., Gdańska, upamiętniony jest tablicą w katedrze oliwskiej.

17-go września 1939 roku, siedemnastoletnia Zofia, wraz matką (od paru lat wdową) i dwoma młodszymi braćmi, opuszcza rodzinny Moryń (tak lirycznie ewokowany później w wydanych w latach wojennych „Sonetach Moryńskich”), unosząc co się dało z dobytku dwoma wozami. Po serii dramatycznych przygód, przedzierają się najpierw do neutralnej jeszcze w tym czasie Litwy, a potem, przez Skandynawię, do Anglii.

W Anglii Zofia, z typową dla siebie determinacją, szybko przyswaja sobie język angielski, zdobywa dyplom anglistyki na Uniwersytecie w Reading i zaczyna stawiać pierwsze kroki na niwie literackiej (jej debiutem jest powieść „Duch Lorda Curzona”, Glasgow, 1945, prawie jednocześnie wychodzi zbiór jej wierszy po angielsku, zatytułowany: „*Missing*”). W 1943 wychodzi za mąż za polskiego pilota, Olgierda Ilińskiego, którego samolot zostaje zestrzelony nad Francją w trzy tygodnie po ich ślubie. Młoda wdowa adoptuje jego nazwisko jako swoje *nom de plume*. W dwa lata później wychodzi za mąż za dużo od siebie starszego amerykańskiego eks-dyplomata. Przenoszą się do Kornwalii, gdzie mąż Zofii wykupuje łańcuch hoteli w turystycznej miejscowości u ujścia rzeki Fal (Zofia była przekonana, że to właśnie z jej malowniczego domu, Braganzy, dumnie górującej nad miasteczkiem St. Mawes, wyruszył w 1809 r. w swoje pierwsze kontynentalne wojaże Byron).

Z tego okresu datuje się drugi tomik poezji po angielsku zatytułowany: „*The Idle Rocks*” (nazwa miejscowego hotelu), który jest serią satyrycznych portretów hotelowych gości: świadectwo rosnącej zażyłości tak z językiem jak i

literacką tradycją angielską. Jest już wyraźne, że autorka jest wygodnie zdomowiona w swojej przybranej ojczyźnie językowej (choć lata później wyznała, że był to rezultat świadomej decyzji odcięcia się od materii językowej polskiej i że nie była to dla niej decyzja łatwa).

Krajobraz Kornwalii staje się dla Ilińskiej bogatym źródłem inspiracji jej poetyckiej wyobraźni. Świadczą o tym jej najlepsze wiersze zebrane w późnym tomie poezji zatytułowanym *Horoscope of the Moon* (Tabb House, 1992) a recenzowanym na tych łamach (*Kultura*, 10/1992). Tom ten zawiera cykl wierszy, usiłujących, jakby współczesne „Treny”, wyrazić ból i znaleźć pocieszenie po tragicznej śmierci 22-letniego syna. Sięga w nich Ilińska wyżyn lirycznej poezji:

„...I pick the fragments and I hear them bleeding
into the tabernacle of my hurt”.

W ciągu ostatnich lat życia Zofia Ilińska intensywnie pracowała nad cyklem autobiograficznych wierszy, których motywem przewodnim miał być temat „bigamii językowej” (często używała, w relacji do siebie samej, tego epitetu i pod powierzchnią żartobliwości można się było dosłuchać głębszej, boleśniej nuty). Są w tym cyklu prawdziwe perły najczystszej poezji, wiersze z tak głębokim sentymentem i artyzmem ewokujące sielskie dzieciństwo nad Niemnem, że nie można się obronić wrażeniu, że stanowią one jakby współczesne echo przywołujące pamięć innego dzieła literackiego powstałego z tęsknoty do tego samego zakątka ziemi. I – zdumiewająco! – zapomina się jakby, że wiersze Ilińskiej są napisane w *obcym* języku, bo aż się prosi do nich mickiewiczowski tytuł „Panna Zosia”, tak silnie je przenika ten niepowtarzalny *genius loci* i atmosfera życia ziemiańskiego dworu na Kresach.

Niestety, nie było jej dane dokończyć tego dzieła. Zofia zmarła dokładnie w rok od chwili, kiedy ugodziła w nią wiadomość o rozpoznaniu raka. Jej postawa wobec choroby była dla wszystkich bliskich jej osób wielką lekcją godności, odwagi i pokory jednocześnie. W wywiadzie, udzielonym parę miesięcy przed śmiercią dla Radia BBC powiedziała, że choroba jest dla niej wyzwaniem, które przyjmuje z radością. Niestety, ta bitwa była *nie* do wygrania. Swoją postawę wobec śmierci wyraziła, lata temu, w wierszu: „Requiescat in pace”, skomponowanym pierwotnie po angielsku, tu w tłumaczeniu Beaty Obertyńskiej:

„Umarli to przed nami na zwiady wyprawieni
badacze, odkrywcy, pionierzy.
Nie zżymaj się i pięścią nie wygrają śmierci!
Nie sprostasz jej. Nie zdzierzysz.”

Była kimś, dla kogo nie istniał przedział pomiędzy sztuką a życiem, artystką celującą w sposób najbardziej naturalny w sztuce obu. Ale – co może ważniejsze – była też kobietą wielkiego serca i szlachetności, której urok osobisty trudno jest oddać w słowach.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

Nadeślane nowości wydawnicze

- JASTRZĘBOWSKI (Zbigniew). *Sporo o model lecznictwa. Opieka zdrowotna w koncepcjach polskiej polityki społecznej w XIX i XX wieku (do 1948 roku)*. Str. 368. Wyd. Akademia Medyczna, Łódź 1994.
- Pamiętniki emigrantów. *Drogi na emigrację*. Fragmenty pamiętników emigrantów nadesłanych na konkurs IGS SGH. Str. 217 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Gospodarstwa Społecznego SGH, Warszawa 1993).
- Pamiętniki emigrantów. *Zesłańcym szlakiem*. Fragmenty pamiętników emigrantów nadesłanych na Konkurs IGS SGH. Str. 282. (Wyd. Instytut Gospodarstwa Społecznego SGH, Warszawa 1994).
- KAMIŃSKI (Jarosław). *Pod murami*. Str. 40. (Wyd. Heirodula, 1995.)
- TABORSKA (Halina). *Monuments of Fighting Warsaw*. Str. 44. (Wyd. Lulham Art Publications, London 1995.)
- KARSKI (Jan). *Tajna dyplomacja Churchilla i Roosevelta w sprawie Polski (1940-1945)*. Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- Żydzi w Lublinie. Materiały do dziejów społeczności żydowskiej Lublina. Pod redakcją Tadeusza Radzika. Str. 271 i 1 nlb. (Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- MOJAK (Ryszard). *Instytucja Prezydenta RP w okresie przekształceń ustrojowych*. 352 i 16 nlb. (Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- MAZUR (Zbigniew). *Settlers and Indians. Transformations of English Culture in Seventeenth-Century Virginia*. Str. 268. (Wyd. Maria Curie-Skłodowska University Press, Lublin 1995.)
- JABŁOŃSKA (Renata). *Sen na cztery ręce*. Str. 178 i 2 nlb. (Wyd. CIS, Warszawa 1995).
- BIENIASZ (Stanisław). *Sponsor i jego autor*. Str. 137 i 3 nlb. (Wyd. „Książnica”, Katowice 1995).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Powidoki. Chłopcy z tamtych lat*. Str. 262. (Wyd. ALFA, Warszawa 1995).
- FIUT (Aleksander). *Pytanie o tożsamość*. Str. 203 i 3 nlb. (Wyd. Universitas, Kraków 1995).

- Ogień niestrzeżony. Pracownie malarzy polskich XIX i początku XX wieku. Część II. Katalog. Str. 107 i 1 nlb. (Wyd. Muzeum Sztuki w Łodzi, 1995).
- KARPOWICZ (Michał), FILIPIAK (Miroslaw). *Elita jazdy polskiej*. Str. 236. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Volumen, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1995).
- GNAT-WIETESKA (Zbigniew). *1 Pułk Strzelców Konnych 1806-1994*. Str. 240. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Volumen, Wydawnictwo Bellona).
- Grafika wenecka XVIII wieku ze zbiorów polskich*. Galeria „Księży Młyn” – oddział Muzeum Sztuki w Łodzi, 7 marca-17 kwietnia 1995. Katalog. Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Muzeum Sztuki w Łodzi, 1995.)
- Douglas Davies. *Redness*. Katalog. Str. 58 i 2 nlb. (Wyd. Muzeum Sztuki w Łodzi, 1995.)
- VELDTRUP (Dieter). *Prosopographische Studien zur Geschichte Oppelns als Herzoglicher Residenzstadt im Mittelalter*. Str. 541 i 1 nlb. (Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1995.)
- SIEKIERSKI (Maciej), LAZARSKI (Christopher). *Guide to the Polish Independent Publications, 1976-1990, in the Hoover Institution Archives*. Str. 501 i 1 nlb. (Wyd. Hoover Institution Stanford University, 1995).
- ŁOJEK (Jerzy). *Dzieje pięknej Bitynki*. Opowieść o życiu Zofii Wittowej-Potockiej (1760-1822). Str. 443 i 5 nlb. Fotografie. (Wydawnictwo ALFA, Warszawa 1995).
- LANDAU (Zbigniew). *Polska Gomułki*. Str. 79 i 1 nlb. (Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995).
- ERENFEICHT (Leszek), PHILIP (Craig). *Broń strzelecka XX wieku*. Ilustrowana encyklopedia. Str. 176. (Wyd. Espadon, Warszawa 1995).
- LESKI (Kazimierz). *Życie niewłaściwie urozmaicone*. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK. Str. 532 i 8 nlb. Fotografie. (Wyd. Volumen, Warszawa 1995).
- Literatura i nauka o języku*. Encyklopedia szkolna. Str. 911 i 1 nlb. (Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995).
- BOCHENSKI (Józef M.). *Szkice o nacjonalizmie i katolicyzmie polskim*. Str. 122 i 6 nlb. (Wydawnictwo ANTYK – Marcin Dybowski, Komorów).
- ŻOŁKIEWSKI (Stefan). *Społeczne konteksty kultury literackiej na ziemiach polskich (1890-1939)*. Str. 147 i 1 nlb. Przygotowali do druku: Alina Brodzka, Oskar S. Czarnik, Maryla Hopfinger.
- BARAN (Adam F.). *Z dziejów harcerstwa tarnobrzskiego 1912-1949*. Str. 99 i 1 nlb. (Wydano nakładem autora, Tarnobrzeg 1995).
- GRYNBERG (Henryk). *Rysuję w pamięci*. Str. 53 i 3 nlb. (Wydawnictwo a5, Poznań 1995).
- KRÓTKI (Karol Józef). *W kraju białego nosorożca*. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Forma, Kraków 1995).

Polemiki

Ratowanie *Wiadomości*

P. Zdzisław Jagodziński, kierownik Biblioteki Polskiej w Londynie i jeden z dwóch vice-prezesów Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w ostatnim numerze *Pamiętnika Literackiego* (1995), wydawanego przez Związek wystąpił z dosyć spóźnionymi zarzutami przeciwko mnie, m.in. w związku z zamknięciem *Wiadomości* przed 15 laty.

Gdy w 1980 r. *Wiadomości* znalazły się w trudnościach, które doprowadziły do ich zamknięcia, p. Jagodziński nie interesował się ich losem i nigdy wtedy z mną nie rozmawiał na ten temat, więc trudno się dziwić, że nic dziś o tym nie wie, tylko powtarza – bez sprawdzenia – zasłyszane informacje.

Choć zarzuty p. Jagodzińskiego mają personalny charakter, sprawa ta należy do krajobrazu kulturalnego życia niedawnej emigracji, więc wydaje mi się, że należy ją wyjaśnić dla historycznej prawdy. Prostuję więc po kolei uwagi p. Jagodzińskiego.

W latach 70-tych *Wiadomości* nie przeżywały żadnego kryzysowego „zachwiania się ich podstaw materialnych”, choć – jak każde pismo bez subwencji – zawsze miały trudności finansowe, z którymi jednak jakoś dawały sobie radę.

Ani wtedy, ani później Związek Pisarzy nigdy nie ofiarował im żadnej pomocy. O inicjatywie „ratowania *Wiadomości*”, o czym pisze p. Jagodziński, dowiedziałam się rok czy dwa lata temu, gdy przypadkiem znalazł się w moich rękach projekt tej akcji. Nosi on datę 29.12.80, autorem jego był p. Tadeusz Walczak, finansista, działacz społeczny i życzliwy *Wiadomościom* fundator kilku ich nagród.

Kryzys *Wiadomości* w tym czasie polegał nie tyle na stałych trudnościach finansowych, co na jednoczesnej utracie lokalu redakcyjnego po 25 latach i polskiej drukarni, która właśnie zbankrutowała.

Przez wiele tygodni szukałam miejsca na dalsze prowadzenie redakcji, coraz bardziej obniżając wymagania, a gdy to się nie udało, chociażby lokalu na zabezpieczenie archiwum pisma. Żadna polska organizacja, instytucja ani prywatna osoba nie okazały mi najmniejszej pomocy, poza prof. Karoliną Lanckorońską i Janem Badenim, którzy ofiarowali *Wiadomościom* miejsce w Fundacji Lanckorońskich na ich „skansen”, gdy dosłownie mogły się być znaleźć na bruku. Stało się to w chwili, gdy po wynajęciu (za wysokie komorne) skromnego pokoju w Ognisku Polskim, który miał być redakcją i archiwum, dowiedziałam się przez telefon tuż przed przeprowadzką, że z pokoju będzie również korzystać Związek Rzemieślników, na co oczywiście nie mogłam się zgodzić.

Przez trzy ostatnie miesiące wydawanie *Wiadomości* (do marca/kwietnia 1981) wyglądało tak, że rano jechałam na pocztę po korespondencję (już nie mieliśmy adresu), wrzucałam ją do auta, potem spotkanie z korektorką, bank (obok dawnej redakcji), archiwum (po jakieś materiały), drukarnia na drugim końcu Londynu i wieczorem „redagowanie” pisma w domu.

Drukarnia Libra (Eugeniusza Smolara) pięknie wydała trzy ostatnie numery, ale pomijając, że była zbyt droga na stałe korzystanie z niej, nie miała warunków technicznych ani na zachowanie dawnego formatu ani na wydawanie pisma co tydzień.

I tak *Wiadomości* przestały wychodzić, na wiosnę 1981, choć przyznawanie ich nagrody trwało jeszcze dziesięć lat.

Ówczesny projekt p. Walczaka, zakrojony był na wielką skalę, do jakiej jego inicjator był przyzwyczajony w swym zawodowym życiu. „Ratowanie *Wiadomości*” (w chwili gdy tonęły) miało polegać na znalezieniu 60 członków, którzy – jeśli się znajdą – wpłaciliby po £ 1000, by dać pismu podstawy finansowe, i na przejęciu *Wiadomości* przez nowo stworzoną osobę prawną (spółkę akcyjną, organizację charytatywną, czy inną formę). Miało też być powołane nowe powiernictwo (trust) na miejsce istniejącego, do którego należały wtedy trzy osoby, pozostałe z trustu powołanego przez red. Grydzewskiego w 1967 r. – prez. Edward Raczyński, Jan Badeni i ja.

W piśmie p. Walczaka, skierowanym do pp. Badeniego i Garlińskiego (mnie w rozdzielniku nie było) – powołał się on na swą rozmowę z p. Garlińskim i rzekomo ze mną, czego nie pamiętam i co wydaje się mało prawdopodobne ze względu na jego treść, z którą trudno byłoby mi się zgodzić.

Wśród warunków, podanych przez niego było ustalone, że ja nie mam brać udziału w tworzeniu nowej formy organizacyjnej pisma, że mam załatwić zlikwidowanie tego co było przedtem i że będę mogła przez rok redagować nawet nowe *Wiadomości* (oczywiście podporządkowane nowym władzom).

Badeni projekt zignorował, jak należało się spodziewać i nawet o nim nie pamiętał gdy mu powiedziałam, że taki memoriał niedawno dostałam.

Patrząc dzisiaj na ten projekt, trudno oprzeć się wrażeniu, że była to – zapewne nieświadoma ze strony dalekiego od spraw literackich p. Walczaka – próba przejęcia prywatnego, niezależnego pisma o wielkiej tradycji, by pod jego firmą prowadzić jakieś inne.

Tak wyglądała próba „ratowania *Wiadomości*”, która – jak ubolewa p. Jagodziński – „nie została przyjęta”.

Gdy *Wiadomości* przestały się ukazywać w 1981 r. Związek Pisarzy, dysponując biurem i funduszami, podjął się załatwienia części spraw administracyjnych, związanych z nagrodą *Wiadomości* – o czym wspomniał p. Jagodziński i w *Pamiętniku Literackim* krótko notował doroczne nagrody. Nie było jednak w ciągu tych paru lat zwyczajowych sprawozdań z posiedzeń jury, co okazało się wielkim brakiem, gdy w 1991 r. przygotowywałam do druku książkę o nagrodzie pt. „Od Herberta do Herberta”.

W 1986 r. (nie w 1984, jak podaje mylnie p. Jagodziński), tuż przed zebraniem jury p. Garliński zaprotestował w burzliwej telefonicznej rozmowie ze mną przeciwko wysunięciu wśród kandydatur do nagrody Adama Michnika za książkę „Z dziejów honoru w Polsce. Wypisy więzienne”. Kandydatura naturalnie pozostała, Michnik, który wtedy siedział w więzieniu nagrodę dostał i od tej chwili p. Garliński nigdy więcej nie brał udziału w zebraniach jury. Może to wydarzenie, dało powód do posądzenia Związku Pisarzy o antysemityzm, o czym pisze p. Jagodziński z aluzją do mojej „aktywności”, choć bez podania bliższych wyjaśnień. Przejęłam wtedy z powrotem załatwianie spraw, związanych z nagrodą, od p. Garlińskiego, który odsyłając mi materiały, zakończył: „Tym listem zamykam rozdział mego życia związany z jury *Wiadomości*” (list z 12.9.86).

P. Jagodziński parę razy skrytykował decyzję przekazania archiwum *Wiadomości* do Uniwersytetu Kopernika w Toruniu (ostatni raz niedawno w *Tygodniu Polskim*).

Przez kilkanaście lat z archiwum w Londynie, korzystali,

poza mną, młodzi naukowcy z kraju, i na podstawie tych prac ukazało się kilka książek, liczne opracowania i artykuły. Musiałam jednak liczyć się z tym, że może niedługo nie będę mogła już zajmować się archiwum, wprowadzać do niego tych, którzy chcieliby tam pracować (w zamkniętej instytucji, jaką jest Fundacja Lanckorońskich, tylko ja byłam do tego upoważniona), ani załatwiać kwerend, które wciąż dostawałam. I że trzeba pomyśleć o przyszłości archiwum.

Dzięki różnym okolicznościom poznałam w tym czasie możliwości przeniesienia archiwum do Uniwersytetu Kopernika w Toruniu i po dłuższej korespondencji z Rektorem w listopadzie 1994 zostało ono przekazane do Biblioteki tego Uniwersytetu (*nota bene* podobno najnowocześniejszej w Polsce).

Archiwum znowu ma tam swój „skansen” (łącznie z meblami z redaktorskiego pokoju Grydzewskiego), ma zapewnienie naukowego opracowania i skatalogowania materiałów, w ciągu paru miesięcy (w kwietniu 1995) doczekało się świetnie urządzonej wystawy, o której głośno było w telewizji i prasie, jednocześnie rozpoczęło serię wydawniczą p.n. „Archiwum Wiadomości” tomem „Wiadomości i okolice” (w przygotowaniu jest drugi tom, książka Iwaniuka o Łobodowskim i inn.), i powoli staje się centrum badań nad literaturą emigracyjną, do którego coraz więcej autorów emigracyjnych przekazuje swoje zbiory.

P. Jagodziński ubolewa, że archiwum nie zostało w Anglii. Kto byłby tu za nie odpowiedzialny? Kto by się nim zajął i co by się w końcu z nim stało? Czy miałoby podzielić los innych zbiorów, rozproszonych, nie opracowanych przez nikogo, często zapomnianych? Gdzie są np. pełne zbiory i archiwa *Polski Walczącej*, pisma z zamierzenia wojkowego, ale któremu jego redaktor Tymon Terlecki umiał nadać walor literacki? *Ostatnich Wiadomości* wydawanych w kompaniach wartowniczych w Niemczech, ze stałym dodatkiem literackim? *Nowej Polski? Lwowa i Wilna* Stanisława Mackiewicza? I dziesiątków innych.

Dopiero gdyby p. Jagodziński mógł oświadczyć, że wszystkie te czy inne archiwa i zbiory prasowe zostały zabrane, opracowane, zachowane i że może zapewnić im opiekę na przyszłość, mógłby mieć pretensje o przesyłanie archiwów do Polski.

Stefania KOSSOWSKA

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

20.10.95

W Wilnie powstała nowa organizacja społeczna pod nazwą Kongres Polonii Litwy. Została ona powołana do życia przez grupę około 40 przedstawicieli tamtejszych środowisk naukowych, kulturalnych i oświatowych. Na czele Rady Programowej Kongresu stanął Adam Błaszczewicz.

31.10.95.

W Irkucku zakończyły się III Dni Kultury Polskiej zorganizowane przez miejscową organizację polonijną „Ogniwo”, Komitet Kultury Administracji Obwodu Irkuckiego i Ministerstwo Kultury RP.

13.11.95

W 1994 roku zgodę na zakup nieruchomości w Polsce uzyskało 1291 osób fizycznych i prawnych, w tym 357 z RFN, 54 z Austrii, 49 z WNP, 40 ze Szwecji. W pierwszej połowie 1995 r. Zezwolenie uzyskało 610 osób.

26.11.95.

Profesor Andrzej Stelmachowski został ponownie wybrany prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” na następną trzyletnią kadencję.

27.11.95.

Rosja postanowiła zakupić na Ukrainie 32 rakiety strategiczne typu SS 19, a także 19 bombowców strategicznych TUPOLEW 160 i 25 bombowców TUPOLEW 95 MS. Bombowce strategiczne typu TUPOLEW 160 nazywane przez specjalistów z NATO *Blackjack*, weszły do służby w 1987 r., a Rosja z braku odpowiednich funduszy nie jest w stanie sama wyprodukować większej ilości tych maszyn. ■ Sekretarz obrony USA, William Perry i minister obrony kraju Litwy, Linas Linkevicius podpisali w Wilnie umowę o wymianie tajnych informacji wojskowych między Pentagonem i MOK Litwy. Jest to pierwsza tego typu umowa, jakiej USA nie mają jeszcze z żadnym z państw Europy Wschodniej i Środkowej.

12.12.95.

Zmarła w Warszawie w wieku 58 lat Marta Fik, profesor PWST, krytyk literacki, historyk sztuki.

ZACHÓD

9.11.95.

W roku akademickim 1994/1995 studiowało w Stanach Zjednoczonych 452 tysiące cudzoziemców. Najwięcej studentów pochodzi z krajów wschodniej Azji, Japonii, Chin, Tajwanu i Korei Południowej. Młodzież z tego regionu wybiera coraz częściej studia w innych państwach: Kanadzie, Australii i Europie Zachodniej. Natomiast bardzo rośnie liczba studentów z Europy (głównie z krajów byłego bloku sowieckiego) na amerykańskich wyższych uczelniach. Tylko 16,5% otrzymuje fundusze na swą naukę z amerykańskich instytucji prywatnych i jedynie 1,2 % od rządu USA.

13.11.95.

Parlament Europejski przyznał swoją Nagrodę za Wolność Myśli im. Andrieja Sacharowa deputowanej do tureckiego parlamentu Leyli Zanie, która została skazana w Turcji na 15 lat więzienia.

16.11.95.

Prefekt Watykańskiej Kongregacji do spraw Kościołów Wschodnich, kardynał Silvestrini, oświadczył w wywiadzie dla prasy, że papież Jan Paweł II pragnie złożyć wizytę w Moskwie i spotkać się z patriarchą Wszechrosji, Aleksiejem II. ■ W Moskwie odbyła się międzynarodowa konferencja poświęcona konwersji kadr wojskowych. Wiceminister obrony Federacji Rosyjskiej, Andriej Kokoszyn, oświadczył, że ponad 10 tysięcy byłych oficerów zdobyło w ciągu ostatnich dwóch lat cywilne zawody podczas szkolenia w specjalnych ośrodkach przekwalifikowania kadr wojskowych i rozpoczęło pracę w cywilnych instytucjach. W Rosji działa obecnie szesnaście takich ośrodków. Są one finansowane przez rządowe organizacje niemieckie oraz Unię Europejską. Minister Kokoszyn domaga się rozszerzenia działających obecnie w Rosji ośrodków, w których b. oficerowie zdobywają nowe zawody, gdyż w ciągu najbliższych trzech lat armię rosyjską opuści 240 tysięcy oficerów. Pytanie, czy podobne ośrodki istnieją również w Polsce, gdyż u nas jest analogiczny problem. ■ Zadłużenie zagraniczne Rosji wynosi obecnie około 120 miliardów dolarów, w tym wobec Klubu Paryskiego ok. 37 miliardów dolarów. W sprawie restrukturyzacji rosyjskiego długu miała miejsce we Frankfurcie nad Menem konferencja ministra współpracy gospodarczej z zagranicą Federacji Rosyjskiej, Olega Dawydowa, z przedstawicielami Klubu Londyńskiego skupiającego ok. 600 prywatnych banków wierzycieli.

19.11.95.

Fundacja im. Wł. i N. Turzańskich w Toronto po raz szósty

przyznała doroczne nagrody za lata 1993-1994. Nagrody otrzymali: Danuta Mostwin za całokształt twórczości, ks. Jan Twardowski, poeta, za całokształt twórczości, Irena Harasimowicz z Toronto, tłumaczka literatury rumuńskiej; Krzysztof Zarzycki z Toronto, tłumacz literatury anglojęzycznej; Maria Nowotarska z Toronto, aktorka, współtwórczyni i animatorka polskiego teatru w Toronto. W roku bieżącym fundacja przyznała po raz pierwszy nagrody dla młodych talentów, które otrzymali: Weronika Zakrzewska z Toronto, 12-letnia uczennica Claude Watson School for the Arts, mająca w swym dorobku szereg recitali, i Natalia Paruzel z Toronto, 13-letnia uczennica Wydziału Aktorskiego i Tańca Etobicoke School of the Arts. Ponadto fundacja wsparła finansowo szereg instytucji zasłużonych dla polskiej kultury. Dotacje otrzymały: kwartalnik *Akcent* w Lublinie oraz wydawane w Krakowie pismo miłośników języka polskiego pt. *Język polski*. Nie podano wysokości nagród.

30.11.95.

W Galerie Denis Canteux w Paryżu została otwarta retrospektywa twórczości Jacka Sroki. Sroka jest reprezentantem młodego pokolenia polskich malarzy.

1.12.95.

W Centre du Dialogue w Paryżu odbyły się w grudniu następujące spotkania: 1-go grudnia Krzysztof Dybciak wygłosił odczyt „Emigracja polska, niemiecka i rosyjska w XX wieku”; 13-go grudnia ks. bp Bronisław Dembowski mówił na temat „Problemy Kościoła w Polsce dzisiaj”; 15-go grudnia odbył się wieczór jubileuszowy z okazji 70-lecia Polskiego Radia pod przewodnictwem Krzysztofa Michalskiego i z udziałem Krzysztofa Rutkowskiego; 17-go grudnia miał miejsce wieczór Tadeusza Mazowieckiego „Dramat naszego czasu – Jugosławia”. ■ W Senacie USA przygotowuje się nowe prawo imigracyjne zmniejszające niemal o 1/3 liczbę przybyszów do Stanów Zjednoczonych. Legalna imigracja, nie licząc uchodźców politycznych, zostanie zredukowana z 675 tysięcy rocznie do 525 tysięcy, w tym 75 tysięcy wiz wjazdowych wydawanych na wnioski pracodawcy i 450 tys. dla krewnych obywateli Stanów Zjednoczonych. Ustawa jednocześnie przewiduje odebranie prawa do starania się o stały pobyt dorosłym dzieciom i dalszym krewnym obywateli Stanów Zjednoczonych. ■ Uniwersytet Columbia pomaga Polsce rozwinąć nowy sztab ekonomistów, którzy będą mogli wesprzeć europejskie kraje pokomunistyczne w ustanawianiu systemu wolnorynkowego. Dzięki nowej, dwumilionowej dotacji, (która wzbogaci wcześniejszą w wysokości 1 mln dol.), nowojorska uczelnia wprowadziła dwa uzupełniające się programy ekonomiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Pierwszy, działający od roku 1992, ma na celu rozwijanie i zastosowanie najnowszej wiedzy w nauczaniu ekonomii na poziomie uniwersyteckim. Zada-

niem drugiego, utworzonego w bieżącym roku, jest zachęcanie do badań i ponowne wprowadzenie ekonomii jako dyscypliny akademickiej w postkomunistycznych krajach regionu. Środki na działalność pochodzą m.in. od fundacji Andrew Melona i Forda oraz Pew Charitable Trust i Open Society Institute.

4.12.95.

Zmarł we Francji w wieku 64 lat Witold Zadrowski, realizator filmów dokumentalnych, z których wiele uzyskało nagrody międzynarodowe z Prix Italia w 1976 r. na czele. M.in. zrealizował pierwszy dokumentalny film o Katyniu w 1989 r. Ponadto był producentem magazynu aktualności rozpowszechnianego na kasetach nielegalnie w okresie stanu wojennego. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej oddział Floryda informuje, że Uniwersytet Miami jest w posiadaniu Funduszu Stypendialnego Komitetu Kopernikowskiego w zakresie fizyki lub astronomii. Fundusz ten został utworzony przez środowisko polonijne południowej Florydy. Po szczegółowe informacje można się zwrócić do: College of Arts and Sciences, University of Miami, P.O. Box 248004 Coral Gables, Fl. 33124-4620 lub Polish American Congress of Florida, Inc. P.O. Box 140562, Coral Gables, Fl, 33114.

Listy do Redakcji

6 grudnia 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Jedną z trwających po dziś dzień konsekwencji gehenny II wojny światowej jest uproszczenie widzenia dziejów Niemiec zarówno przez polskiego inteligenta, jak i osoby kształtujące opinię publiczną. Dlatego pozwolę sobie sprostować dwa fragmenty artykułu p. Kamili Chylińskiej „Niemcy a wojna” (*Kultura* 11/578).

Autorka pisze o *Stauffenbergu i jego grupie* (s. 50). Nie wiem, gdzie autorka tę grupę znalazła, w istocie żadnej grupy *Stauffenberga* nie było, wykonawca zamachu na Hitlera był związany z grupą oficerów skupionych wokół gen. Henninga von Tresckow, antynazysty, osobistości wielkiego kalibru intelektualnego i moralnego. W tej sprawie wszystkie ustalenia są jednoznaczne. Przemilczenie von Tresckowa, redukowanie oporu do von Stauffenberga i jego (nie istniejącej) grupy jest uchybieniem prawdzie, istotnym nie tylko dla historyka. Mimo niewątpliwej szczupłości i nieporadności, ruch oporu jest istotnym elementem najnowszych dziejów Niemiec, jest również tym *stłupem światła*, do którego odwołują się i będą się odwoływać wszelkie niemieckie impulsy demokratyczne.

To tylko jednak drobny incydent w porównaniu z innym twierdzeniem p. Chylińskiej. Jej zdaniem należy do sfery *legend* przeświadczenie o czystych rękach armii (t.j. Wehrmachtu - JL) w *porównaniu np. z SS* (s. 52). Nie chcę tu wytaczać ciężkiej artylerii erudycyjnej, nie byłoby to trudne, tyle tylko, że nużące, zarówno dla mnie jak i dla czytelników. Śmiem jednak twierdzić, że aczkolwiek Wehrmacht był częścią zbrodniczej maszyny hitlerowskiej, a wielu jego generałów i oficerów popełniło zbrodnie, (istnieje na ten temat obfita literatura), to jednak utożsamienie Wehrmachtu z SS nie ma uzasadnienia. Jest kłamliwą *legendą*.

Jeśli gdzieś w Niemczech istniał opór przeciw nazizmowi, to właśnie w armii. Można dyskutować na temat jego zakresu, ale faktem jest, że w Wehrmachcie istniała atmosfera pozwalająca von Tresckowowi, Osterowi, Erwinowi von Witzlebenowi i innym działać aż do lata 1944 r. Angażował się w opór przeciw Hitlerowi również szef sztabu generalnego gen. Franz Halder, w 1938 r. usiłujący wpłynąć na Chamberlaina, by zajął nieustępliwą postawę wobec Hitlera. Wystarczy nawet pobieżnie przeczytać listę oficerów straconych po zamachu von Stauffenberga. W łonie SS nie widzimy nawet cienia oporu przeciw nazizmowi, co zresztą nie dziwi, jako że SS było nazizmu wcieleniem.

Zdaję sobie sprawę, że w latach wojny i okupacji tzw. szary człowiek musiał lękać się każdego Niemca w mundurze, niezależnie jaki był to mundur. To utożsamianie nie było przywilejem żadnej opcji politycznej. Bo w mundurze wojska też popełniono niezliczoną ilość zbrodni. Później utożsamianie wojska i SS stało się stałą

śpiewką propagandy sowieckiej i jej polskich tub. Literatura polska na temat Niemiec, zwłaszcza podczas II wojny światowej, jest jednostronna, podporządkowana ideologicznym potrzebom i utrwalająca stereotypy. Czas jednak, by wyjść z ich zaczarowanego kręgu.

Łączę wyrazy niezmiennego szacunku,

Józef LEWANDOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Ja też byłem w Polsce. Właśnie wróciłem, przed kilkunastoma godzinami. Przed chwilą sięgnąłem po listopadową *Kulturę*, zacząłem od Smeczki i – siłą rozpędu – przeczytałem od razu następny tekst. No i ...jakby to powiedzieć... zdenerwowałem się.

Mam niestety poważne obawy, że poglądy pana Karnkowskiego są tym razem „reprezentatywne”, a mianowicie dla takich właśnie odwiedzaczy, jak on. Doskonale rozumiem, że ktoś, kto raz na dwa lata wyskoczy z bogatej Szwajcarii (jak podejrzewam, operuje szwajcarskimi frankami) do kraju, musi przeżywać szok permanentny. Pytanie tylko, czy musi się tym dzielić z innymi, i do tego jeszcze na łamach Pańskiego pisma.

Ja tego rodzaju szokową terapię mam już za sobą. Od niemal sześciu lat (po ośmioletniej przerwie) bywam w Polsce w miarę regularnie, od czterech lat większość czasu spędzam w Czechach, często odwiedzam Słowację, czasami Węgry, Słowenię, no i była NRD. Dziurawe drogi, obdrapane wagony podmiejskiej kolejki, czy zasikane klatki schodowe, nie robią na mnie już wielkiego wrażenia. Po prostu zrozumiałem, że tak zawsze było, tylko ja tej normalności kiedyś, przed laty, nie dostrzegałem.

Tak, wciąż tego sporo, w Polsce i nie tylko. Ale to po prostu nieprawda, że „wszędzie widać brud i zaniedbanie”. Na przykład moja rodzinna Polanica-Zdrój na Ziemi Kłodzkiej, miasteczko w „skażonej strefie”, gdzie co piąty, jeśli nie co czwarty jest bezrobotny. W ciągu kilku lat jej główna ulica zmieniła się w malowniczy deptak. W Kłodzku odbudowano północną pierzeję rynku, którą po dwudziestu latach komunistycznych rządów trzeba było wyburzyć, bo się pod nią waliły wielokondygnacyjne piwnice. We Wrocławiu całkiem gustowne „plomby” wypełniły przerwy w zabudowie, które trwały tam od wojny i zniknęły wreszcie fasady podziurawione pociskami w 1945 r. Koszmarne osiedla z wielkiej płyty zaczynają nabierać kolorów, odróżniać się od siebie. Szare spękane ściany znikają pod pastelowym tynkiem, tu i ówdzie na graniastostupie z betonu pojawia się skośny dach. W klatkach już nikt nie sika, bo drzwi zamknięte i aby wejść, trzeba skorzystać z domofonu. Tu i ówdzie na „niczym” oknie między piętrami pojawiły się doniczki z jakimś zieleńcem.

Nie, ja nie chcę uprawiać tu jakiejś nowej wersji propagandy sukcesu. Ale trudno nie dostrzec tych wszystkich zmian, które

przyniosły ostatnie lata – jeśli się chce je widzieć. Pan Karnkowski dostrzegł jednak tylko „ilość i jakość” towaru podczas „osobistej wizyty w kilku drogich sklepach wędliniarskich w Poznaniu”, auta i domki jednorodzinne. *No comment.*

„Zrozumienie tego, że wzrost stopy życiowej w Polsce zależy od jak najszybszego rozwoju kapitalizmu jest nawet wśród inteligencji minimalne, pisze pan Karnkowski, a chwilę dalej twierdzi, że po prostu wszyscy chcieliby żyć na koszt wszystkich innych”.

Kto w takim razie jeździ tymi autami i stawia te domki? Kto sprzedaje te wędliny? Kto i za co je kupuje? Chyba pan Karnkowski nie myśli, że III Rzeczpospolita w hulaszczy i rozrzutny sposób rozkrada, przejada i przepija dorobek Peerelu? Chyba nie, skoro pisze o „dobrej koniunkturze i szybkim rozwoju gospodarczym, którego nie są w stanie zatrzymać różne zmiany polityczne”.

Ale skąd się to bierze, u licha? Robota krasnoludków, czy jakieś czary?

Nie. Żadnej magii w tym nie ma, lecz kawał ciężkiej pracy tych, którzy zrozumieli, jaka szansa się przed nimi otworzyła. Tych, którzy zaczynali od sprzedawania chleba z ciężarówki na ulicy albo szmuglowania džinsów z Turcji. Tych pogardzanych „badylarzy” i „dorobkiewiczów”. I tych, którzy poszli na ryzyko zrobienia czegoś na własną rękę, bo z państwowej pensji żyć nie umieli. Tych, którzy ciężko harowali i wciąż harują po kilkanaście godzin dziennie, prawie bez wolnych dni i urlopów, by otworzyć swój sklepik, warsztat, stację benzynową, czy knajpę.

A także tych, którzy spróbowali wziąć w swoje ręce los osiedla, wioski, miasta, dzielnicy. Których uporem i wysiłkiem pod koniec dwudziestego wieku wreszcie udało się pociągnąć rurociąg do wsi. Albo zorganizować w miasteczku miejsce spotkań dla tak zwanej trudnej młodzieży.

Że to się w oczy nie rzuca? No cóż, każdy widzi, co chce zobaczyć. Pan Karnkowski na przykład „obrzydlivą z estetycznego punktu widzenia kotłownię”. Ale może w tej kotłowni sprzed pół wieku wymieniono właśnie piece węglowe na gazowe albo olejowe i od paru miesięcy z kominów przestało się dymić.

To, co w listopadowej *Kulturze* prezentuje pan Karnkowski jest po prostu wymądrzaniem się kogoś kto wpadł na parę dni z wizytą do kraju i zdaje się mu, że wszystko jest do kitu.

Zapewniam Pana, Panie Redaktorze, że na szczęście nie jest. W Polsce (i nie tylko) jeszcze bardzo wiele funkcjonuje nie tak, jak by miało i mogło. I ludzie często myślą w kategoriach minionej epoki. I popełniali wiele błędów, za które zresztą przyszło już zapłacić. Ale balast problemów, które pozostały po półwieczu totalitaryzmu nie jest wcale mały. Nawet najzdolniejsi, najmądrzejsi i najuczciwsi mieli prawo się pomylić.

Mam nadzieję, że zamieszczenie tekstu pana Karnkowskiego nie było niczym innym niż prowokacją z Pańskiej strony. Jak Pan widzi, skuteczną.

Z poważaniem

Aureliusz M. PĘDZIWOŁ

Stockholm, 21 listopada 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Na mocy ustawy o wyborze prezydenta RP z 27 września 1990 (Dz. Ustaw nr 67, poz. 398), zamieszkali za granicą Polacy zostali pozbawieni prawa głosowania w drugiej, decydującej turze wyborów prezydenckich 19 listopada 1995. Tym samym, wielomilionowa rzesza polskich emigrantów przekonała się, że ma znaczenie mniejsze, czy bardziej ograniczone obywatelskie prawa wyborcze, aniżeli aresztanci i więźniowie zakładów karnych w Polsce, których udział na terenie więzień RP, przedstawiono w licznych transmisjach TV w dniu głosowania. Absurdalność tego faktu jest jawnym, ale tylko dodatkowym dowodem na dyskryminacyjny wobec Polonii, zapis wspomnianej ustawy, powstałej jeszcze w okresie tzw. sejmu kontraktowego i nadal gorliwie stosowanej z dotkliwym skutkiem dla praw polskiej emigracji.

Pomijając pytanie jaki wpływ na wybór głowy państwa polskiego miałby udział Polonii w dniu 19 listopada br. – warszawski korespondent BBC donosił o „radości panującej w sztabie wyborczym A. Kwaśniewskiego z powodu wyeliminowania głosów Polaków za granicą, a zwłaszcza głosów Polonii amerykańskiej” – pozostaje otwartą kwestią dlaczego ustawa jaskrawo sprzeczna z prawami obywatelskimi, zapisem obowiązującej konstytucji oraz ogólnie przyjętą literą prawa dotychczas nie została skorygowana lub zastąpiona prawidłową ustawą, mimo upływu wielu lat od jej uchwalenia. W powszechnej opinii, celem ustawy było, i nadal jest, usunięcie głosów polskiej emigracji. Oczywiście przy zachowaniu pozorów demokracji i równych praw obywatelskich („przecież mogliście głosować zagranicą w pierwszej turze wyborów 5 listopada”!)

Obowiązkiem ustawodawczych, sądowych oraz wykonawczych władz i instytucji RP jest powszechna ochrona praw i obrona wszystkich obywateli, również polskich obywateli osiedlonych poza terytorium Polski. Jednak w stosunku do tej dyskryminującej ustawy – mającej doniosłe i dalekosiężne skutki dla politycznego układu oraz przyszłości RP – tego podstawowego obowiązku, nikt w Polsce nie spełnił.

W sytuacji gdy Polska znajduje się w okresie reformowania prawa, kształtowania przyszłego modelu państwa praworządnego, przed polskim społeczeństwem, zwłaszcza przed demokratyczną opozycją i niepodległościowymi ugrupowaniami staje obowiązek zbudowania skutecznych mechanizmów stałego nadzoru w zakresie tworzenia i stosowania prawa w Polsce. Takie samo zadanie ciąży na polonijnych organizacjach w diasporze.

Ta opiniotwórcza i nadzorująca ustawodawstwo akcja, mające doniosłe znaczenie dla kształtu przyszłej Polski, powinna być podjęta bez zwłoki, zgodnie zorganizowana i prowadzona, aby nie zaprzepaścić historycznej szansy zbudowania demokratycznej i praworządnej Rzeczypospolitej.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

dr Zygmunt STANKIEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

W recenzji „Kobieta sukcesu” (*Kultura* nr 11/95) jej Autorka, Maja E. Cybulska, przytacza słowa Zbigniewa Brzezińskiego rzekomo zamieszczone w mojej książce, którą omawia: „Ulica Żółtego Strumienia”. Cytuję za panią Cybulską: „Podkreślał zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w sprawy polskie po wydarzeniach 1981 r. J e d y n ą (podkreślenie autorki recenzji) płamą w stosunkach amerykańsko-polskich była Jałta (...)”.

Ponieważ cenię ogromnie wypowiedzi Zbigniewa Brzezińskiego i wszystkie jego słowa w moich książkach zawsze z Nim autoryzowałam, chcę zaprotestować. Wymieniony cytat nie jest prawdziwy. Oświadczam, że w ż a d n e j mojej książce, nie tylko w omawianej przez Autorkę „Ulicy Żółtego Strumienia”, nie przytaczam podobnych słów Zbigniewa Brzezińskiego. Cytat ten Autorka przekształciła sama i włożyła w usta mojego szanownego Rozmówcy. (Zainteresowanych odsyłam do strony 380 wspomnianej książki).

Pozostaje mi mieć nadzieję, że Autorka przed napisaniem swojej recenzji, przeczytała moją książkę uważnie i w całości.

Pozostaję z szacunkiem,

Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

Szanowny Panie,

Dotarł do mnie list z protestem p. Aleksandry Ziółkowskiej. Odpowiadam:

Z jednej strony p. Ziółkowska twierdzi, że „nie przytacza podobnych słów Zbigniewa Brzezińskiego”, z drugiej zarzuca mi „przekształcenie” cytatu. Ponieważ nie przekształca się czegoś, co nie istnieje, więc cytat jest. W takim wypadku p. Ziółkowska winna przytoczyć jego właściwe brzmienie, a ja, jeśli dopuściłam się uchybienia, winnam Ją przeprosić. Tymczasem żadnego dowodu „przekształceń” nie ma. Jest natomiast zarzut wkładania w usta „szanownego Rozmówcy” p. Ziółkowskiej słów, których nie wypowiedział, co nie odpowiada prawdzie, wobec przytoczenia i ujęcia w cudzysłów Jej własnej relacji. Odsyłanie czytelnika do str. 380 uważam za niemarodajne, bo Z.B. figuruje też na innych stronach.

Morał stąd płynie dla mnie taki, że zawsze trzeba dodawać przy cytacie numer strony, zwłaszcza jeżeli książka nie jest zaopatrzona w indeks i trudno ustalić miejsce przytoczonych słów.

Pozdrawiam serdecznie i życzę pomyślności w Nowym Roku

Maja Elżbieta CYBULSKA

SPROSTOWANIE

W „Wydarzeniach miesiąca” zamieszczonych w nrze 11/578 *Kultury* informowaliśmy o nowych nominacjach ambasadorów RP. Niestety zostało przekreślone nazwisko ambasadora w Niemczech. Nazywa się on Andrzej BYRT a nie Bryt. Przepraszamy (Redakcja).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec natętu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

W.W., Polska – Dziękujemy za tomik wierszy ładnie wydany przez krakowską *Miniaturę*.

E.P., Niemcy – Wiersze nie nadają się do druku.

P.K., Polska – Wiersze Pana wydają nam się słabe.

W.B., Polska – Nowe opowiadania krótkie, choć sympatyczne i nie pozbawione miejscami wdzięku, są słabsze od dwóch drukowanych przez nas niegdyś w *Kulturze*. Proszę unikać tematów, które przerastają Pana możliwości (Vermeer, Bach).

A.N.D., Szwecja – Brak Panu daru narracyjnego. Oba przysłane teksty nie są właściwie opowiadaniem, lecz czymś w rodzaju rozdętych felietonów. Wiersze Pana są niestety słabe.

J.B., Polska – Niestety, trzy Pana nowe wiersze nie zostały zakwalifikowane do druku.

M.Z., Polska; W.J.M., Polska; Z.H.D., Polska; W.P.P., Polska – Z wierszy nie skorzystamy.

D.M., Niemcy – Pana *Ciupaga* wydaje nam się chybiona: pretensjonalna, sztuczna i niejasna.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69 – Telefon: (39 81) 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04
Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1996			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifschies, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkowski, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 60,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 491 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO CZTERNASTY

zawiera opracowania: A. Paczkowski: *Aparat Bezpieczeństwa w latach odwilży: casus polski*; G. Mazur: *Agonia Armii Krajowej 1944-1945*; K. Tarka: *Spór o Wilno. Ze stosunków polskopolitewskich w latach drugiej wojny światowej*; E. Kossoy: *Ziarno i plewy*; A. Misiuk: *Sojusze wywiadowcze II Rzeczypospolitej w latach 1918-1939*; J. Szymański: *Wojenne losy inteligencji polskiej; Zjednoczona Organizacja Partyzancka w Wilnie (Z.P.O.)*; C. Mondral: *... złego początku*; M. Rudzki: *Winiетки okupacyjne*; M. Pruszyński: *Bohdan Skaradziński o wojnie 1920*; A. Łodyński: *Kronika Konina*; J.K. Machniewicz: *Dokument z leitmotivem*; P. Daszkiewicz: *Opowiadania Konstantego Jelskiego*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 90 F